

**GUSTAW MORCINEK**

**PRZEDZIWNE  
ŚLĄSKIE POWIARKI**



NASZA KSIĘGARNIA • WARSZAWA • 1967

## O KRÓLU KALASANTYM WIELKIM, HANUSI I ZACZAROWANYM KRÓLEWICZU

Był raz jeden król, a nazywał się Kalasanty Wielki. Był to król niesłychanie bogaty, lecz bardzo chciwy. Przydomek „wielki” zaś nadał sam sobie dlatego, że był duży jak półtora króla. Jego państwo sięgało od wschodu słońca do zachodu i gdy na jednym krańcu królestwa słońce zachodziło, to na drugim krańcu właśnie wschodziło. I gdyby tak przejść piechotą od granicy do granicy, człowiek musiałby wędrować przez dwa lata, trzy miesiące, osiem dni, pięć godzin, a jeszcze miałby przed sobą sześć mil drogi.

Dziwne to było królestwo, gdyż nie było w nim ani zbójników na drogach, ani smoków w jaskiniach, ani rzezimieszków i oszustów na jarmarkach, ani diabłów w spróchniałych wierzbach, ani nic. Poddani jednak narzekali i szeptali sobie wzajemnie na ucho, że król Kalasanty Wielki starczy za wszystkich, bo z niego wcielony zbój, smok, rzezimieszek, oszust i stary diabeł.

Poza królem nie było więc w owym państwie żadnych złych stworów, czyniących ludziom na paskudę. Za to były jaroszki i bożęta. Jaroszki, takie małe diabełki z prosięcymi ogonkami, zakręconymi w precel, strzegły zaklętych skarbów w ziemi i raz po raz litowały się nad jakimś biedakiem i pozwalały mu uszczknąć z nich małowiele. Bożętka zaś kucąły pod ławami w chałupach i pomagały domownikom w pracy za miseczkę mleka.

I jeszcze była królowna Hanusia, córka króla Kalasantego Wielkiego. Miała ona niebieskie oczy, usta podobne do płatka róży, karmiła się kwieciem jabłoni i piła tylko rosę niebiańską, zbieraną przez dworki do kryształowego dzbanka o wschodzie słońca. Na lewym policzku miała brodawkę, lecz bardzo maleńką, co jej dodawało uroku. Gdy się uśmiechała, tworzyły się w jej policzkach bardzo wdzięczne dołeczki. A gdy płakała — co się zdarzało wtedy, gdy król psioczył na poddanych lub czynił im krzywdę, ograbiał z mienia, kazał wieszać lub głowy ścinać — gdy więc płakała, wtedy z jej oczu toczyły się nie łzy, lecz cudne perełki tak duże, jak groch.

Tych perełek miała już pełny kosz, kosz zaś był upleciony z prętów wierzy, na której rośla gruszka. I nie wiedziała, co z nimi robić. Nabierała ich przeto pełną garść, wychodziła z zamku i rozdawała ludziom. Ludzie jej za to dobroczyli, gdyż za taką jedną perlę można było kupić funt kielbasy, dwa piklingi, bochenek chleba, kopę jajek i dwa precle. Wszyscy nazywali ją gwiazdką z nieba, lelują, promykiem słonecznym, cukierkiem lub zgoła roztomiłą Hanusią. I wszyscy ludzie tak myśleli:

„Ha, żeby nasz król Kalasanty Wielki był taki dobry i miał takie serce, jakie ma jego córka, królowna Hanusia, Boże, chciałoby się żyć na świecie! A że z niego chciwiec i zły człowiek, rzezimieszek i oszust, zdzierający skórę z poddanych, to nieraz chce się człowiekowi pięścią przebóść z rozpaczy”.

A inni dodawali jeszcze w myślach:

„Żeby udławił się tymi swymi klejnotami i dukatami! Żeby z piekła nie wyjrzał! Żeby tam rozpalony kamień lizał za to zdzierstwo i chciwość!”

W ten sposób myśleli lub najwyżej szeptali na ucho sąsiadowi, gdyż lękali się głośno wypowiedzieć swoje myśli. A nuż znajdzie się jakiś skarżypyta, przychlastek lub tym podobny operiasz, poleci z cieplutkim do króla, powie, a król każe ściąć głowę takiemu śmiałkowi i tyle będzie miał.

Hanusia więc bardzo się martwiła, że jej ojciec taki zdzierca i niedobry człowiek, i płakała, a z jej oczu zamiast łez toczyły się perełki wielkości grochu. Przebywała w narożnej baszcie, w skromnej komnatce, i rzadko pokazywała się ojcu na oczy, bo ojciec, Kalasanty

Wielki, nie lubił jej i nazywał ją ciuciufranią za to, że nie miała, jak on, twardego serca.

Matka zmarła ze zmartwienia, że jej królewski małżonek ma twarde serce podobne do zmarzniętego głaba kapuścianego.

Zamek królewski wznosił się na ogromnie wysokiej górze. Jeżeli ktoś chciał zobaczyć jej wierzchołek, a na jej wierzchołku pozłocisty zamek, spadał mu kapelusz z głowy, gdyż musiał ją tak bardzo zadzierać. Szczyt zamkowej baszty sięgał jeszcze wyżej i wszystkie obłoki omijały ją wielkim kołem, by nie podziurawić sobie brzuszków na jej spiczastym dachu. Baszta zaś była tak duża i obszerna, że trzeba ją było trzy razy obejść, by ją w końcu obejść.

W baszcie znajdował się królewski skarbiec zamykany na siedem czarnych pieczęci. Drzwi można było otworzyć tylko kluczem tak dużym, że było trzeba dwóch największych osiłków, by temu podołać. I chociaż byli silni jak stu drągali, stękali bardzo, gdy nieśli klucz od skarbcza, i potem, gdy odmykali nim srogi zamek we drzwiach.

Gdy je otworzyli, zakrywali oczy dłońmi, by nie ślepnąć. Król zaś z czarnymi okularami na nosie wstępował do komnaty sklepionej ze szczerzego złota. W malutkich oknach były pajęczyny, w których drzemały pająki tak duże, jak raki, i snuły pajęczynę grubą jak powróż.

Król zamykał drzwi za sobą i patrzył z lubością na worki pełne dukatów i na beczki pełne szlachetnych kamieni, i na zamczone skrzynie pełne złotych koron, bereł, kielichów, monstrancji, ornatów, złotogłowi i jeszcze innych przeróżnych klejnotów. Patrzył także na misterne puzdra wypełnione perłami tak dużymi, jak spore cebule. Na pośledniejsze perły niewiele większe od główek czosnku, zsypane na kupę w kącie komnaty, nawet bardzo nie spoglądał.

I wszystkie skarby lśniły i mieniły się przeróżnymi kolorami, i złościły się, i płonęły wielkim blaskiem, że aż ogromna luna biła pod strop. Robiło to wrażenie, że w skarbcu uwięziono dwanaście tęcz, cztery księżycy w pełni i połowę słońca. Albo że jarzy się w nim pół kopy kwiecica paproci rozkwitłego w noc świętojańską.

Król siadał na worku z dukatami, gmerał w nich paluchami i mrucał:

— Jestem najszcześniejszy z ludzi!

Potem pochylał się nad beczką z drogocennymi kamieniami, grzebał w nich dłonią i mrucał:

— Jestem naprawdę najszcześniejszy z ludzi!

Potem jeszcze przykucał nad którąś skrzynią, przekładał i oglądał złotogłowie, ornaty, kielichy i monstrancje, i mrucał:

— Dalibóg, że jestem najszcześniejszym z ludzi, bom najbogatszy!...

W końcu przyklękał nad ozdobnym puzdrem i przesypywał z dłoni w dłoń perły, tak duże, jak cebule, i mrucał:

— Jeżeli ktoś powie, że nie jestem najszcześniejszy z ludzi, każę mu łeb ściąć! Jest tu ktoś taki?

Ponieważ nikogo nie było w skarbcu prócz pająków, przeto nikt nie zaprzeczał.

Aż jednego razu stało się coś niezwykłego.

Oto w oknie skarbcza wyleciała szybka i stłukła się na drobne kawałeczki. Czemu tak się stało, nikt nie wiedział. Nie wiedział nawet nadworny szklarz, za co mu król kazał ściąć głowę. I ponieważ już nie było szklarza, przeto dziura w oknie pozostała. I przez tę dziurę wleciało do skarbcza echo. Takie prawdziwe echo z lasu podobne do mysikrólika z uszami.

Echu znudziło się przebywać w lesie, ponieważ nie miało tam chwilki spokoju. Zawrzeszczał gawron, echo musiało za nim kilka razy powtarzać: — Kra, kra, kra! — Zaświstał wicher, echo musiało także świstać, chociaż nie umiało. Pasła dziewczyna owce i zaczęła helokać:

— Helo, helo, Helenko, jak się tobie pasie? Helo! Hehelo!...

Echo, chcąc nie chcąc, musiało także za nią helokać:

— Helo... hehelo... helo... lo...

Szli pijacy przez las i śpiewali;

— Wszystkie rybki śpią w jeziorze, plum, plum, plum, plum...

A echo powtarzało za pijakami:

— Plum... plum... plum... lum... um...

Wracał organista z czyjegoś wesela, z czupryny mu się kurzyło i wtedy, ni stąd, ni zowąd, jął się wydzierać:

— Ranniejsze roraty! Zapomniół opraty...

A biedne echo w te pędy musiało drzeć się i powtarzać;

— Opraty... roraty... baty... a ty...

W końcu echo pomyślało, że nie ma głupich, by wciąż powtarzać ludzkie słowa i gawronowe krakanie, i świst wichru, że to by i świętego znudziło. Przeto wzięło się i pofrunęło przez wybitą szybkę w oknie do królewskiego skarbcza. Nikt go nie widział, prócz królowy Hanusi i astrologa Erystofanusa.

Gdy go Hanusia zauważyła, pomyślała: „Aha, kłapouchy mysikrólik” — i była rada, że go ujrzała.

Gdy go spostrzegł astrolog Erystofanus, mąż głębokiej nauki, bo już przeczytał trzy grube książki, a czwartej połowę i wiedział, ile jest siedem razy osiem oraz osiem razy siedem, podrapał się po łysinie i pomyślał; „Aha, przeleciał Troglodytes kłapouszatus!...” — i zapisał w kronice królewskiej, że nad zamkiem fruwał Troglodytes kłapouszatus i wleciał do skarbcza, co prorokuje jakieś zdarzenie wielkiej wagi.

Poszedł przeto do królewskiej komnaty i zastał króla drzemiącego na tronie. Erystofanus chrząknął raz i drugi, i nic. Król chrapał dalej, a głowa z koroną na bakier kiwała mu się zabawnie. Erystofanus zatrąbił przeto na nosie tak mocno, że król zbudził się i przerażony zapytał:

— Co to? Pożar! Wojna?

— Nie, najjaśniejszy panie! To Troglodytes kłapouszatus!...

Król uspokoił się, bo teraz dopiero zauważył swego nadwornego astrologa, mistrza Erystofanusa, o wytrzeszczonych oczach, bulwiastym nosie i wielkim brzuchu na pałakowatych, cienkich nogach.

— Co takiego! Trolytes klipatus?

— Nie, najjaśniejszy panie! Troglodytes kłapouszatus! Wleciał przez wybite okno do skarbcza!

— O krucy tyrk! — wrzasnął król. — O, jasny pieron! — zaklął szpetnie. — Powiadasz, mistrzu, że do skarbcza wleciał! Fiks laudon, jerum pajtasz! Jeszcze mi gotów ukraść worek dukatów lub garść pereł. Dawać klucz od skarbcza! Wołać ochmistrza, by zdjął pieczęcie! Już, ale już, bo saperlajdy kandy!

I nie minęło pół pacierza, a już osiłkowie otworzyli drzwi do skarbcza, a ochmistrz już zdołał odjąć siedem czarnych pieczęci, król zaś nałożył czarne okulary i wpadł do środka. Drzwi za sobą zatrzasnął.

— Jest tu kto? — wrzasnął rozglądając się dokoła.

— Jest tu kto... kto... kto... — powtórzyło echo siedzące na gzymsie pod stropem.

— A to zuchwalec! — ryknął król i pomachał groźnie berłem.

— Zuchwalec... padalec... zakalec... na palec... ec... — odrzekło echo.

— Każę ci ściąć łeb! — ciskał się król, chociaż nikogo nie widział.

— Tyś sam kiep... cep... ep... ep... — przedrzeźniało echo.

— Pożałujesz tego, łajdaku!

— Ty stary łajdaku... żebraku... biedaku w podartym fraku... zimowy raku... kukuryku... ku... — naśmiewało się echo.

Wtedy król już nie wytrzymał. Zły jak wszyscy diasi wybiegł ze skarbcza. Trząśł się z

gniewu i zgrzytał trzema zębami, bo ich więcej nie miał. Uważał jednak pilnie, czy osiłkowie zamykają drzwi, czy ochmistrz nakłada siedem czarnych pieczęci i czy wszystko w porządku.

Ponieważ było wszystko w porządku, przeto udał się do tronowej sali zastanowić się, co tu zrobić, by to przekpiwne echo o cudacznej nazwie, tego niecnego łajdaka powieść na szubienicę, jak mu łeb ściąć, jak ugotować go we wrzącej smole lub zawiązać w worku i wrzucić do morza.

— Przecież jestem najszcześliwszy z ludzi i najbogatszy z królów, a ten przeklęty... Jak to się nazywa? Aha! Piertulus kuliszatus!... A ten przeklęty Piertulus kpi ze mnie, podśmiewa się i nazywa mnie padalcem, kpem, żebrakiem, biedakiem w podartym fraku i nawet zimowym rakiem! O, niedoczekanie jego!... — wrzeszczał, biegał po tronowej sali tam i sam, machał berłem jak cepem i kłął jak pijany drapichrust. Aż wstyd, że król, a tak szpetnie klnie i wydziwia.

Dworzanie słuchający pod drzwiami zatykali uszy, królowa Hanusia mdlała i trzeba ją było cucić różaną wodą, piskłeta wypadały z gniazd, a król jak kłął, tak kłął.

A gdy już się zmęczył, zwołał radę koronną. Zeszli się więc w tronowej sali ministrowie, generałowie, najwięksi mądrze, którzy już kilka ksiązek przeczytali, był i podskarbi, i wielki łowczy, i rakarz, i nawet kominiarz.

— Radźcie, jak tego łajdaka-echo zakuć w dyby! — wrzasnął król i walnął berłem po stole.

— Echo? — zdumieli się wszyscy.

— Echo!

— Cho! cho! — szepnęli znowu wszyscy.

Jedynie wielki łowczy nie szepnął: — Cho, cho! — lecz tak zaczął:

— Proszę przewielebnego króla jegomości, czy to echo ma ogon?

— Jaki ogon? Czy ja wiem? Może ma!...

— Bo gdyby miało ogon, to można tego... trochę soli... i nasypać na ogon! I już wtedy mamy ptaszka!

— Brawo! — wrzasnęli wszyscy, czyli cała rada koronna. — Już mamy ptaszka!... — i strasznie się radowali.

— Silentium, mości panowie, czyli nie ryczcie jak dzikie osły! — odezwał się astrolog Erystofanus w czarnym płaszczu i w wysokiej spiczastej czapie tekturowej oblepionej wszystkim znakami zodiakowymi. A ponieważ wszyscy wiedzieli, że przeczytał już trzy grube ksiązki, a czwartej kawalek, przeto wielce sobie cenili jego mądrość.

— Gadaj, Erystofanusie, co wiesz! — huknął król.

Erystofanus tak zaczął:

— Przewielebny królu i władco! Względem tego ogona chciałbym zaznaczyć, że nam nie wiadomo, czy to echo, inaczej Troglodytes kłapouszatus, ma ogon taki, jak krowa czy jak lew, czy jak mysz. Bo tu wszystko zależy od kształtu tego ogona. A co do owej soli, to trzeba nam wiedzieć, czy to ma być sól w kryształkach, czy zmielona na mąkę, czy też w sporym kęsie... A po trzecie, że się zapytam, kto będzie tę sól sypał?

— Ja! — wrzasnął rakarz.

— Aha, ty, przezacny rakarzu! Ale w tej materii, że tak powiem, jest niesłychanie ważne, czy przezacny rakarz, czyli inaczej pan hycel, chce tę sól sypać echu na ogon przez sito takie czy owakie. Czy przez drewniany durszlak, którym, że tak powiem, cedzi się ugotowane ziemniaki, czy przez takie sitko, którym oddzielamy fusy w kawie? Bo, przezacna rado koronna i ty najprzewielebniejszy królu i władco, co wam powiem, to wam powiem, ale powiem. Oto wielki mędrzec grecki, niejaki Kapistranolus, napisał w swej rozprawie pod tytułem „Fiksum-pyrtum”, że... Oj, zapomniałem, co napisał! Może mi ktoś z was przypomni!

Nikt nie mógł sobie przypomnieć, co napisał mędrzec grecki Kapistranolus w swym uczonym dziele o cedzikach pod tytułem „Fiksum-pyrtum”, bo wszyscy zaczęli chrapać.

Króla także ogarnęła już senność, a Erystofanus gadał i gadał, bo już sobie przypomniał wreszcie, co napisał Kapistranolus o cedzikach. A gadanie astrologa miało to do siebie, że słuchacze zasypiali po kilku jego zdaniach.

Nie usnął tylko kominiarz, chociaż wszyscy z królem koło niego chrapali. Dlatego zaś nie usnął, bo z pudełka po zapalkach wyjął chrabąszcza i włożył go sobie za kark pod koszulę. Chrabąszcz łąził mu po plecach i drapał go łapkami w tym miejscu, gdzie kominiarza kęsały pchły.

W pewnej chwili wrzasnął:

— Już wiem!

Zbudziła się rada koronna, zbudził się król, astrolog zapomniał, co ma mówić, a kominiarz wciąż pokrzykiwał, że już wie.

— Co wiesz? — zapytał król.

— Ten cudak siedzi w kominie. Ja go złapię, jakem nadworny kominiarz!

— W skarbcu nie ma ani pieca, ani komina! — zauważył ochmistrz.

— To nic! Postawimy piec, zrobimy komin i echo złapiemy! — tłumaczył kominiarz.

Cała rada koronna oniemiała z podziwu nad tak roztrofną odpowiedzią, a król z kominiarzem udali się do skarbcza. Dwaj drągale przynieśli klucz i otworzyli skarbiec, ochmistrz odlepił z drzwi siedem pieczęci i król z kominiarzem wstąpili do środka, by wyszukać miejsca na piec i komin. Kominiarz, oślepiony blaskiem klejnotów, wyszukał po omacku miejsce na piec, a król z czarnymi okularami na nosie stuknął berłem w ścianę i rzekł:

— Tu zrobimy otwór do komina!

Echo siedziało pod stropem na gzymsiku i zawołało:

— Komina... komina... szczecina... oślina... ślina... ina...

Król strasznie się rozgniewał i wrzasnął rozzłoszczony:

— Zamkniesz, łajdaku, ten swój dziób!

— Czeka cię szubieniczny słup... będzie grób... w grobie trup... up... — zakpiło echo i przefrunęło koło nosa króla.

Wtedy król z okrutnej złości o mało że nie wyskoczył ze skóry. Nie wyskoczył, bo nie potrafił, tylko ryknął:

— Służba! Halabardnicy! Straże! Bywajcie z toporami, powrozami i drabiną, by złapać tego oczajduszę!

Echo znowu przefrunęło koło nosa króla i zachichotało:

— Spróchniałą duszę... z króla wyduszę... wyduszę... duszę...

Teraz król omal że nie pękł ze złości. Nie pękł zaś dlatego, że brzuch miał przepasany szerokim pasem skórzanym nabijanym brylantami. A równocześnie przybiegli halabardnicy ze srogimi halabardami, przybiegły straż z toporami, przybiegła służba ze strażacką drabiną na dwóch kołach i zdawałoby się, koniec z echem. Lecz co który z nich wpadł do skarbcza, zaniewidział od ogromnego blasku, jaki bił z tamtych klejnotów i złota. Biegali przeto, jak prawdziwi ślepcy potracali się, potykali, przewracali, wrzeszczeli, walili się halabardami po łbach, a co który z nich złapał kamrata za kudły, trzymał go mocno i wrzeszczał:

— Mam go! Trzymajcie, bo kopie!...

A że wszyscy trzymali się za kudły i wszyscy wrzeszczeli, przeto zrobiło się takie piekło, że aż strach. A król tymczasem przystawił drabinę do ściany i jął się po niej drapać pod gzymsik, gdzie siedziało echo i chichotało.

— Poczekaj, ty belzebubie! — ryczał król i wznosił się coraz wyżej.

— ...a król w nosie dłubie... dłubie... ubie... — zakpiło echo i pofrunęło na drugi kraniec skarbcza. Król z drabiną za nim. Znowu przystawił zdyszany i zziąjany i znowu jął wylazić po szczeblach pod strop. Lecz w tym zapale przystąpił sobie koniec królewskiego płaszcza, zaplątał się, stracił równowagę i spadł z drabiny!...

I tak mocno gruchnęło, że zamek zatrzęsł się w posadach, z komina spadła jedna cegła.

O mały włos, a baszta byłaby pękła. Król zaś leżał na posadzce i stękał.

Dworzanie, halabardnicy i służba zanieśli do królewskiej łożnicy na wpół umarłego króla. Ułożyli go na siedmiu pierzynach i udawali, że się bardzo smućą, król zaś stękał i macał się po kościach.

W całym królestwie rychło się rozniosło o przygodzie króla i teraz wszędzie radowano się, że nareszcie przyszła kreska na Matyska, czyli na Kalasantego Wielkiego, i wszędzie teraz śpiewano piosenkę taką:

*Coś tam w zamku stuknęło,  
Coś tam w skarbcu gruchnęło.  
To z drabiny król nasz spadł,  
Złamał sobie w krzyżu gnat.*

Król zaś kazał zwołać wszystkich lekarzy, medyków, konowałów, felczerów, znachorów i weterynarzy i głosem jęczącym tak powiedział:

— Kto mnie wyleczy, otrzyma królewską nagrodę!

Ponieważ wszyscy byli łakomi królewskiej nagrody, przeto radzili, jak króla leczyć. Gdyby chcieć te rady spisać, nie starczyłoby wołowej skóry. Spierali się przed królewską łożnicą, wadzili, rozsypywali rozumy, czasem nawet do oczu sobie skakali i nic nie mogli wymyślić.

I tak to trwało kilka dni, potem cały tydzień, a król coraz bardziej podupadał na siłach, gaś powoli w oczach, lekarze zaś, medycy, konowały, felczerzy, weterynarze i znachorzy wadzili się i czubili, i z zazdrości o przyrzeczoną królewską nagrodę wzajemnie sobie przeszkadzali w leczeniu biedaka.

O ciężkiej chorobie króla dowiedział się nabożny pustelnik. Przyszedł do niego i tak powiedział:

— Najpierw, królu, wygoń tę klócaącą się hałastrę, bo cię nie wyleczy!

Król usłuchał i kazał halabardnikom wygonić hałastrę.

A potem pustelnik rzekł:

— Królu, tylko jedna rzecz może cię uleczyć!

— Jaka to rzecz? — zajączał król — Powiedz, a obsypię cię złotem!

— Nie stoję o twoje złoto... Oto, królu, wdziej na siebie koszulę szczęśliwego człowieka, a będziesz zdrowy...

— Przecież ja jestem najszcześniejszym człowiekiem!

— Nie jesteś, bo leżysz chory, i nie byłeś nigdy szczęśliwy, bo to tylko tak ci się wydało...

Król słuchał, co pustelnik prawił, i pociągał ze wzruszenia nosem. Niech już więc będzie ta koszula szczęśliwego człowieka. Trzeba go więc szukać!

Przywołał cały dwór i polecił, by heroldowie rozeszli się po królestwie i szukali szczęśliwego człowieka. A gdy go znajdą, niech w te pędy wracają z nim na królewski zamek...

Rozjechali się heroldowie na najszybszych rumakach, ze złoconymi trąbami, i pędząc przez królestwo na wszystkie strony świata, wpadali na rynek jednego, drugiego, dziesiątego i setnego miasta i trąbili długo, a gdy się ludzie zeszyli, wołali:

— Kto z was jest szczęśliwy, niech jedzie ze mną do króla, a czeka go wielka nagroda.

Nikt się nie zgłaszał.

Zajeżdżali przeto do zamków, do bogaczy, do gospód, gdzie za stołami siedzieli bruchacze, którzy jedli i pili bez miary, i znowu heroldowie trąbili, a potem wołali:

— Kto z was szczęśliwy, niech jedzie ze mną do króla, a czeka go wielka nagroda.

Okazało się, że nikt nie był szczęśliwy. Tego parła kolka, tamtego bolał ząb, inny miał złego sąsiada, jeszcze inny zgubił talara i bardzo się martwił, a jeszcze inny nie mógł sypiać

po nocach, słowem, każdy miał jakieś zmartwienie i nikt nie czuł się szczęśliwy.

Heroldowie przejechali na swych rączych rumakach całe królestwo wzdłuż i wszerz, natrabili się bez miary, nakrzyczeli, aż ochrypli, a szczęśliwego człowieka nie znaleźli.

Wrócili przeto do zamku i oświadczyli królowi, że w jego państwie nie ma ani jednego szczęśliwego człowieka.

Król bardzo się zasmucił, bo widział, że trudna rada, wypadnie mu umrzeć, a w skarbcu pozostanie tyle złota i klejnotów! I gorzko zapłakał.

Przyszła królowa Hanusia do swego ojca-króla i tak rzekła:

— Ojcze, pozwól mi poszukać szczęśliwego człowieka!

A król na to niechętnie:

— Och, ty ciuciufraniu! Cóż ci do głowy strzeliło? Heroldowie nie znaleźli szczęśliwego człowieka, a ty byś znalazła? Daj się wypchać takim pomysłem!... — i stęknął boleśnie, bo czuł, że śmierć krąży już koło zamku i czeka, kiedy wypadnie jej wleźć do królewskiej sypialni i wydusić życie z króla.

— Ach, nie gniewaj się na mnie, ojcze, a pozwól mi poszukać takiego szczęśliwego człowieka! — nalegała Hanusia.

— A to jedź w diabły, a nie zawracaj mi głowy! — mruknął i odwrócił się do ściany.

Hanusia usiadła na białego konia i wyjechała z zamku na poszukiwanie szczęśliwego człowieka, który by swą koszulę oddał królowi. I tuż zaraz, pod zamkiem, pod zamkową górą, spotkała kamieniarza, który młotkiem tłukł kamienie na drodze na drobne kamyki, by nimi drogę wymościć.

Kamieniarz rozbijał więc kamienie i śpiewał tak pięknie, że echo, które siedziało w skarbcu, wyfrunęło zdumione przez wybitą szybkę i teraz roznosiło śpiew kamieniarza po całej okolicy.

— Mój drogi! — rzekła królowa Hanusia. — Przebaczcie, że wam przeszkadzam w pracy i śpiewaniu, ale chciałam was zapytać, czy nie wiecie, gdzie by spotkać człowieka szczęśliwego?

Kamieniarz podniósł głowę, przysłonił oczy dłonią i popatrzył, któż to może być o tak wdzięcznym głosie.

— Ach, to ty jesteś, lelujko! Najbielszy kwiecie na ziemi! Kogo szukasz, powtórz, bo jużem stary, słuch mam przytępiony i nie dosłyszałem, o co prosisz!

— Szukam człowieka szczęśliwego!

— Człowieka szczęśliwego?

— Tak! Szczęśliwego!

— A, wiem, wiem, bo już tu przebiegali koło mnie heroldowie na rączych rumakach, ze złoconymi trąbami, i trąbili, i wrzeszczeli, że szukają szczęśliwego człowieka. I widać, że nie znaleźli, bo powracali z próżnymi rękami. To znaczy, bez tego szczęśliwego człowieka...

— Ja wiem, dobry człowieku, że nie znaleźli w królestwie mojego ojca szczęśliwego człowieka. Lecz oni szukali go między bogaczami, a ja chcę szukać między biedotą...

Kamieniarz aż dłonie złożył z zachwyty i rzekł:

— Mądra jesteś, Hanusiu, przekrasna lelujo, jak siedmiu królów Salomonów!... I dobrą drogę obrałaś! Otóż, żebyś nie musiała długo szukać, to ja ci coś powiem!

— Powiedzcie, dobry człowieku, powiedzcie, a wynagrodzę was pełnym koszyczkiem pereł...

— Nie trzeba mi twoich pereł, Hanusiu!... Powiem ci bez owej nagrody. Otóż uważaj! Szczęśliwych ludzi w królestwie twego ojca, a naszego króla, Kalasantego Wielkiego, znalazłabyś sporo, lecz po cóż długo szukać, kiedy człowieka szczęśliwego masz przed sobą!

— Jak to? Nie rozumiem!

— Bo ja jestem jednym z owych szczęśliwych ludzi!

— Co wy mówicie! Wy?



— Powiedziałem, że ja!

— O, jak bardzo się cieszę! To chodźcie ze mną na zamek do mego ojca! Uzdrowicie go...

— Nie wiem, czy go uzdrowię, ale pójść mogę. Czemu nie? — zgodził się i poszedł z Hanusią na zamek.

A już rozeszła się wieść, że królewna Hanusia znalazła szczęśliwego człowieka i że go wiedzie do króla. Echo bowiem zdołało powtórzyć kilka razy to, co słyszało, i chociaż powtarzało tylko końcowe słowa, ludziska na zamku domyślili się reszty. Wybiegli teraz na mury, a więc służba, drabanci, rycerze, halabardnicy, kominiarz, rakarz, ochmistrz i kto tylko, i wszyscy patrzyli na starego dziadka idącego obok królewny Hanusi. Hanusia jedną białą rączką prowadziła swego Siwka za uzdę, a drugą białą rączką podtrzymywała dziadka. I nikt nie mógł zrozumieć, że ten dziadek, podobny do kalwaryjskiego żebraka, obdarty i kudłaty, ma być najszczęśliwszym człowiekiem. I chcieli się śmiać, ale się nie śmiali, bo ufali królewnie.

Hanusia zaprowadziła kamieniarza do komnaty, gdzie na złotym łóżku, na siedmiu puchowych pierzynach, stękał i kwękał król Kalasanty Wielki.

— Ojciec mój i królu! Będziesz zdrowy, bo przywiodłam do ciebie szczęśliwego człowieka!

Król otworzył jedno oko, otworzył drugie i zapytał:

— Prawda to, co mówi moja córka?

— Prawda rzetelna, najjaśniejszy królu! — rzekł kamieniarz.

— Tyś szczęśliwym człowiekiem?

— Tak, jestem szczęśliwym człowiekiem!

— Obsypię cię złotem! A teraz, chociażes brudny i z pewnością masz wszy, ściągaj swoje łachmany z grzbietu i daj mi swoją koszulę.

— Kiedy ja, królu, nie mam koszuli!... — rzekł kamieniarz, rozpiął kubrak i pokazał królowi i wszystkim dworzanom, że istotnie nie ma na sobie koszuli.

Wtedy oburzeni dworzanie wypędzili kamieniarza, a król cisnął Hanusi ze wzgardą:

— Och, ty ciuciufrani! — i odwrócił się do ściany.

Zawstydzona i rozczarowana Hanusia poszła do swojej komnatki i tam jęła rzewnie płakać. Sypały się z jej oczu perełki i toczyły się po marmurowej posadzce. Toczyły się tam i sam, jakby je ktoś nóżką kopał lub palcem pstrykał. Zdumiona patrzyła przez chwilę na toczące się bez przerwy perełki na posadzce i w końcu zapytała:

— Kto tu jest? Kto się bawi perełkami?

— To my, bożątka! — zabręczało coś cichutko komarowym głosem.

Hanusia nachyliła się, by lepiej się przyjrzeć, gdyż już zmrok zapadał w komnatce. I ujrzała istotnie sporo bożątek niewiele większych od napałka, ogromnie śmiesznych, bo z długimi brodami i w pstrych szatkach. Biegały, fikały koziołki, toczyły perełkami, popiskiwały jak malutkie myszy i harcowały.

— Daj nam w glinianej miseczce mleka, bo jesteśmy głodne! — rzekło najbardziej brodate bożątko. Widać, był to ich gazda, bo miał wielki brzusek, a na malutkim, perkатыm nosku okulary.

— Zaraz, moje bożątka! — rzekła Hanusia.

Pobiegła do kuchni, naląła do glinianej miseczki mleka i zaniósła bożątkom w komnatce. Bożątka wpadły do mleka i jęły je chleptać tak głośno, jakby nie jadły od kilku dni.

A gdy wypily wszystko, gazda bożątek stanął przed królewną, nisko się uklonił i tak zapiszczał komarowym głosem:

— Dobra z ciebie dziewczyna, tylko czemuś taka smutna, że wciąż ronisz perełki ze swoich chabrowych ocząt?

Hanusia opowiedziała gaździe o wszystkim. I o tym, że znalazła szczęśliwego człowieka, lecz on nie miał koszuli. I że teraz ojciec umrze, bo jedynie koszula szczęśliwego człowie-

ka mogła go uratować.

Gdy tak opowiadała, gazda drapał się po łysinie i coś sumował w swej malutkiej głowie, a wszystkie bożątka otoczyły go wielkim kołem i także drapały się po głowie.

— Już wiem — rzekł nareszcie ich gazda. — Twego ojca uratuje żywa woda.

Wszystkie zaś bożątka, a było ich może z pół kopy, jęły kiwać głowami i powtarzać za gazdą:

— Tak! Żywa woda! Żywa woda!

— Ale musi ją przynieść ktoś taki, kto serce ma czyste jak kryształ! Masz, Hanusiu, serce czyste jak kryształ?

— Nie wiem, gazdoszku!

— Ma! Ma! — wrzasły piskliwie bożątka.

— Więc ty przyniesiesz żywej wody z cudownego źródła! Przyniesiesz, dasz ojcu napić się i ojciec będzie zdrow jak ryba!

— Jak wieloryb! Jak sto wielorybów! — zapiszczały bożątka.

— A gdzie jest to cudowne źródło? — zapytała Hanusia.

— Gdzie jest to cudowne źródło z żywą wodą? — zwrócił się gazda do swych bożątek.

I tu nastąpiła wielka cisza, bo wszystkie bożątka wraz z gazdą jęły się drapać po głowach i przypominać sobie, gdzie jest cudowne źródło z żywą wodą. I nie mogły sobie przypomnieć. Wtedy gazda zwrócił się do bożątek i zapytał:

— Kto z was ma porządny kij? Taki sękaty!

— Ja! — zapisała cieniutko jedno z bożątek i jęło się przepychać z sękatym kijaszkiem do przodu.

— Wyrznij mnie tym kijaszkiem po głowie! — rozkazał gazda. — A zaraz sobie przypomnę!

Bożątka popluło w dłonie, ujęło krzepko kijaszek i jak nie wyrznie gazdy w głowę, biedaczysko aż usiadł na posadzce. Przez chwilę łypał oczami, potem pomacał się po głowie, gdzie mu urósł spory guz, a w końcu rzekł:

— Już wiem!

I powiedział Hanusi, że musi wędrować przez trzy dni na zachód, potem przez trzy dni na południe, a następnie przez jeden dzień na wschód. Dotrze wtedy do głębokiego lasu, gdzie znajduje się źródło żywej wody. Ale tego źródła strzeże obrzydliwa poczwara. Ni to ropucha, ni bazyliśzek, ni straszdyło na wróble, ni diabelska poczwara, ni wstrętny maszkaron. Licho wie, co to może być!... I ta poczwara pozwoli nabrać żywej wody, jeżeli Hanusia przyrzeknie, że spełni jej życzenie. Jakie ono, gazda bożątek nie wie. Gdy zaś będzie wracała z żywą wodą, napotka czyhających diabłów. W piekle bowiem wszyscy ogromnie się radują, że niezadługo król umrze, i już dzisiaj gotują tam smołę w kotle i rozpalają kamień. W tej smole zamierzają diabły smażyć duszę króla, a ten rozpalony kamień każą mu lizać za jego chciwość. I nie mogą się doczekać, kiedy umrze. Gdy więc Hanusia będzie wracała, diabły zaczną się, by wyłudzić od niej żywą wodę lub by rozbić dzbanek. Niech przeto weźmie z sobą drugi dzbanek, lecz z wodą święconą. I kogokolwiek napotka w powrotnej drodze, niech go najpierw pokropi ową święconą wodą. Jeżeli to będzie diabeł — ucieknie z wielkim wrzaskiem, bo święcona woda będzie go parzyła. I to wszystko.

Hanusia słuchała pilnie, by niczego nie zapomnieć. A potem jeszcze powiedziała :

— Dobrze, mój złoty gazdoszku! Ale lękam się, że zabłądzę!

— Nie zabłądzisz, bo pomogą ci jaroszki i mój kamrat, echo. Jutro z nimi porozmawiam. No, to byłoby już wszystko! I dziękujemy ci bardzo pięknie za miseczkę mleka. Dobrze było!... A wy zaś, bożęta, spać! — zapiszczała na swych kamratów. I w tym oka mgnieniu bożątka rozbiegły się. Tup, tup, tup! — dało się słyszeć w komnatce i Hanusia ani się spostrzegła, jak wszystkie powłaziły do mysich dziur.

I dobrze.

Nazajutrz wczesnym rankiem wyniknęła się z zamku. Miała z sobą dwa dzbanki. Jeden próżny na żywą wodę, w drugim święconą wodę na diabłów. I powędrowała prościuteńko w tym kierunku, gdzie słońce zachodzi. I rzecz dziwna, gdy o zmierzchu jęła się rozglądać, gdzie tu przenocować w czarnym lesie, i gdy ją ogarniał lęk, że mogą przyjść wilki lub niedźwiedzie i zrobić jej krzywdę, skąd się weź, to się weź, z zarośli wybiegł cały regiment jaroszków.

Hanusia była ogromnie zdumiona, bo jeszcze nigdy nie widziała jaroszków. Jaroszki coś skrzeczały i nim się Hanusia spostrzegła, już jedne rwały mech i mościły nim łóżko dla królowny, a inne nieciły ognisko. Potem najstarszy z jaroszków wyszedł, pięknie się uklonił i poprosił ją, by się położyła i spała spokojnie, gdyż będą czuwać przy niej.

Hanusię bardzo to wszystko śmieszyło, gdyż były one podobne do małych diablików wielce kosmatych i kudłatych, czarnych, z małymi capimi różkami na głowie, z prosięcymi ogonkami figlarnie zakręconymi. Gdy Hanusia z nimi rozmawiała, musiała się schylać, bo sięgały jej do kolan. Szwargotały między sobą po cygańsku.

Położyła się więc na mchu i zasnęła, a jaroszki odpędzały komary, by nie brzęczały nad jej uchem i by jej nie kłuły. A jeszcze inne jaroszki pilnowały ogniska, by nie wygasło. Jeżeli zaś pojawił się jaki wilk lub żarłoczny niedźwiedź, odpędzały ich widłami.

I tak działo się każdego wieczora.

Hanusia przewędrowała już kawał świata przez trzy dni. Potem zawróciła na południe i znowu wędrowała przez trzy dni. W końcu udała się na wschód.

I byłaby może zabłądziła, bo las był wciąż gęsty i czarny, lecz nadleciało echo i zaczęło jej wskazywać drogę. Po prostu fruwało nad nią w kształcie mysi królika z dużymi uszami i wołało:

— Tędy, Hanusiu... nusiu... nusiu...

Hanusia szła przeto za echem i pod wieczór dotarła na wielką polanę. Na polanie kwitły przedziwne kwiaty i gdy jedne pachniały tak bardzo, że aż w nosie wierciło, to inne, podobne do dzwoneczków, dzwoniły cichutko, a inne jeszcze kiwały główkami. Cisza zaś była tak wielka, jak w kościele.

Na środku polany czerniła się ogromna skała. Ze skały wytryskało źródelko z żywą wodą. Hanusia podeszła do źródelka, już chciała podstawić dzbanek, gdy spomiędzy zarośli i kwiatów wyszła okrutna poczwara. Poczwara była tak brzydka, że nie sposób opisać. Miała łapy podobne do grabi z pazurami, nogi jak u słonia, stopy jak krowie racice, brzuch jak beczka, cielsko kudłate, a twarz!... O mało Hanusia nie zemdląła na jej widok. To nie była twarz, to była maskara z wytrzeszczonymi, zielonymi oczami, z wystającymi z paszczyki kłami, z językiem tak długim, że maskara wycierała sobie nim nos i obwisłe uszy... Słowem, taki brzydkał, że każdy inny na miejscu Hanki byłby zemdlął na jego widok.

Hanusia jednak, aczkolwiek miała gołębie serce, nie ulękła się, tylko zakryła dłonią oczy.

— Czego chcesz ? — zapytał potwór chrapliwie.

— Przyszłam po żywą wodę dla mego ojca!...

— Możesz jej nabrać i zanieść ojcu, ale pod jednym warunkiem! — zachrapał potwór.

— A jaki to warunek ?

— Gdy ojciec wstanie uzdrowiony, to nazajutrz przyjdę do twojej komnatki, a ty musisz to wszystko uczynić, czego zażadam. Zgadzasz się?

— Zgadzam! — szepnęła struchlała Hanusia. Postanowiła bowiem wszystko uczynić, by ojcu wrócić zdrowie.

— Pamiętaj, słowo rzekłaś! — chrapał potwór. — Gdybyś nie dotrzymała umowy, niech twój ojciec kładzie się do trumny! A teraz nabierz żywej wody i wracaj.

Hanusia nabrała żywej wody do dzbanka i ruszyła ku domowi.

I znów wszystko się powtarzało, co działo się, gdy wędrowała do źródelka. Jaroszki słały jej co wieczór posłanie z mchu i czuwały nad nią do rana, i odpędzały komary, by nie brzęczały nad jej uchem. I przepędzały widłami wilki i niedźwiedzie. A inne jaroszki podsycały ognisko, by Hanusi nie było zimno.

Za dnia echo polatywało przed nią i ostrzegało, gdy zauważyło coś podejrzanego.

— Uważaj... Hanusiu... uważaj... ważaj... zaj... — wołało.

Hanusia wtedy wiedziała, co się święci. Diabły istotnie przyczały się. Pierwszy zastąpił jej drogę w postaci pustelnika.

— Daj mi napić się wody! — prosił, a złymi oczyma mierzył, jak najtrafniej walnąć kosturem w jej dzbanek z żywą wodą.

Hanusia pokropiła go święconą wodą. Pustelnik wrzasnął i przepadł w leśnych ostępach.

Następnego dnia ukazał jej się pielgrzym obwieszony różańcami bez krzyżyków, w ogromnym kapeluszu ozdobionym muszelkami, z tykwą na lasce.

— Wracam, nabożna duszyczko, z miejsca odpustowego... — jął szeplenić, bo był szczerbaty. — Obdarzę cię błogosławieństwem, jeżeli mi dasz napić się wody... — i ślepił, czy daleko mu laską do jej dzbanka. Hanusia stała za daleko. Przeto zaskamlał: — Zbliź się, nabożna duszyczko...

Hanusia zbliżyła się i pyrsk! święconą wodą w jego kaprawe ślepiu. Pielgrzym zaklął bardzo szpetnie, zasmrodził siarką i przepadł w leśnych ostępach.

Na trzeci dzień echo-mysikrólik ostrzegło ją, że znowu jakaś piekielna przechera czai się na drodze.

Istotnie, na zakręcie wyszedł z gąszczy prześliczny rycerz w pozłocistej zbroi, z kopią w dłoni, pięknie się uklonił i jął ją prosić o kropelkę wody. Gadał zaś tak gładkimi i obieranymi słówkami, że ktoś inny na miejscu Hanusi uwierzyłby, iż to prawdziwy rycerz. A łajdak trzymał kopię w ręce i patrzył, jak daleko jej do dzbanka z żywą wodą.

Hanusia nie czekała, tylko chlust! święconą wodą w jego lalkowate oblicze.

— A, ty małego zielona! — wrzasnął rycerz, podskoczył i trzasnął butem w ziemię. Ziemia się rozstała i pochłonęła rycerza. Pozostała na tym miejscu tylko spora kupka cuchnącej smoły.

Potem już nikogo Hanusia nie spotkała, tylko echo polatywało nad nią w postaci mysikrólika kłapoucha i powtarzało szelest jej kroków. Przybyła w końcu pod zamek, spojrzała w górę i struchlała. Oto widzi, że na szczyt wieży służba wciąga czarną chorągiew, dzwony zaczynają bić żałośnie, a przed zamkiem mrowie ludu.

Doszła do nich zdyszana i zapytała:

— Co się tu dzieje?

— To ty nic nie wiesz? Powiedz sobie: chwała Bogu, bo nasz zły król umiera!...

A inni dodali:

— Już mu stolarze robią trumnę...

A jeszcze inni:

— Już mu grabarze kopią grób...

A jakiś wesołek zawołał:

— Już diabli w piekle kwiczą z radości!

Hanusia nic nie rzekła, tylko pobiegła z żywą wodą do komnaty, gdzie jej ojciec konał. Wpadła i ujrzała, że koło królewskiej łóżnicy stoją dworzanie, jedni zadowoleni, drudzy udający zmartwionych, i patrzą, jak król rzezi, przewraca oczami, łapie ostatni dech, jak paluchami grzebie po pierzynie. Bardzo ich to smutne widowisko bawiło, gdyż przecież nie zawsze widzi się śmierć króla!... Dlatego wyciągali szyje, wytrzeszczali oczy i czekali, co to dalej będzie. A w duchu pragnęli, by to widowisko trwało jak najdłużej.

Hanusia roztrąciła gawiedź, przystawiła dzbanek z żywą wodą do ust ojca. Król osta-

tnim wysiłkiem zaczął pić. I stał się dziw nad dziwami! Oto gawiedz patrzy i widzi niesłychanie zdumiona i pełna rozczarowania, jak król oddycha coraz lżej, jak otwiera oczy, jak siada, jak się rozgląda i jak w końcu dostrzega Hanusię:

— O, ty moje najdroższe dziecko! — zawołał i rozplakał się ze wzruszenia. Przygarnął Hanusię do siebie i całował po głowie, po oczach.

A gawiedz spodziewała się, że król zawoła: „O, ty ciuciufraniu!...” — i była niezadowolona, że stało się inaczej.

Uzdrowiony król wstał, kazał się ubrać, narzucił na siebie królewski płaszcz, wziął do ręki berło, na głowę włożył koronę i zawołał radę koronną do tronowej sali. Hanusia musiała usiąść na mniejszym tronie po prawej ręce.

A gdy wszystkie dzwony biły radośnie, a zamiast czarnej chorągwi zawieszono na szczycie wieży białą chorągiew, a fanfary grały, a ludzie wiwatowali, bo tak wypadało czynić, król wstał z tronu i oznajmił radzie koronnej :

— Ja, król Kalasanty Mały...

„Mały? Co to znaczy? Jaki mały?” — myśleli wszyscy zdumieni i przypuszczali, że królowi pomieszał się rozum z powodu choroby.

— Wielki! Królu, nie mały, lecz wielki! — podrzucił mu ochmistrz półgłosem.

— Powtarzam — zaczął znowu król. — Ja, król, Kalasanty Mały, oznajmiam swoją królewską wolę!... Oddaję swój skarb wszystkim moim poddanym! Niech osiłkowie otworzą skarbiec, niech ochmistrz zdejmie pieczęcie i niech podskarbi wszystkie perły, diamenty, złoto, dukaty, kielichy i co tylko znajduje się w skarbcu, zacznie od jutra rozdawać poddanym! Taka jest moja wola i basta!

Rada koronna słuchała z rozdziawionymi ustami, z wybałuszonymi oczami. Potem jęli zrywać się pojedynczy dworzanie, generałowie, ministrowie, wybiegali z sali i mówili:

— Nasz król zwariował! Król ma ptaka w głowie! Król ma kuku-na-mu-niu! Królowi we łbie się pomieszało!

I wszyscy uciekli z koronnej sali, a pozostali tylko kominiarz i hycel. Oni to wrzaśli:

— Niech żyje nasz wspaniały król, Kalasanty Mały! Niech żyje!

Ich okrzyki podchwyciły tłumy pod zamkiem. A gdy hycel ogłosił z balkonu, co król postanowił, powstał taki radosny wrzask, wiwatowanie, oklaski, iż zdawało się, mury zamku popękają.

Hanusia siedziała po prawicy swego ojca na mniejszym tronie i nic nie mogła zrozumieć. Co to stało się z jej ojcem?

— Widzisz, moja córuchno! — rzekł teraz król. — Dotychczas zamiast serca miałem w piersi głąb kapuściany. A gdy się napiłem żywej wody, serce moje odmieniło się... Widzisz!...

I wtedy Hanusia wszystko zrozumiała. I była bardzo szczęśliwa. I ze szczęścia rozplakała się, a zamiast łez z jej oczu spadały malutkie diamenty...

A król jeszcze powiedział:

— Twoja miłość do mnie, Hanusiu, najdroższe dziecko, twoja miłość sprawiła ten cud z moim starym sercem!...

Uszczęśliwiona Hanusia udała się teraz do swojej komnatki. Ledwie przestąpiła próg, zachwiała się, krzyknęła, zakryła oczy. Bo oto na środku stoi tamten potwór z lasu, maskara obrzydliwa, pomiot diabelski, brzydal nad brzydalami.

— Przyszedłem według naszej umowy. Pośpieszyłem się o jeden dzień, ale to nic nie szkodzi! — rzekł chrapliwie. — Teraz uczynisz to, co ci każę!...

— Co każesz ?

— Umyj mi nogi! — wrzasnął, rozwalił się na fotelu i czekał. Hanusia przyniosła szaflik, naląła doń ciepłej wody, a potwór zanurzył w niej nogi. Były brudne, owrzodziałe i cuchnące. Hanusia mdlała prawie, gdy mu te obrzydliwe giry myła, lecz postanowiła wytrwać do końca, bo w przeciwnym razie ojciec umrze.

Umyła wreszcie potworowi nogi, a on zachrapał:

— Wytrzymaj je swoimi włosami!

Rozplotła więc Hanusia swoje śliczne, jasnozłociste warkocze, rozpuściła włosy i jęła nimi wycierać nogi brzydala. A on nic. Siedział rozwalony na fotelu i sapał jak jeź z płonkami.

— A teraz weź grzebień, wyczysz mi igliwie z kudeł i wyszukaj pchły które mi setnie dokuczają.

Hanusia wzięła grzebień, a potwór uklęknął przed nią, położył łeb na jej kolanach, ona zaś zaczęła go czesać i wybierać pchły z jego kudeł. A łajdak miał tych pcheł dużo. Gdy już ostatnią pchłę złapała i utopiła w szafliku i gdy kudły były już poczesane, wstał i tak rzekł:

— A teraz mnie pocałuj w usta trzy razy!... — i nastawił swoją obrzydliwą gębę.

Hanusia westchnęła ciężko i pomyślała: „To wszystko dla mego ojca!” Zamknęła oczy, wstrzymała oddech i pocałowała potwora w oślinione, cuchnące usta. Raz... drugi raz... i trzeci!...

I wtedy stał się znowu dziw nad dziwami.

Bo w tejże samej chwili coś zagrzmiało, coś zabłysło, coś zaszumiało. Hanusia otworzyła oczy i krzyknęła ze zdumienia!...

Oto przed nią stoi prześliczny młodzian, pięknie ubrany, o jasnych kędziorach, czarnych oczach, a ustach tak ślicznych, że aż dopraszających się całowania.

— Wybawiłaś mnie, Hanusiu — rzekł dźwięcznym głosem. -- Byłem zaczarowanym królewiczem, a tyś zdjęła ze mnie przekleństwo! Dziękuję ci, Hanusiu, najpiękniejsza z dziewic i najszlachetniejsza z córek na świecie!

I zdumionej i zachwyconej Hanusi opowiedział, że jego ojciec panuje w sąsiednim królestwie i że macocha, bardzo zła i przewrotna baba, zaczarowała go w tę poczwarę... I że długo czekał na wybawienie. Aż nareszcie się doczekał. A mogła go wyratować tylko dziewczica o kryształowym sercu, w którym mieści się miłość do człowieka... A że ona ma i to kryształowe serce, i tę miłość, przeto prosi o nią i dla siebie!...

Innymi słowy były to oświadczyzny odczarowanego królewicza.

Co się potem działo, znowu trudno opisać!... Krótko mówiąc, było ogromne wesele i radość, i szczęście, i ja także byłem na onym weselu i, co widziałem i słyszałem, jeszcze opiszę.

A więc były bożątka, były całe regimenty bożątek, dla których pod ławami stały miski pełne mleka. Były jaroszki, całe regimenty jaroszków, które fikały koziołki, skakały, przewracały się, kuglowały i po kątach ogryzały kości z uczyty i palcami wybierały konfitury ze słoiaków. Było i echo, podobne do mysikrólika kłapoucha, siedziało na gzymsiku pod stropem i powtarzało kilka razy to wszystko, co królewicz Jaś szeptał do ucha uradowanej królownie Hanusi. Organiści grali na stu organach, pan hycel wypuścił na wolność wszystkie złapane psy, kominiarz wyczyścił wszystkie kominy zamkowe, a podskarbi rozdawał królewskie skarby poddanym króla Kalasantego Małego.

I wszyscy ogromnie się radowali, że król Kalasanty Mały już nie ma w piersi zmarzniętego głąba kapuścianego, lecz prawdziwe serce, że już nie jest chciwcem i że królowna Hanusia i królewicz Jaś są dobraną parą. I wszyscy śpiewali, żeby oboje żyli sto lat i jeszcze raz sto lat, a echo powtarzało kilka razy: Sto lat... lat... lat!... — I ja też tam byłem i wino piłem, marcypany jadłem i ogromnie się radowałem, że wszystko tak dobrze się skończyło.

## O TYM, JAK ŚMIERĆ BYŁA MATKĄ CHRZESTNĄ

Był raz jeden krawiec, który miał dużo dzieci. Dzieci mu się rodziły i rodziły, nawet powoli zapominał, jak się które nazywa. Gdy miał już ich dwanaścioro, w domu zaś bieda aż piszczała, i nie wiedział, co robić, by tyle dzieci wyżywić, poszedł do lasu z powrozem, żeby się powiesić na suchej gałęzi.

Chodził po lesie i chodził, i szukał drzewa o suchej gałęzi. A. gdy tak chodził, spotkał Śmierć siedzącą na pniu. Śmierć odłożyła kosę i coś majstrowała koło swojej płachty, którą była odziana.

„To dobrze! — pomyślał krawiec. — Spotkałem Śmierć, więc nie będę się wieszał na suchej gałęzi”.

Przystąpił do niej i grzecznie pozdrowił.

Śmierć podniosła głowę i teraz dopiero ujrzała krawca.

— A, dzień dobry! — rzekła uradowana. — Pięknie witam, majsterku!

— Dziękuję za witanie!

— Dobrze, majsterku, żeś przyszedł! Masz z sobą igłę i nici?

Krawiec zawsze nosił z sobą igłę i nici, bo cóż by to był za krawiec? Powiedział przeto, że ma igłę i nici.

— To mi prędko zeszyj tę płachtę, bo gdym szła przez wieś, napadły mnie psy i podarły ją na strzępy... i pokazała podartą płachtę.

— Czemu nie? — zgodził się krawiec. — Już się robi! — I usiadł na mchu z podwiniętymi nogami. Nawłókł nitkę do igły i zeszył podartą płachtę. A gdy podał ją Śmierci, ona zapytała:

— Zanim ci podziękuję i wynagrodzę, powiedz mi, dlaczego włączysz się po lesie z powrozem w dłoni i wypatrujesz suchej gałęzi? Powiesić się chciałeś ?

— Yhy! — bąknął krawiec.

— O, ty głupi! — rzekła Śmierć. — Strasznie jesteś głupi, jak stare sadło! Bez mojej pomocy nie mógłbyś się przecież powiesić, ją zaś nie mam ochoty ci pomagać. Tym bardziej że połatałaś mi i pozszywałaś płachtę. Za tę twoją uczynność pięknie ci dziękuję, a teraz mi powiedz, czemu chciałeś się powiesić?

— Ech, bo widzisz... mam w domu taką kupę dzieci, że już nawet zapominam, jak się które nazywa. A bieda u mnie stomiliońska, choćby człowiek wbił zęby do ściany, nic nie ugryzie!... A na dodatek, gdym szedł do lasu, żeby się powiesić, moja baba poszła nad staw i w sitowiu znalazła koszyczek z trzynastym dzieckiem. Takim maleńkim. I to już mnie tak dosmoliło, że pomyślałem, było nie było, nie dam rady takiemu życiu...

— Majsterku, aleś ty głupi, aże głupi! Gdybyś był trochę mądrzejszy, mnie byś zaprosił jako matkę chrzestną do tego trzynastego dziecka!

— Jako matkę chrzestną? — zdumiał się krawiec.

— Czemu się dziwisz? Przecież mogę być matką chrzestną! Czy nie? W ten sposób odwdzięczę ci się za twoją uczynność, za to, żeś mi płachtę zeszył i połatał.

Krawiec pomyślał, że to bardzo dobrze, iż Śmierć wprasza się w kumy, bo z pewnością nie omieszka obdarzyć chrześniaka bogatym wiązaniem, będzie to pewnie jakiś królewski podarunek...

— Bardzo będę ci rad, zacna Śmierci, że moje trzynaste dziecko spotka taki niebywały zaszczyt! — rzekł dwornie. — A kiedy przyjdiesz?

— Za tydzień!

Krawiec pięknie jej podziękował i poszedł do domu pokrzepiony na duchu. Śmierć zaś

odziała się płachtą, zarzuciła kosę na ramię i powędrowała w świat, by robić swoje.

Za tydzień przyjechała we wspaniałej kolasie zaprzężonej w dwa białe konie. Nikt by jej nie poznał, gdyż przybrała postać pięknej i dostojnej pani w bogatych szatach. Tyle tylko, że w kolasie miała kosę i ta kosa sterczała z niej na drogę. Powoził zaś pacholik w liberii, w peruce i w czarnych rękawiczkach. Nikt nie zauważył, że ów pacholik ma pod peruką capie różki, a z palców rękawiczek wyłażą krogulcze pazury.

Zauważył to tylko krawiec i zaraz wiedział, że to młody diabeł powozi. W tyle kolasy zaś było misterne siodełko, na którym siedział drugi pacholik w różowym fraczku, z pięknie trefioną peruką na głowie, śliczny jak obrazek kupiony na odpuszcie. Nad jego głową unosił się ledwie widoczny świetlisty krążek. A spod fraczka wyłaziły białe koniuszki złożonych skrzydeł, w dłoni zaś trzymał pachnącą leluję.

Krawiec teraz już wiedział, że to anioł będący, podobnie jak tamten diablik, w służbie Śmierci. Trochę go to dziwiło, lecz bardzo nie.

I dobrze.

— A kto będzie ojcem chrzestnym? — zapytała Śmierć.

— Organista...

Zajechali więc do kościoła z dzieciątkiem. Diabełek pozostał przy koniach, aniołek szedł za Śmiercią i niósł jej tren od sukni. Bo miała bardzo długą suknię. Organista już czekał. Potem zaczęła się ceremonia. Ksiądz proboszcz mrucał po łacinie, a organista trzymał dzieciątko do chrztu.

Śmierć zaś asystowała jak prawdziwa matka chrzestna. Podczas tej ceremonii aniołek podsuwał leluję pod nosk dzieciątka, by nie płakało. Ono zaś pociągało łakomie perkatym noskiem i popiskiwało z ukontentowania.

Na chrzcie dano mu na imię Feliks.

Potem wrócono do rodziców malutkiego Feliksiątka. Aniołek wtedy, gdy już miano ruszyć, prawie że wyfrunął na tylne siodełko, a diabeł zaciął konie i pojechali do domu.

A gdy już byli w domu, Śmierć rzekła do krawca, jego żony, organisty i sąsiadek, które zbiegły się po sąsiedzku:

— Moi roztomili ludeczkowie! Bawcie się i weselcie sami, bo ja muszę wracać do siebie. Mam bardzo dużo roboty... A oto macie woreczek dukatów jako wiązanie dla chrześniaka Feliksa. Tych dukatów oszczędzajcie, a gdy Feliks urośnie, niech się kształci na lekarza. Gdy będzie wykształconym medykiem, odwiedzę go i powiem, co ma robić, by był istotnie szczęśliwym, jak mówi jego imię Feliks.

I tak się stało, jak naporęczyła, czyli jak poleciła kuma. Feliks rósł zdrowo, uczył się wszelkich mądrych rzeczy, a potem jeszcze pojechał w świat, by uczyć się na medyka. Tymczasem jego rodzice pomarli, a sześciu braci i sześć siostr rozproszyło się po świecie.

Po skończonej nauce wrócił Feliks do rodzinnej wsi, lecz nie zastał tam nikogo ze swoich. Usiadł przeto na progu opuszczonej i zaniedbanej chałupki swych rodziców i ciężko się zafrasował. Pomyślał, co mu po tej nauce i po tej wiedzy medyka, jeżeli nie wie, gdzie jego bracia i siostry.

Zeszli się ludzie ze wsi, lecz nikt go nie poznał. Dopiero gdy im powiedział, że to jest on, Feliks, syn majstra krawieckiego, przypomnieli go sobie i bardzo się dziwili:

— Saperlajdy, jaki z ciebie wyrósł postawny człowiek!

— Powiedzcie, gdzie moi bracia i siostry? — zapytał.

Nikt nie wiedział, gdzie jego bracia i siostry. Po śmierci krawca i jego żony wszystkie dzieci rozeszły się po świecie. Jeden tam, drugi gdzie indziej, każdy w inną stronę.

— Pokażcie mi przynajmniej, dobrzy ludzie, gdzie jest grób moich rodziców! — prosił Feliks.

Ludzie zaprowadzili go na cmentarz i pokazali mu wspólny grób rodziców. I wtedy Feliks gorzko zapłakał, bo grób był zaniedbany, zarośnięty chwastami i opuszczony.



Ludzie poszli do domu, bo nie chcieli mu przeszkadzać w jego ciężkim i żalonym rozmyślaniu. On zaś usiadł na grobie i popłakiwał, i wzdychał, i czynił sobie wyrzuty, że gdy przebywał w dalekim świecie, w bardzo wielkim mieście i uczył się medycyny, i hulał za dukaty kumy, to rodzice, bracia i siostry klepali biedę, potem rodzice umarli, a bracia i siostry udali się w świat z pewnością rozżaleni, że mają takiego nieużytego brata.

— Pójdę ich szukać! — postanowił głośno i zaraz uczyniło mu się lżej na sercu.

— Dobrze zrobisz! — posłyszał za sobą czyjś głos.

Feliks obejrzał się i ujrzał Śmierć z kosą. Stała odziana w płachtę, a jej kosa srebrzyła się w letnim słońcu.

— Przyszłaś po mnie? — zapytał.

— Nie! Jeszcze mam czas... Przyszłam, bom jest twoją matką chrzestną. I przyrzekłam, że gdy się wyuczysz na medyka, przyjdę znowu i powiem, co masz czynić, byś był szczęśny, jak to prawi twoje imię Feliks.

— Wcale nie jestem szczęśny, jak prawi moje głupie imię Feliks, lecz nieszczęśny jestem, bardzo nieszczęśny! I byłoby najlepiej, żebyś mnie zabrała z tego świata...

— Nie fanzol po daremniczy, aże nie! — zbesztła go Śmierć. — Tobie się wydaje, że już wszystkie rozумы pozjadałeś i dlatego opowiadasz takie pleciugi! Szczęśny... nieszczęśny... Szczęśny jesteś i będziesz nim, jeżeli uczynisz toż, co ci powiem!

— A co mi powiesz?

— Uważaj dobrze! Staniesz się najślawniejszym medykiem na świecie. Już w tym moja głowa. Swych braci i swoich sióstr możesz szukać. Nawet tym lepiej dla ciebie, bo zwiedzisz cały świat. A gdy tak będziesz wędrował po świecie, raz po raz zawoła cię ktoś do chorego człowieka. Tym bardziej że poprzedzać cię będzie wielka sława... I teraz uważaj dobrze! Gdy przyjdiesz wezwany do chorego człowieka i zobaczysz, że stoję u wezgowia, przepis choremu byle co. Nawet zwykłą wodę podawaną w kroplach na cukrze. Chory wstanie zdrowy jak ryba. Jeżeli jednak zobaczysz, że stoję po drugiej stronie łóżka, u nóg chorego, wszystko przepadło. Ten chory człowiek musi umrzeć i twoja wiedza medyczna nic nie pomoże. Wszystko zrozumiałeś?

— Zrozumiałem!

— No, to idź teraz w świat... — rzekła i zniknęła.

A Feliks poszedł w świat szukać swych braci i sióstr i leczyć ludzi, u których wezgowia będzie stała Śmierć z kosą.

I dobrze.

Wędrował więc po świecie. Najpierw jako zwykły wędrowiec, piechotą, w podartych butach, z węzełkiem na plecach i wszędzie pytał ludzi, czy nie wiedzą, gdzie są jego siostry i bracia.

— Nie wiemy, wędrowniczku, nie wiemy! — mawiali ludzie.

— A jest u was we wsi ktoś chory?

W każdej wsi znalazł się taki chory. Przeto Feliks szedł do niego i patrzył, gdzie stoi Śmierć, którą on tylko widział, a poza tym nikt. Jeżeli stała u wezgowia, podawał choremu dziesięć kropelek wody z cukrem i chory w oka mgnieniu zdrowiał. Jeżeli zaś Śmierć stała u nóg chorego, Feliks powiadał, że darmo larmo, on tu nic nie pomoże.

Ponieważ jednak tych uzdrowionych było więcej aniżeli tych, których nie mógł uzdrowić, rychło rozniosła się wieść, że po świecie wędruje przedziwny lekarz, który leczy kropelkami na cukrze, i że chorzy w tym oka mgnieniu wstają z łóżek uzdrowieni.

I gdzie tylko się pojawił, już czekali ludzie i prosili go, by uzdrowił chorych. On ich leczył, a uradowani ludzie sownie go wynagradzali. Do tego w końcu doszło, że już nie wędrował piechotą, w podartych butach, z węzełkiem na plecach, lecz jechał w szumnej kolasie zaprzężonej w cztery konie, a z nim kilku służących we fraczkach i perukach, za nim pako-wny wóz pełen kufrów, w kufrach zaś bogaty przyodziewek i mieszki z dukatami. I w końcu

stał się tak sławny, że poprzedzał go herold ze złożoną trąbą i głosił, i trąbił na cztery strony świata, że za godzinę, za dwie nadjedzie tutaj najslawniejszy z całego świata medyk, mąż wielkiej nauki, doktor wszech nauk lekarskich, imię pan Feliks.

Wtedy rychło mieszczanie stawiali bramę triumfalną, zwoływali muzykantów, pan burmistrz wieszał na szyi złoty łańcuch i na czele tłumu wychodził witać najmądrzejszego medyka nad medykami. Burmistrz prawił wtedy szumną orację, a po oracji wiódł go do chorych, Feliks zaś albo ich uzdrawiał dziesięcioma kroplami wody nakapanymi na kostkę cukru, jeżeli Śmierć stała u wezłowia, albo rozkładał dłonie i mawiał, że darmo larmo, chory musi umrzeć...

Że jednak umierających było mało, a przeważnie wszyscy wstawali uzdrowieni, przeto w takim mieście była ogromna radość i znoszono medykowi podarki, dukaty, co tylko...

A potem jeszcze Feliks pytał ludzi, czy nie wiedzą czegoś o jego braciach i siostrach. Nie wiedzieli.

Przeto Feliks z piołunem w sercu jechał dalej.

Już przejechał może pół świata, a o braciach i siostrach nikt nie słyszał. I chociaż jego sława rosła i równała się już prawie królewskiej, i chociaż pakowne bryki mnożyły się, a na brykach w kufrach mnożyły się skarby, złoto, dukaty i talary, on był smutny, a w sercu zamiast miodu przelewała się gorycz.

Tak długo, aż jednego razu wjechał w ogromne lasy. Zbójników się nie lękał, bo miał sporo służby uzbrojonej we flinty, pałki, cepy i w jedną zardzewiałą armatkę.

Jedzie więc tak przez ogromny las i jedzie, aż pod wieczór przyjechał na wielką polanę. Na jej skraju ujrzał mizerną chałupkę. Zatrzymał się przeto, służbie kazał rozpalić ognisko i upiec wołu, a w kotle nawarzyć gulaszu, sam zaś poszedł do tamtej chałupki.

Była to chałupka pustelnika. Leżał on na posłaniu z mchu i dogorywał.

— Co wam to, panie pustelniku?

— Umieram... — wyszeptał chory z wysiłkiem. — A jeszcze nie spełniłem swojej pokuty...

Feliks uśmiechnął się zadowolony i nie pytał, jaka to pokuta, gdyż ujrzał Śmierć z kosą stojącą u wezłowia pustelnika.

— Uzdrowię was, panie! — rzekł. Wyjął z puzdra kostkę cukru, z buteleczki nakapał na nią dziesięć kropel wody i podał choremu. Ten zjadł z wysiłkiem, bo nie miał zębów i kostkę musiał ssać. I ku swemu zdumieniu, gdy ostatnią drobinę, cukru połknął, uczuł, że przychodzi doń zdrowie. Wstał z mchu i rzekł:

— Jestem już zdrowy!

I zaśpiewał jakiś psalm dziękczynny. A gdy cały prześpiewał, zapytał Feliksa:

— Powiedz, jak ci się odwdzięczyć?

— Niczego od was nie pragnę, jak tylko rady! — rzekł Feliks.

Pustelnik zapytał przeto, o jaką radę mu chodzi. Feliks usiadł obok niego i wszystko opowiedział. Że Śmierć jest jego matką chrzestną, że uczył się w dalekim świecie na medyka, że prawie wszystkie medyczne rozумы pozjadał, że był jednak niedobrym synem i bratem, bo gdy w dalekim mieście miał wszystkiego w bród, jako że dukaty podarowane przez kumę na wiązanie starczyły mu na dostatnie życie i na hulankę, gdy więc tak żył, jak pączek w maśle, wcale się nie zastanawiał nad tym, co robią jego rodzice, sześć sióstr i sześciu braci. A oni wszyscy mieli w domu wielką biedę i na obiad jadali chudą wodziankę, a suchy chleb smarowali — zamiast masłem — komarowym sadłem. I gdy skończył nauki, wrócił jako medyk do swojej rodzinnej wsi po wielu latach i nie zastał już ani rodziców, gdyż umarli, ani rodzeństwa, gdyż rozeszło się po świecie. I że teraz gryzie go sumienie, że był taki niedobry, i szuka braci i sióstr w świecie, a nie może ich znaleźć.

— Może wy, panie pustelniku, powiecie mi, gdzie ich szukać?

Pustelnik słuchał pilnie zwierzeń Feliksa, gładził swoją długą, białą brodę, głaskał się

po łysinie, a gdy Feliks skończył, tak rzekł:

— Dowiemy się w nocy, co stało się z twymi braćmi i siostrami. Popatrzę w gwiazdy na niebie i odczytam w nich wszystko.

Gdy już noc nastała, a gwiazdy Wysypały się na niebo, pustelnik wyniósł z chałupki lunetę, oparł ją o wierzbę i jął patrzeć; Długo patrzył, kiwał głową, trochę się gniewał, bo wiatr przepędzał chmurki, a one zasłaniały niebo W końcu jednak ujrzał gwiazdy braci i sióstr Feliksa. I patrząc przez lunetę jął mówić:

— Oto widzę gwiazdę twego najstarszego brata... Twój najstarszy brat klepie biedę, ma sześcioro dzieci i jest lepigliną. To znaczy lepi garnki i miski, wypala je i sprzedaje na jarmarkach. Zarobi jednak zaledwie na słońną wodę...

— A gdzie się znajduje?

— Na wschód od nas. W dalekiej krainie, między czarnymi ludźmi...

— A ten drugi brat?

— Ho, ho, ten drugi brat jest rybakim. Mieszka nad morzem i codziennie wyjeżdża łódką daleko i łowi ryby. Też u niego stomiliońska bieda... A to jest na południe od nas...

— A ten trzeci brat?

— A ten trzeci brat jest wojakiem u wielkiego króla. Ten ma się dobrze. A znajduje się trochę na prawo od południa...

— A ten czwarty brat?

— A ten czwarty brat szyje buty. Piękne buty szyje. Nic złego nie można o nich powiedzieć. Lecz nie powiedziałbym, że u niego zbytnio się przelewa. Ledwie że wiąże koniec z końcem...

— A ten piąty brat?

— Ho, ho, ten piąty brat jest młynarzem i miele zboże, lecz trochę cygani. Owszem, temu chyba powodzi się najlepiej. Tylko że daleko nie ujedzie z tym cygaństwem...

— A ten szósty brat?

— Ten szósty brat jest zbójnikiem w bardzo wielkim lesie i pisana mu szubienica, jeżeli nie skończy rychło z niecnym rzemiosłem!

Te ostatnie wiadomości zasmuciły Feliksa. Ponieważ był jednak ciekawy, co się dzieje z jego siostrami, zapytał przeto pustelnika:

— Czy widzicie, panie pustelniku, gwiazdy moich sześciu sióstr?

— Widzę — rzekł i jął czytać w gwiazdach, że jedna siostra jest kucharką u bogatego kupca, druga handluje ziołami i nasionami, trzecia szyje suknie księżniczkom, czwarta niańczy dzieci obcym ludziom za chudą strawę, piąta pasie owce w bardzo wysokich górach, a ta szósta... — tu zawahał się pustelnik, jął przecierać lunetę.

— Co się dzieje z szóstą siostrą, tą najmłodszą, panie pustelniku? — zaniepokoił się Feliks.

— Zaraz... zaraz... Oj psia wełna! Obłok wlaź mi w drogę i zasłonił gwiazdę twojej najmłodszej siostry. Poczekamy, aż przyleci wiatr i odegna chmurę... A przez ten czas trochę sobie odpocznę i oczy wytrę, bo mi się od pilnego patrzenia załzawiły...

Czekali więc teraz, że przyleci wiatr i obłok przepędzi. Lecz że wiatr gdzieś się zawieruszył i nie nadlatywał, przeto czekali dalej.

— Jak ja ich odnajdę? — frasował się Feliks.

— I na to mam radę! — pocieszył go pustelnik.

— Jaką ?

— Niezadługo będą odlatywały ptaki do ciepłych krajów. A więc bociany, dzikie gęsi i kaczki, słowiki, szpaki... No, kupa tego ptactwa będzie! To one powiedzą twoim braciom. A co miałyby powiedzieć?

— Żeby wszyscy wracali do naszej rodzinnej wioski, gdzie czekam na nich... A jak to uczynicie, panie pustelniku?

— Bardzo prosto. Przed odlotem zbierają się na mojej polanie i naradzają, którądy lecieć, jak lecieć, kiedy lecieć. Wszystkie mnie znają. To ja powiem przewodnikowi każdej ptasiej gromady, że po drodze mają odszukać twoich braci i twoje siostry i powiedzieć im, że ich wzywasz do powrotu. I wszystko będzie w porządku... Ale zdaje mi się, że nadleciał wiatr i przepędza obłok.

Istotnie nadleciał wiatr i przepędził obłok. Pustelnik przystawił oko do lunety, jął patrzeć i szukać gwiazdy najmłodszej siostry Feliksa. Długo szukał, aż w końcu szepnął:

— Jest!

— Co jest? — zapytał Feliks.

— Gwiazda twojej najmłodszej siostry... Ale ogromnie blada... Ledwie że ledwie tli się... Ojej, przecież ona powoli gaśnie! Medyku! Twoja siostra umiera!

— Umiera? Gdzie jest? Powiedzcie, panie pustelniku! Gdzie? Popędzę na najszybszym koniu, by ją uleczyć!

— O, widzę... Za tym wielkim lasem jest zamek. W zamku panuje ogromny smutek. Dlaczego jest tam taki smutek, gwiazdy nie mówią. A pod zamkiem, w mizernej chałupinie, na barłogu, na zgniłej słomie leży blada dziouszka, twoja siostra... Umiera... Widzę dobrze! Śmierć stoi u jej nóg...

Feliks już nie słuchał, lecz wskoczył na najszybszego konia i pognął w głęboki las, by ratować umierającą siostrę. Ale, jak powiedział pustelnik, Śmierć stoi u jej nóg!... A więc musi umrzeć! Nie! Niech się stanie, co chce, Feliks uratuje siostrę... Ale wtedy sam umrze! Wszak Śmierć mu powiedziała, żeby nigdy nie odważył się jej oszukać! Bo tamtemu choremu człowiekowi wprawdzie wróci życie, lecz zapłaci za to swoim.

„Dobrze, dobrze! — myślał teraz i bódł boki rumaka ostrogami, by jak najprędzej dobiec do umierającej siostry. — Dam swe życie za jej życie!”

Las był czarny, hukwały sowy, puchacze i puszczyki, z gęstwy wylaziły okrutne wilkołaki i kłapały paszczkami, by pożreć Feliksa i konia. Zabiegały mu drogę jakieś poczwary, straszdyła, utopce, nocznice, cudaki o wytrzeszczonych oczach, a wszystko tamto tałatajstwo hukowało, skrzeczało, kłapało paszczkami, ziało płomieniami i dymem... A on nic! Nisko nachylony nad karkiem rumaka, bódł go ostrogami i gnał, i gnał przez czarny, ponury las...

Wypadł wreszcie z lasu, a słońce już wschodziło. I Feliks ujrzał przed sobą wielką krainę mlekiem i miodem płynącą, wierzby z dojrzewającymi gruszkami, kielbasiane płoty, drogi wybijane talarami i dukatami, a na drodze cwałujących w jego kierunku rycerzy w złocistych zbrojach, lecz z opuszczonymi przyłbicami i w hełmach omotanych czarnym muślinem.

Na widnokręgu lśnił w słońcu złocisty zamek na wysokiej złocistej skale, zamek wspinały, dumny i wyniosły, lecz z jego baszt i wież zwisały czarne chorągwie...

Dopadli Feliksa rycerze, stanęli, podnieśli przyłbice i wtedy ujrzał, że wszyscy byli smutni i wycierali łzy z oczu. A jakiś wspaniały rycerz, widocznie ich hetman, wysunął się do przodu, zsiadł z konia, zdjął hełm z głowy i zamiatając pawim pióropuszem pył spod nóg rumaka Feliksa, tak zaczął:

— Szlachetny mężu, krynico mądrości, niechaj cię niebo błogosławi!

— Dziękuję za witanie! Lecz powiedz, rycerzu, o co wam chodzi?

— Po ciebie przyjechaliśmy!

— Dlaczego przyjechaliście po mnie?

— Nasza królowna umiera! — rzekł i rzewnie zapłakał. Wszyscy rycerze zaś, a było ich z pół kopy, zaczęli tak mocno chlipać, pociągać nosami, płakać, wycierać kułakami toczące się z oczu łzy, że Feliksowi na ów widok serce krajało się na malutkie ćwierci.

— I ty, szlachetny mężu, skarbnico wiedzy medycznej, ty nam uzdrowisz królownę...

— Ale skąd wiecie, że to jestem ja, medyk nad medykami?

— Na naszym królewskim zamku jest czarodziejskie lustro. Wystarczy coś pomyśleć i

spojrzeć do lustra, a ono wszystko powie. Król pomyślał, że gdyby najślawniejszy medyk, imię pan Feliks, przyjechał, królowa byłaby wyleczona. Potem spojrział w lustro i widział cię, jak pędzisz przez ciemny las i jak wilkołaki, smoki, bazyliuszki, czutory, jaroszki i inne diabły dybią na twoje życie... Wtedy nadwornej czarownicy, nazywa się Kleopatra, kazał wyrzec zaklęcie i to zaklęcie chroniło cię przed tamtą hulastrą...

— Dobrze, ale ja nie mam wiele czasu! Mnie się ogromnie śpieszy do siostry.

— Szlachetny mężu! Pół królestwa będzie ci dane w nagrodę...

— Ale mnie bliższa siostra! Muszę najpierw swą siostrzyczkę ratować!

— A gdzie ona?

— W jakiejś chałupinie pod zamkiem. Leży samotna na barłogu, na zgniłej słomie...

— Już wiem! To królewska świniarka! Świnie paśla... Ale ona już chyba umarła, bo gdy jechaliśmy, to ledwie zipała. Żmija ją ukąsiła...

— Tak! Ona już umarła! — zamruczeli wszyscy rycerze, a było ich z pół kopy.

— Boże! Co teraz? Do niej jadę! — i dziobnął rumaka ostrogami. Koń pognął galopem. Lecz rycerze za nim, a że ich konie były wypoczęte, rumak Feliksa zaś zmęczony, przeto rychło go dobiegli, otoczyli i poprowadzili na zamek. Feliks wydzierał się, bronił, w końcu kłął szpetnie, lecz to nic nie pomagało. Na zamkowym dziedzińcu zsadzili go z konia i przemocą wprowadzili do komnaty, gdzie umierała królowa

Gdy ją Feliks ujrzał, stanął olśniony, gdyż piękniejszej dziewczicy nigdy jeszcze nie widział. Oczy miała jak bławatki, włosy rozpuszczone i tak złote, iż rzekłbyś, słońce udzieliło im swojej królewskiej pozłoty, a usta słodkie jak turecki miód. Była tak blada, że bielutkie prześcieradło, na którym spoczywała, wydawało się być prześcieradłem kominiarza.

Siwy król w koronie na głowie ukłonił się w pas Feliksowi, a tak okrutny żal i ból ścisnęły jego serce, że nie mógł słowa wykrztusić. Z jego wypłowiących oczu sypały się zaś łzy duże jak bób. A wszyscy dworzanie stali z opuszczonymi głowami i również płakali, tylko że ich łzy były trochę mniejsze. Niektóre były podobne do ziarenek grochu, inne do ziarenek prosa, a inne jeszcze do ziarenek maku. I sto służebnych dziewczyn wycierało ścierkami podłogę z tych łez.

Król więc nic nie rzekł, tylko skłonił się w pas przed Feliksem i wskazał na umierającą królowę.

Feliks przystąpił do jej łóżka i załamał ręce z rozpaczą. Miał szczerą chęć uzdrowić królowę, lecz niestety. Śmierć stała u jej nóg i patrzyła spode łba na niego. A gdy Feliks zastanawiał się, jak ją podejść i gdy do głowy przychodziły mu różne zuchwałe myśli, Śmierć je przejrzała i pogroziła mu palcem.

Wtedy zmartwiony Feliks rozłożył przed królem i dworzanami ręce na znak, że jest tutaj bezsilny. A w tej samej chwili Śmierć ciach! kosą i królowa wyzionęła ducha. A ten duch w postaci małego szczyglika wyfrunął przez otwarte okno i już było po wszystkim.

I gdy to się stało, słońce zakryło się czarnymi obłokami i zaległa wielka ciemność. Dzwony same rozjęczały się żałośnie. Ptaki zamilkły. Król zaś upadł na podłogę, a za nim wszyscy dworzanie. I wszyscy wraz z królem darli szaty, targali włosy i brody, a łez było teraz tak dużo, że przybiegło jeszcze dalszych sto dziewczyn służebnych, by wycierać podłogę.

Wtedy Feliks zobaczył, że już tu nie jest potrzebny, i wyszedł z zamku bardzo smutny, chociaż nie płakał. Udał się do mizernej chałupki pod zamkiem. Chałupka była krzywa, podparta drągiem, a koło niej rechotały świnię i zagładały przez małe okienko do swej umierającej pasterki. Te świnię płakały po swojemu i były również bardzo smutne.

Feliks wszedł do chałupki i ujrzał w izdebce wyrko zasłane zgniłą słomą, a na nim swoją siostrę ledwie dyszącą. A więc nie umarła, jak krakali tamci rycerze.

Przystąpił bliżej i ujrzał to, co mu powiedział pustelnik. Oto Śmierć istotnie stoi u jej nóg i osełką ostrzy kosę. Pluje raz po raz na osełkę i ostrzy!

Wtedy Feliks niewiele myśląc, podbiegł do wyrka, ujął je i zanim zdumiona Śmierć

pojęła, co to się dzieje, odwrócił je w taki sposób, że teraz stała u wezglowia umierającej siostrzyczki. Śmierć strasznie oburzona pogroziła pięścią Feliksowi. On zaś nakapał na kostkę cukru dziesięć kropel wody i podał siostrze. Ta zjadła i wstała zdrowa z barłogu.

— Siostrzyczko moja! — krzyknął ucieszony.

— Mój złoty braciszku! — uradowała się siostra.

I wpadli sobie w ramiona.

Śmierć jednak ujęła Feliksa za rękę i rzekła grobowym głosem:

— Chodź ze mną!

I poprowadziła go. Nim się Feliks spostrzegł, ujrzał się w jakiejś podziemnej komnacie rześście oświetlonej płonącymi świeczkami. Świeczek było bez liku. Jedne płonęły żywym płomieniem, inne dopiero się zapalały, a jeszcze inne dopalały i raz po raz jedna za drugą gasły.

— To są ludzkie żywoty! — rzekła Śmierć. — Te świeczki, które się dopalają i pełgają słabnym płomyczkiem, to umierający ludzie. Te, które dopiero się zapalają, to rodzący się ludzie. A te, co tak pięknie płoną żywym płomieniem, to ludzie w sile wieku. A chcesz, Feliksie, mój nieszczęsny chrześniaku, widzieć swoją świeczkę?

— Proszę mi pokazać!

Śmierć poprowadziła bliżej Feliksa. I teraz dopiero spostrzegł, że dopalające się świeczki gasi tamten mały diabełek, a nowe świeczki zapala aniołek.

— Oto twoja świeczka! Patrz, ty nieszczęsny Feliksie! — rzekła Śmierć i wskazała na dopalający się ogarek.

— A więc muszę umrzeć? — zapytał Feliks.

— Musisz! Hej, Kopyrdelec! — zawołała na diabełka. — Gaś ogarek Feliksa!

Kopyrdelec podskoczył, kwiknął uradowany i już nadał policzki, by dmuchnąć na ogarek Feliksa, lecz w tejże chwili stała się rzecz dziwna, przedziwna.

Oto aniołek frunął na tęczowych skrzydłach z dużą świeczką w dłoni, zasłonił ogarek skrzydłami i rzekł:

— Wynos się, Kopyrdelcu, gdzie pieprz rośnie!

— Ha, Serafin ku, co to znaczy? — zaskrzeczała zdumiona Śmierć.

— Z wyroku niebios mam od gasnącego ogarka Feliksa zapalić nową świecę... Bo w niebie uradzono, że Feliks postąpił szlachetnie. Swoje życie chciał oddać za życie siostry.

— Ha, jeżeli tak... — mruknęła Śmierć. A ponieważ diabełek Kopyrdelec wciąż się dopychał do ogarka, by jego płomyczek zdmuchnąć, rozgniewała się, odwróciła kosę i jej drzewcem sprąła uparciucha. Serafiniek zaś od gasnącego płomyczka zapalił nową świecę.

I wtedy stała się znowu rzecz dziwna, przedziwna. Bo nim się Feliks spostrzegł, znowu ujrzał się w chałupince przed swoją siostrzyczką. Wziął ją przeto za rękę i wyprowadził. A wszystkie świnki, wieprzki, knury, prosiątka i nawet warchlaki jęły kwiczeć z wielkiej radości i podskakiwać. Ogonki poskręcały sobie w takie precelki i tańczyły, i fikały koziołki.

I dobrze.

Potem już wszystko tak się działo, jakby to było w bajce. Feliks wrócił ze swoją siostrzyczką, służebnikami i wozami do swej rodzinnej wsi. Ptaki uwiadomiły resztę sióstr i sześciu braci, że czeka na nich Feliks, i z wiosną, gdy bociany, gile, czyżyki, dzikie gęsi i słowiki wracały z cieplic, czyli z dalekich krajów, do domu, za nimi wracali bracia i siostry Feliksa. A gdy już wszyscy wrócili, Feliks podzielił między nich swoje nieprzebrane bogactwa, sobie zaś niewiele zostawił. I gdy bracia i siostry teraz gospodarowali na swoim, Feliks zabrał kilo cukru w kostkach i ruszył w świat na chudej szkapinie, by leczyć ludzi...

I wszyscy bracia i siostry wraz z Feliksem długo żyli i dobrze się mieli, i jeżeli nie umarli, to jeszcze żyją, i dwie dziurki w nosie, trzecia w pończosze i skończyło się.

## PRZEDZIWIWA HISTORIA O DWÓCH SIOSTRACH

Były raz dwie siostry. Tej starszej było na imię Placyda, a ta druga, młodsza, miała na imię Stazyjka. Placyda była piękna, lecz Stazyjka była jeszcze piękniejsza. Placyda miała czarne oczy, czarne włosy, różane policzki i była ponura. Czasem była tak bardzo ponura, że wydawało się każdemu, iż jest noc, chociaż słońce świeciło. Gdy szła na przykład ścieżką przez las, wtedy wszystkie ptaki milkły, a pisklęta kuliły się pod skrzydłami matki i kwiliły bojaźliwie. Jedyne gawrony darły się i krakały bardzo szpetnie i łopotały czarnymi skrzydłami. A gdy szła przez ogród lub przez łąkę, kwiaty mdlały i więdły. Jedyne osty i kąkole rozkwitały i były bardzo uradowane.

— Czemu, siostrzyczko, jesteś taka ponura? — pytała nieraz Stazyjka.

Placyda albo nic nie odpowiadała, albo odburkiwała:

— Daj mi spokój, ty małpo zielona!

Stazyjka nie była wcale podobna do zielonej małpy, lecz do wiosennej jutrztenki, do najpiękniejszej lilii, do uśmiechu dziecka.

Jeden niesłychanie mądry filozof napisał siedem grubych ksiąg o tym uśmiechu Stazyjki, a ósmej księgi połowę. Pisał je zaś gęsim piórem maczanym w słońcu i miodzie. A podczas pisania tych siedmiu ksiąg, a ósmej księgi tylko połowy, zlatywały się ptaki, siadały mu na ramionach i na głowie, i na tych księgach, które już był napisał, i śpiewały mu bardzo pięknie. I przylatywał wiatr, niosąc mu z dalekiego świata zapach najurodziwszych róż. A pod kalenicą jego domku jaskółki ulepiły sobie gniazdko i przez cały dzień szczebiotały wdzięcznie. Wieczorem zaś, gdy już nadchodziła pora, by się kłaść do snu, tamten filozof czytał głośno, co napisał o uśmiechu Stazyjki. Wtedy jaskółki i jaskółczęta wychylały główki z gniazdek i słuchały z przejęciem, co im stary filozof czytał. A potem zasypiały, filozof zaś wychodził na ganek i patrzył na Mleczną Drogę na niebie. Wiedział bowiem, że gdy umrze, powędruje tamtą Mleczną Drogą do nieba. I tak też się stało. Bo gdy pisał ósmą księgę o uśmiechu Stazyjki, w połowie księgi umarł i powędrował istotnie po Mlecznej Drodze do nieba.

I dobrze.

A był jeden królewicz w dalekim kraju. Na imię miał Janek.

Ojciec jego, król Szłapeta III, miał z nim sto kłopotów i jeszcze kilka, bo chciał Janka ożenić z którąkolwiek księżniczką, a Jankowi żadna się nie podobała. Jedna była zezowata, inna kulawa, trzecia garbata, czwarta jąkała się bardzo, piąta była skąpa, a szósta tak bardzo gadatliwa, że gdy zaczęła gadać, to gadała i gadała, i nie mogła skończyć. Siódma chrapała podczas snu i wtedy wszystkim się wydawało, że to dwustu i trzydziestu siedmiu drwali piłuje drzewo. Ósma nie umiała do trzech zliczyć, a dziewiąta znów wszystkie rozumy pozjadała. Najgorzej było z dziesiątą księżniczką, gdyż umiała rozszczepiać włos na czworo, słyszała, jak trawa rośnie, i wiedziała, co w trawie piszczy. To wszystko nie byłoby jeszcze najgorsze. Najgorsze było, że domagała się ptasiego mleka i niebieskich migdałków.

— Gdybym miał ożenić się z taką księżniczką — powiedział wtedy Janek do swego ojca, króla Szłapety III — to musielibyśmy obaj, ojciec i królu, zejść na dziady! Nie starczyłoby ani srebra, ani złota w całym królestwie na zachcianki dziesiątej księżniczki o bardzo dziwnym imieniu — nazywała się bowiem Donna Pulcheria.

Ponieważ już nie było w państwie króla Szłapety III jedenastej księżniczki, przeto ani król, ani jego doradcy nie wiedzieli, co teraz począć. Król Szłapeta podrapał się jednak berłem po głowie i już wiedział, co uczynić. Zwołał cały dwór, wszystkich ministrów, generałów, nadwornego kominiarza i najmądrzejszego lepiglinę, czyli garncarza. I radzili wszyscy

przez trzy dni i trzy noce, aż w końcu nadworny astrolog spojrział przez lunetę na gwiazdy i tak oto rzekł:

— Królu jegomościu i wy wszyscy przezacni i mądrzy dworzanie! Oto widzę w gwiazdach jedną najpiękniejszą gwiazdę, a to jest gwiazda królewicza Janka. A obok niej drugą gwiazdę jeszcze piękniejszą, a to jest gwiazda precudnej dziewicy w bardzo dalekim kraju...

— A jak się nazywa ta precudna dziewica ? — zapytał królewicz Janek.

— Nazywa się tak pięknie, że gdy wypowie się jej imię, słowo to zamienia się w kłaskanie słowika, w wiosenną jutrzenkę i w uśmiech dziecka. Nazywa się Stazyjka.

Królewicz wysłuchał tego wszystkiego w milczeniu, lecz kręcił głową niedowierzająco.

— Czemu kręcisz głową, królewiczu? — zapytał astrolog.

— Bo nie dowierzam!

— Dlaczego ?

— Ponieważ tak samo wychwalałeś mi tamte księżniczki.

— Za przeproszeniem — przerwał mu astrolog. — Mogę cię przekonać, królewiczu, że teraz mówię prawdę.

— Przekonaj!

Wtedy astrolog sięgnął do głębokiej kieszeni w swym pstrokatym płaszczu i wydobył lusterko. Chuchnął nań trzykrotnie, coś zamamrotał, wyrzekł jakieś zaklęcie i pokazał je królewiczowi i wszystkim zebrany.

Wtedy dworzanie z królem Szłapetą III na czele osłupieli ze zdumienia. A gdy osłupienie minęło, zaczęli cmokać i kiwać głowami, i pociągać nosami ze wzruszenia, bo jak świat światem jeszcze nigdy nie widzieli tak ślicznej dziewczyny. I wszystkim się zdawało, że widzą jutrzenkę na niebie, że słyszą śpiew słowika, że zapachniało trzysta dwadzieścia pięć lili i że otworzyło się niebo przed nimi. I jeszcze im się to zdawało, że ich serca zamieniły się w beczki pełne najśłodszeogo miodu.

A królewicz Janek?

Ha, gdy ujrzał w lustrze Stazyjkę, aż dech zaparło mu z zachwytu, w oczach rozjarzyło się jakby ogromne słońce, że je musiał zakryć dłonią, a serce zatańczyło mu w piersi z radości i wzruszenia, jakby było pijane.

— Idę szukać Stazyjki! — postanowił. I już o nic więcej nie pytał, tylko wdział na siebie złoconą zbroję, włożył na głowę złoty hełm ze strusimi piórami, dosiadł czarnego rumaka, lewą ręką ujął tarczę nabijaną drogimi kamieniami, prawą srogą kopię i ruszył w świat na poszukiwanie Stazyjki.

Jechał, jechał i jechał, już minął trzecią rzekę i trzecią górę, potem czwartą rzekę i czwartą górę, potem już dojeżdżał do dziewiątej rzeki i dziewiątej góry i próżno szukał Stazyjki, i próżno się o nią dopytywał.

Dopiero gdy przepłynął na swym rumaku dziewiątą rzekę i przeszedł dziewiątą górę, ujrzał przed sobą wielką dolinę. Jechał najpierw przez gęsty las, a gdy już las się przerzedzał, spotkał pustelnika z długą, białą brodą. Przenocował w jego ubożuchnej pustelni, jako że był już bardzo zmęczony, a wczesnym rankiem osiodłał swego rumaka, wdział na siebie złoconą zbroję, włożył na głowę złoty hełm z pękiem strusich piór i już chciał ruszyć w dalszą drogę, gdy wyszedł pustelnik i tak mu rzekł:

— Wiem wszystko o tobie, królewiczu, bo mi o tym ptaki doniosły... A raczej tylko sroki, bo to są wielkie plotkarki. Dlatego nie pytałem ciebie o nic. Wiem, że szukasz prześlicznej dziewicy imieniem Stazyjka. Być może, że ją u nas znajdziesz. Tu dziewczyny mają takie imiona, jak Gustla, Hanka, Jadwiżka, może znajdzie się i Stazyjka. Gdybyś zatrzymał się u mnie jeszcze przez jeden dzień, wiedziałbym, czy Stazyjka jest w naszej krainie.

— Skąd, nabożny pustelniku, mógłbyś się dowiedzieć?

— Posłałbym sroki na zwiady i do wieczora wróciłyby z wiadomością.



— Ha, jeżeli byłbyś tak dobry, przezacny pustelniku, to zaczekam do jutra. A jeżeliby twoje sroki przyniosły wieść o Stazyjce, obsypałbym cię złotem!

— Niepotrzebne mi twoje złoto, królewiczu! Ja to czynię tylko dlatego, bo pragnąłbym ci nieba przychylić!

— Dlaczego? — zdumiał się królewicz.

— Bo moje sroki już dawno mi doniosły, że masz dobre, ludzkie serce!

— Nic nie wiem o tym! — zdumiał się królewicz jeszcze bardziej.

— Nie szkodzi!

Królewicz zdjął więc z siebie zbroję, zdjął z głowy hełm, odłożył tarczę i kopię i poszedł na wielką polanę, by paść swego czarnego rumaka. A był ogromnie ciekawy, czy sroki przyniosą wieść o prześlicznej dziewicy, która ma na imię Stazyjka.

Gdy pod wieczór wrócił z rumakiem do pustelnika, zastał go siedzącego pod kwitnącą lipą, na której wrzeszczały sroki. Może ich było sto dwadzieścia, a może więcej. Czyniły taki hałas, szwargot i piekło, że zdawałoby się, zeszyły się wszystkie plotkarki z całej krainy i, podobne do tej rozgadanej szóstej księżniczki z państwa króla Szłapety III, gadają i gadają jedna przez drugą. Aż dziw, że świątobliwy pustelnik nie wyskoczył ze skóry. Ale on tylko gładził brodę i słuchał plotek regimentu srok.

Sroki zaś gadały jedna przez drugą, ale gadały! A że to i tamto, że to ogromnie daleko, że na drodze czai się bardzo szpetny smok, a że w lesie siedzi dwunastu zbójników ze srogimi pałkami, którzy zgrzytają zębami, ostrzą noże i patrzą, kogo by tu napaść, a że trzeba przepłynąć wielkie morze, lecz w tym morzu jest pękaty wieloryb, ten sam, który połknął biblijnego Jonasza, a potem go wypluł, i że ten wieloryb czyha na śmiałka, który by się odważył przepłynąć owo morze. Dużo tego nagadały!

Janek nie rozumiał ich sroczego języka, lecz pustelnik wszystko mu ładnie przetłumaczył na ludzką mowę. Inny na miejscu Janka czułby, że mu skóra cierpnie, słysząc takie ponure rzeczy. Janek jednak nie lękał się ani smoka, ani dwunastu zbójców, ani wieloryba, który kiedyś Jonasza połknął, a potem go wypluł.

Lecz to jeszcze nie wszystko.

Bo gdy jedne sroki skończyły skrzeczeć o tamtych niebezpieczeństwach i zasadzkach dybiących na wędrowca, inne zaczęły opowiadać jedna przez drugą, że są dwie siostry. Ta starsza jest bardzo zła i ponura i nazywa się Placyda. A ta druga jest jasna, ma niebieskie oczy i złote serce i nazywa się Stazyjka. I że ta Placyda wymyśla Stazyjce od zielonej małpy i obiecuje jej oczy wydrapać, Stazyjka zaś uśmiecha się i na każde złe słowo Placydy odpowiada dobrym słowem i uśmiechem. I że obie mieszkają w mizernej chałupinie pod lasem.

— W mizernej chałupinie? — zdumiał się królewicz, gdy pustelnik przetłumaczył mu skrzeczenie srok. — A ja myślałem, że w pałacu królewskim lub w jakimś rycerskim zamku.

Pustelnik nic nie rzekł, tylko uśmiechnął się mądrze i dalej słuchał plotek reszty srok. One zaś kiwały głowami, trzepotały skrzydłami, potrząsały ogonkami i gadały, ale gadały, jedna przez drugą. A więc, że matka Stazyjki i Placydy jest wdową i bardzo kocha obie swe córki. A gdy Placyda idzie przez las ponura jak noc i zła jak osa, wtedy wszystkie ptaki milkną, a gdy idzie przez łąkę, wszystkie kwiaty mdleją i więdną. Gdy zaś Stazyjka idzie przez las, wszystkie ptaki zanoszą się śpiewem, na niebie rozpina się tęcza, a gdy idzie przez łąkę, wszystkie kwiaty zaczynają tak pięknie pachnąć, że aż w nosie wierci. A gdy się Stazyjka uśmiechnie, niebo się otwiera...

Dużo tego nagadały i byłyby jeszcze gadały nie wiedzieć jak długo, lecz pustelnik powiedział, że dosyć na dzisiaj, że to wystarczy, niechaj już nie skrzeczą, bo mu uszy spuchną.

— Ale sroki nie powiedziały, którądy mam iść, czy do wschodu słońca, czy do zachodu, czy w tym kierunku, gdzie słońce jest najwyżej na niebie, czy w przeciwnym... — zakłopotał się Janek.

Pustelnik pogadał więc jeszcze ze srokami i ta najstarsza i najmądrzejsza z nich rzekła,

że trzeba iść prosto za nosem.

I dobrze.

Nazajutrz królewicz Janek włożył na siebie złoconą zbroję, włożył na głowę złoty hełm z pękiem strusich piór, ujął tarczę nabijaną brylantami, ujął kopię i już chciał ruszyć prosto za nosem, jak mu poradziła najstarsza sroka, lecz pustelnik zatrzymał go jeszcze i tak powiedział:

— Królewiczu Janku! Gdy spotkasz smoka, rzeknij mu, że szukasz w dalekim świecie Stazyjki. I gdy spotkasz zbójników, powiedz im, że szukasz Stazyjki. A gdy staniesz nad morzem i ujrzysz podpływającego wieloryba, powiedz mu to samo, co rzekniesz smokowi i zbójnikom... I wszystko będzie dobrze! Tylko strzeż się zdrady!...

Janek podziękował pustelnikowi za radę i pojechał prosto za nosem. Jechał, jechał, jechał przez cały miesiąc, aż wreszcie dotarł między okrutne skały, na bezdroża i wertepy. Pomyślał przeto, że znalazł się w królestwie smoka. I dobrze pomyślał, bo gdy minął jedną ze skał, ujrzał szeroką, kamienistą dolinę, a w dolinie smoka wygrzewającego się w słońcu.

Szpetny, wielce szpetny był ten smok. Ogromny łeb ropuchy, wyłupiaste, zielone oczy, skrzydłiska nietoperzowe, długi ogon, cztery kacze łapy, cielsko okryte rogową łuską, długi, rozwidlony język, słowem, straszycło na wróble, a nie smok.

Janek widział już dużo smoków, lecz takiego brzydala jeszcze nie widział. Brzydzał zaś, ledwie spostrzegł ślicznego rycerza na czarnym koniu, kłapnął raz i drugi paszczką, zasmrodził siarkowym dymem, podniósł ropuszy łeb i zaskrzypiał:

Ha, rycerzyk jedzie! Zjem cię na śniadanie, bom strasznie głodny!...

— Nie zjesz, smoku, bo jadę Stazyjki szukać w świecie! — rzekł mu na to Janek.

— Kogo, powiadasz? Mów głośniej, bo nie dosłyszę! Ze mną trzeba głośno rozmawiać! Oto tak! — i ryknął tak głośno, że ziemia się zatrzęsała, a skały jęły się kruszyć.

— Jadę szukać Stazyjki! — zawołał teraz Janek bardzo głośno.

Smok włożył przednią swą kaczą łapę do ucha, pokręcił nią, potrząsał w uchu i znowu ryknął:

— Kogo jedziesz szukać? Bo nie dosłyszałem. Jedziesz szukać Kurzejki? Nie znam żadnego Kurzejki!

— Stazyjki, nie Kurzejki!

— Aha, Stazyjki! Czy tej, która tu przychodzi, żeby szukać pcheł na moim grzbiecie? — ryczał brzydala.

— Nie wiem, panie smoku, czy Stazyjka, której szukam, wybiera pchły z twojego grzbieta. Wiem tylko tyle, że to najpiękniejsza dziewczica na całym świecie, że mieszka pod lasem w mizernej chałupinie, że ma siostrę...

— Placydę! — podrzucił mu smok i kłapnął kilka razy paszczką. — Nie wspominaj mi jej imienia, bo gdy je słyszę, mam ochotę cię pożreć! Mów mi raczej o Stazyjce! A już, bo jak nie, to cię zjem!

— Hola, mości smoku! — krzyknął Janek smokowi do ucha. -- Prędszej diabła byś zjadł aniżeli mnie! Jestem porządnym człowiekiem, nikogo nie zaczepiam, pustelnik powiedział, że mam dobre serce, lecz jeżeli chcesz, to mogę zrobić ci dziurę w brzuchu tą oto kopią!

— Panie rycerzu! — zagrzemiał wystraszony smok. — Widzę, nie znasz się na żartach! Ja tylko żartowałem! Gdzież ja bym cię zjadł! Mnie wystarczą na śniadanie trzy muchy, na obiad piętnaście trzmieli, a na wieczerzę dwa komary! Ja nie jestem znowu taki, jak te inne smoki! Nie rób mi więc dziury w brzuchu, a mów raczej o Stazyjce! Czy to ta, która ma niebieskie oczy i która wybiera pchły z mego grzbieta?

— Nie wiem, mości smoku — trąbił mu Janek do ucha — czy to ta sama Stazyjka, lecz wiem, że ma istotnie niebieskie oczy, że jest podobna do najbielszej lilii, do najpiękniejszej tęczy i do wiosennej zorzy, że gdy się uśmiechnie, to niebo się otwiera, a gdy roześmieje się głośno...

— To jest ta sama Stazyjka! — ryknął uradowany smok. — To ona wybiera pchły z mojego grzbietu, a jej siostra, Placyda, żeby diabła zjadła, tłucze mnie kijem po głowie i wymyśla mi od zielonych małp! A ja nie jestem wcale zieloną małpą, lecz bardzo porządnym smokiem, jakiego jeszcze świat nie widział! Ale o czym ja to chciałem mówić?

— Nie wiem, mości smoku, o czym chciałeś mówić!

Smok podrapał się przednią kaczą łapą po łbie, podrapał się tylną kaczą łapą po ogonie i wrzasnął:

— Już wiem! Ty chcesz się ożenić ze Stazyjką! To idź, a żeń się z nią. No, idź już, idź, królewiczu, bo jestem strasznie głodny i lękam się, że mogę cię pożreć! A pozdrów mi pięknie Stazyjkę, a jej siostrze, Placydzie, powiedz, że ją pozdrawiam przez kupę kamieni i żeby ją wszyscy diabli wzięli. A strzeż się Placydy i zdrady!...

To rzekłszy, przewrócił się na grzbiet i zaczął wygrzewać się w słońcu, a Janek wsiadł na rumaka i pojechał w świat szukać Stazyjki.

Jechał prosto za nosem, aż przyjechał do ogromnego lasu. Pomyślał, że w tym lesie z pewnością czatują zbójnicy. I ledwie to pomyślał, a tu z krzaków wyskakuje dwunastu zbójników. Zaczęli wrzeszczeć, wywijać pałkami, zgrzytać zębami, brzydcey, kostropaci na gębach, kudłaci, z pijackimi nochalami, zezowaci, szczerbaci, podobni do czupiradeł.

— Pieniędzy! — wrzeszczeli wszyscy i wielką kupą biegli do Janka.

Janek trochę zdziwił się, bo aczkolwiek z gąb byli podobni do cudaków, jednakże marynarki i spodnie mieli pięknie połatane, nie brakowało przy nich ani jednego guzika, koszule były białe i wyprasowane, a najstarszy zbójnik miał nawet zawiązany krawat pod szyją i mankiety u rękawów koszuli.

Zbójnik z krawatem już przyskoczył i już wzniosł pałkę, lecz Janek przyłożył mu kopię do brzucha i rzekł spokojnie:

— Zrobię ci dziurę w brzuchu!

Ta zapowiedź umitygowała zbójnika w krawacie. A ponieważ był to herszt, zawołał na swoich kudłatych kamratów:

— Halt, kamraci! Bo nie chcę mieć dziurawego brzucha!

Przestali przeto wrzeszczeć o pieniądzach i przestali wywijać pałkami, bo byli ciekawi, czy ten rycerz zrobi hersztowi dziurę w brzuchu, czy nie robi.

— Przepraszam, panie rycerzu, żeśmy cię nastraszyli! — zaczął teraz herszt przypochlebnym głosem. — Lecz myśmy myśleli, że to Placyda jedzie na koniu w rycerskiej zbroi!

— Jaka Placyda? — zapytał Janek, lecz dla pewności wciąż mierzył kopią w jego brzuch.

— Siostra Stazyjki, z piekła rodem! Diablica, nie dziewczyna! Żeby regiment diabłów zjadła! Żeby ją kaczki poszczypały! Żeby ją gęś kopła tylną nogą! Żeby... ja już nie wiem co! Pomóżcie mi wymyślać, kamraci — zwrócił się do zbójników.

Zaczęli przeto pomagać swemu hersztowi i wymyślać bardzo szpetnie Placydzie. Życzyli jej, by się udławiła ciepłym ziemniakiem podczas obiadu, żeby się napiła wody z główkami i by potem w jej brzuchu rechotały żaby, żeby jej język skołowaciał, żeby powiedziała hop! — zanim rów przeskoczy, i by nogę złamała... Na wołowej skórze człek by nie spisał tych zbójnickich życzeń i wymyślań.

Ubawiło to wielce królewicza Janka, lecz nie odsuwał kopii od brzucha herszta w krawacie i mankietach. Diabeł bowiem nie śpi! Odsunie kopię, a wtedy herszt gotów dzielić go pałką po złotym hełmie!

— Przepraszamy, wielmożny rycerzu, bardzo przepraszamy, a dokąd jedziesz, jeżeli wolno zapytać? — podjął teraz herszt dwornie i poprawił przekrzywiony krawat pod brodą. Janek dostrzegł wtedy wyhaftowane na nim złotą nitką imię. Nachylił się przeto i przeczytał zdumiony: „Stazyjka”.

— Od kogo masz ten krawat? — zapytał.

— Od Stazyjki, panie rycerzu! — rzekł herszt. I gdy tylko wypowiedział to imię, gęby zbójników w tym oka mgnieniu rozanieliły się, wszyscy zaczęli cmokać, przewracać oczami z zachwytu, pałki wypadły im z dłoni, a herszt zaczął wzdychać i pociągać nosem ze wzruszenia, lzy zaś ciurkiem puściły mu się z oczu.

— Czy się Stazyjka w tobie kocha? — zapytał znowu Janek herszta.

— Nie, wielmożny panie rycerzu! To my wszyscy kochamy się w niej, a najbardziej ja się w niej Kocham!

— To wy ją znacie? — dziwił się Janek coraz bardziej.

— Kto by jej nie znał? — wrzasnął zachwycony herszt, a jego kamraci jęli przytakiwać i szczerzyć zęby w anielskim uśmiechu. — Kto by jej nie znał? — powtórzył z uniesieniem. — Wszyscy ją znamy! To najpiękniejsza dziewczina z całego świata! Jej oczy to kawałki nieba. Jej głos to najpiękniejsza melodia katarynkowa. My tu mamy taką katarynkę, to wiemy! Gdy się uśmiechnie, to jakbym beczkę wina wytrąbił za jednym zamachem, i to nie byle jakiego wina! A gdy się roześmieje, to jakby tysiąc złociutkich dukatów sypało się do naszej dziurawej kalety zbójnickiej. A gdy przejdzie koło nas, to jakby najpiękniejszy anioł przeszedł z kadzielnicą i owionął nas pachnącym dymem. Wtedy wszyscy kichamy, a Stazyjka śmieje się i woła: „Na zdrowie, kochani zbójnicy! A macie koszule brudne? A macie podarte spodnie? A macie oberwane guziki u marynarek? Dawać je prędko!” I wtedy pierze nasze koszule, przyszywa guziki do naszych marynarek, łąta nam podarte spodnie, każe nam się myć w potoku, szoruje nasze łby ryżową szczotką i piaskiem, że potem wyglądamy jak wielcy panowie wybierający się na dworski bal... I nie wolno nam bardzo kłąć i zamiast „pieron jasnego”, to nam wolno powiedzieć jedynie: „faron jasnego!” I powiada, że jeżeli ją naprawdę kochamy, to powinniśmy wszyscy pójść do klasztoru i klepać pacierze.

Janek słuchał i w duchu śmiał się serdecznie.

— I co, panowie zbójnicy? Pójdziecie do tego klasztoru klepać pacierze? — zapytał ubawiony.

— Jużemy poszli całą bandą — wyjaśnił herszt — lecz zakonni braciszkwowie wygonili nas wielkim krzykiem, sam przeor wylał na nas wiadro święconej wody, a ten braciszek, który bramę otwiera, zdzielił mnie po łbie dużym kluczem od bramy, że mi zaraz taki guz urósł, jak strusie jajko. Potem przeor wylał na wieżę i krzyczał za nami, że nie ma głupich, by wpuszczać do klasztoru taką hałastrę, która by w mig wytrąbiła wszystko wino z beczek w piwnicy. No, może miał poniekąd słusność. Więc my wzięliśmy i wróciliśmy do lasu... No i jesteśmy znów w lesie!

— A dlaczego nie lubicie Placydy? — zapytał znowu Janek.

Gdy wypowiedział to imię, w tym oka mgnieniu gęby zbójników skrzywiły się, jakby każdy napił się octu siedmiu złodziei lub rozgryzł ziarnko gorzycy.

— Dlaczego nie lubimy tej czarownicy? — podjął za wszystkich herszt w krawacie. — A to dlatego, wielmożny panie rycerzu, bo ona kuma się z diabłami, umie czarować, każe mrówkom wlać do naszych legowisk i wtedy mrówki nas gryzą, zamienia nam wino w zwykłą wodę, smakowitą pieczeń zdjętą z rożna przemienia w upieczoną ropuchę, a chleb w kamień! Straszne rzeczy, powiadam wielmożnemu panu rycerzowi!

— A czemu wam czyni takie psoty?

— Wielmożny panie rycerzu! My nie wiemy! Ona w ogóle czyni ludziom psoty. Przemienia się w topielicę i wciąga kąpiących się pod wodę. Przemienia się w błędny ogień i chłopów, wracających po nocy z karczmy, wodzi po bagnach, krzakach i zapadliskach. Mało! Przemienia w strzygę i strzyże ubrania dziewczynom i chłopcom, idącym z tanecznej zabawy nad ranem. Powiadają nawet, że jest zmorą, wlaź do chałup przez dziurkę od klucza i dławi śpiących domowników... W ogóle szkoda mówić! Nam jednak nie czyni już tej paskudy, bo każdy z nas nosi przy sobie takie ziele, które nazywa się tulia i strzeże przed jej złymi czarami.

— Aha...

— A dokąd wielmożny pan rycerz wybiera się, jeżeli wolno wiedzieć? — zapytał dwornie herszt i znowu poprawił krawat.

— Jadę szukać Stazyjki!

— O, jerum pajtasz! — wrzasli wszyscy zbójnicy i ogromnie się uradowali.

— Przecież już wam raz o tym mówiłem!

— Nic nam nie mówiliście, panie rycerzu!

— Nie szkodzi! To wam teraz mówię!

— Już wiem! — wrzasnął herszt. W ogóle tylko herszt mówił z Jankiem, reszta zbójników słuchała i rozdziawiała gęby. Poza tym wzdychała, pociągała nosami, a gdy była mowa o Placydzie, zgrzytała zębami i klęła: „faroną jasnego...” — Już wiem! powtórzył herszt. — To wy, panie rycerzu, chcecie się ożenić ze Stazyjką! To dobrze! Idźcie więc i żeńcie się z nią i pozdrówcie ją pięknie ode mnie, to znaczy od herszta Kręcichwosta i jego kamratów, a gdy będzie wesele, przyjdziemy jako jej gwardia, a Placydę utopimy w beczce po kapuście! A pilnujcie się, bo Placyda może wam bruździć, i strzeżcie się zdrady!...

Po takiej miłej rozmowie królewicz Janek pożegnał się ze zbójnikami i pojechał w świat prosto za nosem, by odszukać Stazyjkę.

Jechał więc i jechał, aż dojechał do brzegu ogromnego morza. A po drodze spostrzegł gromady srok, latających tam i z powrotem. Coś wrzeszczały i skrzeczały nad nim, lecz Janek nie rozumiał ich sroczej mowy.

Stanął na brzegu morza strapiiony, jak tu dostać się na jego drugi brzeg, aże jak! I ledwie tak pomyślał, woda w morzu zbałwaniała się bardzo, a z bałwanów wynurzył się wielki, brzuchaty wieloryb. Podpłynął do brzegu, rozdziawił szeroko paszczę i zamruczał:

— Chodźże, kochasiu, chodź! Zjem cię na obiad, bo jestem strasznie głodny.

A Janek zapytał spokojnie.

— Bardzo cię przepraszam, panie wielorybie, czy to ty jesteś ten, który ongiś połknął świętego Jonasza, a potem go po trzech dniach wypluł?

— Po pierwsze, to nie był święty Jonasz, lecz całkiem zwyczajny Jonasz, a po drugie, siedział mi w brzuchu nie przez trzy dni, lecz przez trzy dni i kawałeczek następnego dnia, a wyplułem go dlatego, bo strasznie wiercił się i rozpychał łokciami. Ale jeżeli ciebie połknę, to już wcale cię nie wypluję! Będiesz siedział w moim brzuchu aż do sądnego dnia! No, złaż z konia i włącz do morza!...

— Jeszcze chwileczkę, panie wielorybie! Czy ty znasz najpiękniejszą dziewicę na świecie, Stazyjkę o niebieskich oczach!?

— Kogo, powiadasz? Nie dosłyszałem, bo morze szumi...

— Stazyjkę!

— O święty wielorybie, władco wszystkich wielorybów! Dyc znam! Przecież to ona uratowała mi życie! — wrzeszczał rozanielony wieloryb, walił z uciechy ogonem i wypuścił wysoką strugę wody z nozdrzy. Ta struga wody była podobna do wodotrysku w zamkowym ogrodzie króla Szłapety III.

— A jak ci uratowała życie?

— Rycerzu, chociaż cię zjem, ale ci opowiem! Otóż to było tak: Placyda złapała mnie na wielką wędkę. To nie była wędka, lecz sroga węda. Wiem, o co jej chodziło. Chciała mnie zasolić w beczce jak śledzia. Niechby ją rekin pożarł!... Ja urwałem się, uciekłem, lecz wędka utkwiła mi w gardle i byłbym skonał z głodu, bo nie mogłem przełknąć najmniejszej rybki, ale na szczęście nadeszła Stazyjka, wydobyła mi wędę z gardła i już było wszystko dobrze... A dlaczego, rycerzu, pytasz o nią?

— Szukam Stazyjki, by prosić o jej rękę!

— O święty wielorybie! O jej rękę? Czemuś mi tego zaraz nie powiedział? Już się robi! Dla Stazyjki wszystko uczynię. Siadaj, rycerzu, wraz z koniem na mój grzbiet, a ja przepłynę

z tobą i twoim koniem na drugi brzeg. Stamtąd już blisko do Stazyjki! Siadaj, siadaj!

Uradowany Janek wraz z koniem usiedli okrakiem na grzbiecie wieloryba, a wieloryb pozęgłował z nimi na drugi brzeg morza.

Żeglował i żeglował, płynął i płynął, a mijające ich statki przystawały; a znad burty wychylali się zdumieni majtkowie. Oto płynie ogromny wieloryb, chyba król wielorybów, na jego grzbiecie siedzi okrakiem rycerz w złocistej zbroi, w złotym hełmie zdobionym pękiem strusich piór, a za nim siedzi okrakiem czarny rumak. Kiż diasi?... Jak świat światem a morze morzem, nikt z majtków nie widział czegoś podobnego. Nawet starzy kapitanowie z siwymi bokobrodami, przezwani wilkami morskimi — spotykający w swych wędrówkach po dalekich morzach przedziwne stwory, morskie panny, czyli syreny, nimfy, potwory wielogłowe i jeszcze inne cudaki — teraz drapali się po łysinach i kiwali głowami na widok wieloryba z rycerzem i czarnym koniem na grzbiecie.

A wieloryb nic! Machał płetwami jak ogromnymi wiosłami, machał ogonem jak ogromnym sterem, wytryskiwał z nozdrzy w górę wysoki słup wody, co było podobne do wodotrysku w królewskim ogrodzie Szłapety III, i płynął. Aż w końcu dopłynął do brzegu i tak rzekł:

— Alem się zmachał, jerum pajtasz! Teraz już jesteś, rycerzu, niedaleko domku Stazyjki, najpiękniejszej dziewczycy z całego świata. Oby śledzie wchodziły jej same do ręki, rekiny omijały ją wielkim kołem, a meduzy nie parzyły, gdy będzie kąpała się w morzu! Jedź teraz, rycerzu, prosto za nosem. Widzisz, tam gdzie na horyzoncie zaczyna się wielki las, w dużym ogrodzie znajdziesz domek Stazyjki. Powiedz jej, że ja, wieloryb, pięknie ją pozdrawiam, a jej siostrze powiedz, żeby ją wszyscy diabli do piekła porwali! Ta siostra nazywa się, pfuj! — aż obrzydzenie bierze, gdy jej imię wypowiadam! Nazywa się, pfuj... Nazywa się Placyda. No, złaź, rycerzu, i sprowadź swego konia z mojego grzbietu, a uważaj, by koń nie porysował mi kopytami skóry i byś ty nie podrapał jej ostrogami! Już zlaźłeś? No, to bywaj zdrow, a nie zapomnij pozdrowić ode mnie Stazyjki przez pachnącą różę i powiedz, że jej zawsze służę!... A strzeż się zdrady — zawołał jeszcze i zanurzył się w morzu.

Janek przez cały czas milczał, tylko dziwił się, że ten wieloryb taki ogromny gaduła. Gada i gada, i nie pozwoli człowiekowi dojść do słowa. Ale poza tym całkiem z niego porządny wieloryb, nie można nic złego o nim powiedzieć.

Oporządził się na brzegu, wsiadł na konia i ruszył prosto za nosem w kierunku lasu, gdzie na skraju bielila się chałupka matki Stazyjki i jej ponurej złej siostry, Placydy, i gdzie czerwieniły się malwy, żółciły dziewczanny, a w oknie wdzięczyły się ułanki, czyli fuksje.

Nie mógł jednak zrozumieć, dlaczego taka chmura srok kołuje nad nim i wrzeszczy, jakby je ktoś z pierza obskubywał. Widać, chciały mu coś powiedzieć, lecz niestety królewicz Janek, chociaż dużo wiedział i umiał, nie rozumiał sroczego języka. Przypuszczał jednak, że pragną go przed czymś ostrzec.

I dobrze.

Jedzie więc i jedzie, i dziwi się coraz bardziej. Oto całe regimenty srok kołują nad jego głową i wrzeszczą jak opętane. A równocześnie drogą idzie jakby procesja czy coś podobnego, a przed procesją kapela gra oberka, na przedzie zaś płąsa tanecznym krokiem kruczowłosa dziewczyna z wiankiem na głowie, z papierową lilią w dłoni, w długiej białej sukni, wymalowana i śpiewa zachrypłym głosem:

*Jedzie już mój miły z dalekiego świata,  
Czekałam na niego przez długie dwa lata.  
Czekałam, tęskniłam, oczy wypatrzyłam,  
Kołaczy napiekłam, wina utoczyłam!  
O, hej!...*

*Pełniuteńki dzbanek utoczyłam wina,  
Upiekłam kolaczy chyba z pół tuzina.  
Na głowę włożyłam najpiękniejszy wianek,  
Niechaj się ucieszy mój królewicz Janek.  
O, hej!...*

„Kiż diasi?” — pomyślał Janek i patrzy, gdyż nie może nic zrozumieć. Zamiast jasnowłosej i błękitnookiej Stazyjki widzi czarnowłosą i ciemnooką dziewczynę, wyśpiewującą coś o kołaczach i winie. Czyżby to była Placyda?

Podjechał bliżej, zatrzymał konia, procesja stanęła, kapela przestała grać, a tamta dziewczyna podbiegła, podskoczyła, objęła Janka i zaczęła całować.

Janek osłupiał ze zdumienia. Co to, u licha, znaczy? Odepchnął dziewczynę i zapytał szorstko:

— Kto ty jesteś?

— Jestem Placyda, mój najdroższy królewiczu! Sroki już mi dawno doniosły, że jedziesz do mnie, by mnie pojąć za żonę. Więc teraz cię witam jako swego narzeczonego i przyszłego małżonka! Bo ja strasznie pragnę być królową, siedzieć na złotym tronie, wylegiwać się na stu pierzynach, jadać marcypany, zapijać je słodkim winem i królować z tobą, mój przekрасny królewiczu, aż na wieki wieków amen! Tylko najpierw musimy twego ojca, Szłapetę III, otruć czymkolwiek. Najlepiej muchomorami!... Otrujemy go oboje i królestwo będzie moje i twoje, i będziemy panowali...

— Przepraszam, mościa panno — przerwał jej nachmurzony Janek. — Powstrzymaj potok swej niemądrej wymowy, a pozwól mi przyjść do słowa. Przecież ją przyjechałem nie po ciebie, lecz po twoją siostrę Stazyjkę...

— Stazyjkę! Hi, hi, hi! Daj się, królewiczu, wypchać Stazyjką! Stazyjki nie ma! Już od dawna jej nie ma!...

— A gdzie jest?

— Nie wiem! Może ją zbójnicy porwali, może ją wieloryb połknął, może ją smok pożarł! Licho wie, gdzie się podziewa! Nie ma jej i tyle. Ale niewielka strata! Nicpoń był z niej, latawica, wietrznica! Poszła w las i przepadła!

— Nie może być! — przeraził się Janek.

— Co znaczy, „nie może być”? Wszystko może być! Nie ma jej i skończone. Dziury w niebie nie będzie, że jej nie ma. Za to jestem ja, twoja tęskniąca za tobą Placyda. Powiedz, królewiczu, czy jeszcze dzisiaj pojedziemy do królestwa tego starego dziada... Chciałam powiedzieć, do królestwa twego ojca?

Janek ściągnął brwi, nachmurzył się i zapytał ponurym głosem:

— Gdzie matka?

— Siedzi w komorze i płacze. Taka głupia, stara baba! O Stazyjkę płacze! A przecież nie ma o co płakać! No nie, królewiczu? — usiłowała zaszcebiotać, lecz jej szczebiot był podobny do skrzywienia zardzewiałych zawiasów, a jej uśmiech nie różnił się wcale od grymasu człowieka, którego bolą zęby.

— Jadę do twojej matki!

— Weź mnie także na twego konia, królewiczu! Przecież gdy stanę się królową, to będę po całych dniach na koniu hasać! Sprowadzisz mi sto koni, a ja będę je zajeżdżała na śmierć! — zachichotała ponuro. Potem, nie czekając jego przyzwolenia, wdrapała się na konia. Ledwie jednak usiadła za Jankiem, rumak wierzgnął tak mocno, że wyleciała jak z procy i spadła w pokrzywy. Wtedy tamto zbiegowisko, które szło za nią, i muzykanci, którzy grali oberka po drodze, a teraz wytrzeszczyli oczy, wrzasnęli uradowani :

— Dobrze jej tak! Dobrze jej tak, czarownicy! Powiedziała nam, że będzie królową, że da nam po dukacie, jeżeli pójdziemy za nią na przywitanie jej królewskiego oblubieńca, a

teraz widzimy, że to wierutne łgarstwo! Dobrze jej tak, czarownicy!

Pokrzykiwali więc i wygrażali Placydzie, gramolącej się w pokrzywach, lecz Janek już nie zważał na nic, tylko bódł rumaka ostrogami i pędził w kierunku chałupki matki. Zapukał do okienka komory, które otworzyło się, i Janek ujrzał w nim płaczącą matkę.

— Gdzie jest Stazyjka, pani matko? — zapytał, a serce jego coraz bardziej ścisnęło się z żalu na myśl, że Stazyjki istotnie nie ma!

Matka zaczęła opowiadać, a każde jej słowo było przegradzane łzami. Oto tak się stało, że gdy sroki nadleciały z wieścią... Usiadły na kalenicy i paplały, jako sroki. Gdy więc sroki nadleciały i jęły plotkować, że złotowłosa królewicz z dalekiego kraju jest w drodze, by prosić matkę o rękę Stazyjki, Placyda namówiła siostrę, by poszła z nią do lasu na maliny. Każda wzięła dzbanek i poszły. A pod wieczór wróciła sama Placyda. „Gdzie pozostawiłaś Stazyjkę?” — zapytała wtedy matka. Placyda rzekła, że cóż ją obchodzi Stazyjka, że nie jest jej stróżem, że z pewnością włóczy się jeszcze po lesie, jako wietrznica. A może poszła wybierać pchły smokowi? A może poszła pracować koszułom i łątać spodnie zbójnikom i przyszywać im guziki do marynarek? Zresztą diabli wiedzą, gdzie się podziała!...

Królewicz Janek teraz już wszystko zrozumiał. To Placyda usunęła z drogi Stazyjkę. Może ją zabiła, a może zaczarowała? Uczyniła to z pewnością, gdyż pozazdrościła Stazyjce, że królewicz ma zamiar prosić matkę o jej rękę. I teraz pojął, dlaczego sroki tak bardzo kołowały nad nim i coś krzyczały! Ostrzegały go przed złą siostrą Placyda i oznajmiały, że Stazyjki nie ma...

Nie ma Stazyjki! Nie ma Stazyjki!...

Pociemniało mu w oczach z okrutnej żalości, serce boleśnie się skurczyło, słońce zakryły czarne obłoki, ptaki zaniemówiły, kwiaty powiędły, a wiatr, któremu ogromnie śpieszyło się na skraj świata, znieruchomiał i jął wzdychać cichutko i żałośnie na jabłoni.

Janek złamał kopię i rzucił na drogę, połamał tarczę i rzucił na drogę, ściągnął złocisty pancerz i zawiesił go na suchej wierzbie, zerwał strusi pióropusz z hełmu i podeptał, a zostawił jedynie hełm na głowie, z opuszczoną przyłbicą, by nikt nie widział, że płacze. Potem wsiadł na rumaka i tak mu powiedział:

— Jedź, mój rumaku, dokąd cię oczy poniosą! Mnie już nic nie cieszy, gwiazdy na niebie dla mnie zgasły, słońce spopielęło, księżyc zardzewiał, a jam złamany na duchu...

Jedzie więc, jedzie, a łzy wyciekają spod przyłbicy i kapią na końską grzywę. I gdy tak jedzie zdany na wolę rumaka, wjechał w gęsty las. A koło drogi rosły kaliny. Zaszedł mu drogę stary drwal z siekierą na ramieniu. Drwal miał długą, czarną brodę i był trochę podobny do zbójnika.

— Dokąd jedziesz, młodzieńcze? — zapytał.

Janek podniósł przyłbicę i drwal teraz dopiero spostrzegł, że z oczu Janka cieką łzy.

— Czemu płaczesz, młodzieńcze? — zapytał znowu drwal tknięty litością.

Janek wszystko mu opowiedział. Od początku do końca. Drwal słuchał, coś mrucał i głaskał czarną brodę. A gdy Janek skończył i znowu jął wycierać łzy z oczu kułakiem, drwal poklepał go po ramieniu i tak mu powiedział:

— Nie becz, bo to nie przystoi mężczyźnie. Stazyjka żyje, wiem dobrze, tylko że tamta czarownica Placyda rzuciła na nią urok, rzuciła zaklęcie i zamieniła ją... Tylko że nie wiem, w co ją zamieniła. Lecz nie martw się, bo wszystko będzie dobrze...

— Dobrze będzie? — zapytał Janek, a nieśmiałe uradowanie zakiełkowało w jego złamanym sercu.

— Jako powiadam. Wszystko będzie dobrze! A teraz chodź ze mną do lasu, pomożesz mi drzewa ścinać.

— Ja, królewicz? Drzewa ścinać? — zachnął się Janek.

— No, wielkie rzeczy! Przecież korona ci z głowy nie spadnie! Tym bardziej że jeszcze jej nie masz na głowie, boś tylko królewicz. A taki królewicz, to tyle co nie opierzony kana-



rek. A gdybyś już ją nawet miał, także by ci nie spadła! Ja już nie takich królów widziałem i królewiczów. Ho, ho!... Myślisz, że byle co? Zwiedziłem kęś świata i widziałem jednego króla, który pasł kozy pod swym zamkiem. Inny znowu deptał kapustę w beczce. Jednego orznąłem w karty i byłby przegrał swoje królestwo, ale przyszła królowa i przepędziła nas warząchwią. A podczas wędrówki spotkałem królewicza, który świnie pasł. Ale to byłaby długa historia. Tyle tylko powiem, że pasł świnie za karę, bo ukradł księżyc...

— Pleciecie, drwalu! — przerwał mu Janek.

— Co znaczy, „pleciecie, drwalu”? Wcale nie plotę. Mówię szczerą prawdę, a jeżeli mi nie wierzysz, to zapytaj się mnie, jak to było. No, ale my tu gadu, gadu, czas ucieka, a mnie trzeba ścinać drzewa. Idziesz ze mną czy nie idziesz? Bo jeżeli chcesz odzyskać Stazyjkę, to musisz na to zasłużyć. Za darmo ani koza nie beknie! Ty będziesz ścinał świerki i graby, a ja będę medytował, gdzie znajduje się Stazyjka. Może uda mi się ją odnaleźć. A gdy ją odnajdę, to mnie musisz zaprosić na wesele jako starostę. Zobaczysz, że nie powstydzisz się za mnie. A Placyda ze złości pęknie jak purchawka. Ho, ho! Ja dobrze wiem, bo z niejednego pieca chleb jadałem i niejedno widziałem. Zobaczysz, że pęknie! No, prowadź konia, a ten złocony garnek, który masz na głowie, zdejmn, bo ci nic na nią nie spadnie. Chyba szyszka. Ale szyszka nie zrobi ci dziurki w głowie. A w tym złoconym garnku będę gotował kapustę z ziemniakami na obiad.

— To jest hełm, a nie garnek! — obruszył się Janek.

— Hełm nie hełm, zawsze do garnka podobny. Nic się nie martw, królewiczu. A jak tobie na imię, żebym wiedział, jak na ciebie wołać, gdy w lesie zabłądzisz?

— Janek.

— Hm, ładnie się nazywasz. Lecz ja mam piękniejsze imię, bo nazywam się Cyprian. A moja nieboszczka żona nazywała się Cyprianka. No, ale idziemy. A po drodze namyśl się, czy warto ścinać drzewa, by odzyskać Stazyjkę!

— To wy ją chcecie odnaleźć? A jak to uczynicie, panie drwalu?

— Ho, ho! Już zostałem mianowany panem drwalem. Niech będzie pan drwal. Nic nie szkodzi. Może być nawet wielmożny pan drwal Cyprian. Będzie jeszcze piękniej brzmiało. Pytasz się, w jaki sposób odnajdę Stazyjkę? Niech mi się moja siekiera na pierwszym sęku wyszczerbi, jeżeli się mylę! Stazyjka została zaczarowana. W co ją Placyda przemieniła czarodziejskim zaklęciem, dowiem się...

— Od kogo?

— Od sroki. Jest to stara i bardzo mądra sroka, trochę już ślepa. Nazywa się Srokula. Ale powiadam ci, królewiczu, ta ma nos! Ho, ho! Wszystko wywącha, co się dzieje w moim lesie i w okolicy. Ona pierwsza wie i zaraz mi o tym mówi, że kościelny ukradł z proboszczowej piwnicy beczułkę wina i że wino wytrąbił, a do beczułki nalał wody. Ona pierwsza mi doniosła, że pod starą, spróchniałą wierzbą okocił się diabeł i że miał ośmioro diabła. I ona mi także doniosła, że kominiarz... Ale co tu tyle gadać! Porządna z niej sroka i tyle! Żadnych gazet nie czytam, bo nie potrzebuję czytać. Ona wszystko mi doniesie, co się dzieje na dalekim świecie. No, chodź, królewiczu, bo robota czeka! Wiele tam pociechy nie będę miał z ciebie, boś takie chuchro, taki marcypanowy paniczyk, bledziutki, słabiutki! Wiesz, co ci poradzę? Na wszelki wypadek włóż sobie w kieszeń kilka kamieni, żeby cię wiatr nie zdmuchnął z grobli, gdy pójdziemy do domu! No, idziemy!

— Przepraszam, mości panie drwalu! — zatrzymał go jeszcze Janek. — Czy wy zawsze tak dużo gadacie?

— Kto dużo gada? Ja dużo gadam? Królewiczu, jak ty łesz bez zajknięcia! Ja dużo gadam! Widział to świat! Ja wcale nie gadam, tylko powiem jedno, dwa słowa i już po wszystkim! Ale znałem takiego, co dużo gadał! To był ceglarz. Gdy ten zaczął gadać, to gadał i gadał... Ale o tym kiedy indziej. Idziemy! — to rzekłszy, ruszył przodem, a za nim Janek z drobnouchną ulgą w sercu, bo zaczynał być dobrej myśli. Nabrał bowiem zaufania do broda-

tego drwała. Kto wie, czy istotnie nie pomoże mu odnaleźć albo odczarować Stazyjkę.

I dobrze.

Królewicz Janek ścinał drzewa w lesie, a stary drwal z czarną brodą rozmawiał ze sroką Srokulą. Dopytywał się jej pilnie, co się stało ze Stazyjką wtedy, gdy poszła ze swą złą siostrą z dzbankiem na maliny.

— No, gadaj, czupiradło! — krzyczał na nią. Sroka bowiem skrzeczała, drapała się po głowie pazurkiem, kiwała nią, kiwała ogonem i nie mogła sobie przypomnieć, co się działo w lesie, gdy Stazyjka i Placyda zbierały maliny do dzbanka.

— Nie krzycz na mnie - zaskrzeczała w końcu — bo gdy tak krzyczysz, moje myśli odpędzasz! Poczekaj, aż podrapię się jeszcze kilka razy, a ty, drwalu, tymczasem licz do stu!

Drwal zaczął liczyć do stu, a Srokula drapała się po głowie i przypominała sobie, co to działo się w lesie, gdy Stazyjka i Placyda zbierały maliny do dzbanka.

Drwal naliczył już do stu trzydziestu, a Srokula jeszcze sobie nie przypominała.

— No, Srokula! — wrzasnął na nią. — Już sobie przypomniawsz?

— Jeszcze nie! Zaczekaj do jutra, bo z pewnością jutro sobie przypomnę!

Minęło jutro, minęło pojutrze, minął trzeci dzień, potem cały tydzień, drwal naliczył już do milionkroć stu tysięcy, a sroka Srokula wydrapała już wszystkie piórka z głowy i jeszcze nie przypominała sobie, co działo się w lesie, gdy Stazyjka i Placyda zbierały maliny do dzbanka. Drwal bardzo się nie martwił, że Srokula przypomina sobie tak długo, bo przez ten czas nie musiał ścinać drzew, tylko siedział pod bukiem, kurzył fajkę i liczył na palcach.

Za to Janek ścinał drzewa aż na dziwy. Walił siekierą, popluwał w dłonie, rozcierał je i znowu walił, że trzaski leciały naokoło, echo niosło się po lesie jak grzmot i raz po raz ogromne jodły i buki zwały się z hukiem na ziemię. A co ciął siekierą, radował się myślą, że każdym cięciem przybliża chwilę, w której odzyska Stazyjkę. I chociaż mu dłonie spuchły i porobiły się na nich odciski, i chociaż go w krzyżach łupało, a pot zalewał mu oczy — nie narzekał, gdyż myślał o Stazyjce.

Minął wreszcie ósmy dzień. Królewicz Janek miał już za sobą piętnaście ściętych świerków i osiem grabów, kiedy w końcu Srokula wpadła na pomysł, jak sobie przypomnieć, co działo się w lesie, gdy Stazyjka i Placyda zbierały maliny do dzbanka. Oto stuknęła tak mocno główką o pień dębu, że w tej chwili wszystko sobie przypominała.

— Wiem już! Wiem! — zaskrzeczała uradowana.

— Co wiesz? — zapytał drwal, który naliczył już do milionkroć stu tysięcy siedmuset osiemdziesięciu trzech.

— Już wiem! — wrzeszczała Srokula i prała skrzydłami z radości. — Gdy Placyda i Stazyjka zbierały maliny, to Stazyjka była schylona, a Placyda podeszła z tyłu i uderzyła ją jakimś prętkiem po głowie. I wtedy Stazyjka przemieniła się w kalinę!

— W kalinę, powiadasz?

— W kalinę! W krzew kaliny!

— A który to krzew?

— Ha, żebym wiedziała? Tego to już nie wiem, bo niedowidzę dobrze. Trzeba szukać...

— Dobrze już, dobrze! — rzekł zadowolony drwal. — Już się nie turbuj, bo ten krzew kaliny znajdę. Wprawdzie jest zatrzęsienie kalin w lesie, ale znajdę krzew zaczarowany. Już mam na to sposób. A raczej uczyni to królewicz-drwal. Łebski z niego królewicz! Nie można nic złego o nim powiedzieć. Wydawało się z początku, że to taki ciuciufrania, a tu okazuje się, że macha siekierą niegorzej ode mnie. No, dziękuję ci, Srokulo!

Poszedł do Janka i tak mu rzekł:

— Umiesz lenić piszczalę z kalinowej gałązki?

Janek odsapnął, starł rękawem pot z czoła i bardzo się zdziwił.

— Co takiego, panie drwalu? Co to znaczy „lenić piszczalę”?

— Zaraz wiedziałem, że chociaż królewicz, ale trąba z ciebie stomiliońska! Chodziłeś

do szkoły czy nie chodziłeś? Bo jeżeli chodziłeś, a nie dowiedziałeś się, co to znaczy lenić puszczalkę, to zwróć ojcu te kromki chleba, które niepotrzebnie zjadłeś! Wprawdzie ty nie jadałeś kromek chleba, bo masz zbyt delikatny żołądek, lecz wcinałeś marcypany, ale widać, że mizerna była ta twoja królewska szkoła!

— Nie gadajcie tyle, panie drwalu, bo stajecie się podobny do tego wieloryba, który połknął Jonasza. On też tak dużo gadał. Powiedzcie mi raczej, co to znaczy lenić puszczalkę?

— Więc słuchaj! Trzeba uciąć gałązkę kaliny, kozikiem opukać jej korę, potem pokręcić i z kory wyciągnąć środek. I z tej kory może być puszczalka. A podczas tej pracy trzeba wypowiedzieć takie zaklęcie:

*Uleń mi się, puszczaleczko,  
Dam ci miodu, kochaneczko!  
Bo jak mi się nie ulenisz  
I w puszczalkę nie zamienisz,  
Wtedy ciepnę cię pod płot,  
Gdzie cię zezre ślepy kot!*

Janek wysłuchał pilnie, a potem zapytał:

— A na co mi ta puszczalka?

— Zobaczysz! Już w tym moja głowa, bo jej nie noszę od parady! Teraz chodź, nauczę cię lenić puszczalkę. A gdy się nauczysz, będziesz chodził od kaliny do kaliny i majstrował z nich puszczalki. A co jedną ulenisz, spróbujesz na niej zagrać. Umiesz piskać na puszczalce?

— Nie umiem, bo mnie tego w szkole nie uczono.

— Zaraz sobie to samo pomyślałem. To ty nic nie umiesz! Ale nie martw się, bo i tego cię nauczę. Bo ja znów nie jestem taki, na jakiego wyglądam. Tyś w nieszczęściu i smutku, a gdy widzę kogoś w nieszczęściu i smutku, serce kraje mi się na drobnutki ćwierci z żalości. A ja nie chcę żyć w żalości, bo wtedy mi nic nie smakuje. Nawet kapusta z ziemniakami mi nie smakuje. Taki już ze mnie człowiek. No, ale chodź, bo czas ucieka!

I zaprowadził Janka pod najbliższą kalinę, i nauczył go lenić puszczalkę. A gdy puszczalka była już uleniona, rzekł do Janka:

— Teraz na niej zapiskaj, jak umiesz!

Janek zapisał, lecz nic z tego nie wyszło.

— Do niczego! — rzekł drwal. — Rób drugą puszczalkę. Ale teraz już z następnej kaliny! I po kolei będziesz lenił puszczalki tak długo, aż trafisz na tę kalinę, o którą nam chodzi!

— Już wiem! — uradował się Janek. — Stazyjka została zaklęta w kalinę!

— Hm, hm! Mądry z ciebie królewicz. Nie można nic złego powiedzieć. Nie każdy by wpadł na myśl, że Stazyjka została zaklęta w kalinę. A tyś wpadł! Widzę, że moja nauka nie poszła w las. I widzę, że z ciebie wyrośnie jeszcze porządny król z olejem w głowie. A gdy będziesz już tym królem po nieboszczyku Szłapecie III, to wspomnij sobie na mnie i zamianuj mnie przynajmniej jakimś ministrem albo generałem. Najlepiej będzie, gdy mnie zamianujesz generałem, bo jako drwal umiem pracować siekierą i gdyby jakiś sąsiedni król chciał ci wypowiedzieć wojnę, to tylko zawołasz: „Wielmożny panie generale Cyprianie! Wojna się ściele! Broń mojego kraju!...” To ja wtedy pokażę, co drwal potrafi! Ho, ho!... No, ale jazda z tą drugą puszczalką! A nic zapomnij zaklęcia: „Uleń mi się, puszczaleczko...”

Janek ulenił zgrabną puszczaleczkę z siedmiu kalin i wciąż nic.

Wtedy drwal powiedział:

— To nie tutaj! Chodźmy, gdzie najwięcej malin!

Poszli więc w głąb lasu, gdzie było najwięcej malin. Wśród nich rosła tylko jedna kalina.

— Z tej kaliny spróbuj! — poradził drwal.

Janek ulenił zgrabną piszczałeczkę z tej jedynej kaliny wśród malin, przyłożył do ust i dmuchnął. I w tej samej chwili piszczałka smętnie zanuciła dziewczęcym głosem:

*Graj, Janeczku, graj, Bóg ci pomagaj!  
Moja siostra mnie zaklęła  
I w kalinę przemieniła.  
Graj, Janeczku, graj, Bóg ci pomagaj!...*

I gdy piszczałka wygrała tę smętną piosenkę, kalina zaszumiała i... dziwo! Ni stąd, ni zowąd przemieniła się w śliczną jasnowłosą, niebieskooką Stazyjkę. Stazyjka przeciera oczy, jakby z długiego snu przebudzona, mruga, rozgląda się ogromnie zdziwiona, patrzy na brodatego drwala, a w końcu na Janka. Krzyknęła leciutko i złożyła dłonie przy ustach.

— Stazyjka — szepnął wniebowzięty Janek.

— O królewiczu! O Janku! — zaświergota słowiczym głosem Stazyjka i padła w wyciągnięte ramiona Janka.

Co się potem działo, trudno już opisać. Tyle tylko, że brodaty drwal buczał ze wzruszenia jak prawdziwa trąba jerychońska i wycierał kapiące łzy z oczu, a Janek i Stazyjka szeptali uskrzydłone słowa, patrzyli sobie w oczy i tak im było, jakby się przed nimi niebo otworzyło. Ptaki rychło się o wszystkim zwiedziały, bo stara Srokula jęła w te pędy roznosić plotki po całutkim lesie. Zleciały się więc i uczyniły radosny harmider. Przyleciał wiatr pachnący różami i jał płaść wśród drzew, drzewa zaś rozszumiały się radośnie.

I byłaby ta radość trwała nie wiedzieć jak długo, lecz pierwszy oprzytomniał drwal i tak rzekł:

— Dzisiaj już koniec ze ścinaniem drzew. Teraz was zapraszam do swojej chałupy, ugotuję wam w złotym garnku kapustę z ziemniakami! Proszę bardzo...

To rzekłszy ruszył przodem. Za nim szli rozanieleni i wniebowzięci Stazyjka z Jankiem, a nad nimi leciały ptaki i śpiewały najśodsze piosenki weselne. Jedyne sowa wystawiła głowę z dziupli wierzby, wytrzeszczyła wielkie, okrągłe oczy i jęła zawodzić: „Uhu! Uhu!...” Niewiadomo, o co jej chodziło.

Na drugi dzień drwal tak powiedział:

— Moi złoci ludeczkowie! Przez całą noc rozmyślałem, jak to uczynić, żeby dobrze było. A, żeby dobrze było, trzeba postępować rozważnie. Placyda popełniła zbrodnię, musi być teraz kara.

— Jaka? — zapytał Janek.

— Ja proszę, by jej nikt nie karał! — rzekła Stazyjka.

— Nic z tego! Kara musi być, bo inaczej nie byłoby porządku i sprawiedliwości na świecie! — rzekł mądrze jak filozof. — Kara zaś będzie bardzo prosta. A teraz pójdziemy do matki Stazyjki. Stazyjkę ukryjemy w komorze. A co potem nastąpi, jeszcze zobaczysz, Janku! Tylko zabierz z sobą piszczałkę! A po drodze... Nie! Przedtem jeszcze musisz się jakoś oporządzić, królewiczu, bo wyglądasz jak rzezimieszek. Nie ogolony, kudłaty, obdarty! Nic dziwnego, jeżeli ktoś ścina drzewa przez osiem dni, musi tak wyglądać. Stazyjka ci pomoże! Stazyjko, wyszoruj głowę Jankowi, bo ma włosy zlepione żywicą, połataj jego spodnie i marynarkę, poprzyszywaj mu guziki, bym nie musiał się za niego wstydzić! Ja zaś wyczyszczę popiołem jego hełm, w którym gotowałem kapustę z ziemniakami, i pójdę po jego zbroję, która wisi na spróchniałej wierzbie. Z pewnością już się w niej zagnieździły wrony lub kawki. A gdy Janek będzie już podobny do królewicza, udamy się do matki... No, już! Chwytać się roboty!

Stazyjka naląła do szaflika wody i jęła szorować głowę Janka. Drwal czyścił popiołem złoty hełm. Potem poszedł i zdjął ze spróchniałej wierzby zbroję. Istotnie już zdołały się w niej zagnieździć wrony! Drwal rozpędził je i przyniósł zbroję do chałupy. Wyczyścił ją także

popiołem, a tymczasem Stazyjka już uczesała złociste włosy Janka, przyszyła guziki do skórzanego kubraka, połatała spodnie, potem pomogła mu włożyć na siebie zbroję, pomogła mu włożyć złoty hełm na głowę i ruszyli do matki. Rumak szedł za nimi i rżał cichutko z ukontentowania, że Stazyjka została odczarowana.

Dotarli do chałupki, ukradkiem zaprowadzili Stazyjkę do komory i kazali jej tam siedzieć tak długo, dopóki jej nie zawołają. Potem drwal z Jankiem wstąpili do izby. Matka płakała, a Placyda dłużyła palcem w nosie.

— Dzień dobry, pani matko! Dzień dobry, nadobna córo, Placydo! — rzekł dwornie drwal.

— Dzień dobry, pani matko! Dzień dobry, Placydo! — rzekł Janek niemniej dwornie, pouczony poprzednio przez drwala.

— Mój złoty królewicz! — zapiszczała Placyda, zerwała się z ławy i pobiegła do Janka.

— Hola, mościa panno, bo co nagle, to po diable! — wstrzymał ją drwal. — Siędnij grzecznie na ławie i słuchaj, co powiem. Otóż wiedzcie, pani matko i ty, nadobna dziewico Placydo, że przychodzę tu jako swat!

— Ojej! — zapiszczała Placyda.

— Cicho, bo jeszcze nie skończyłem! Jak więc powiedziałem, przychodzę tu jako swat, a ten oto królewski młodzieniec pragnie wam się pokłonić, pani matko, i prosić, byście go przyjęli jako przyszłego zięcia!

— Ojej! — zaskrzeczała znowu Placyda.

— Cicho! — huknął na nią drwal. — Bo jeszcze nie skończyłem! Oto zanim, pani matko, wypowiesz swą zgodę, niechaj najpierw twa zacna córa, Placyda, zapiska na piszczałce! Królewiczu, podaj Placydzie piszczałkę! — zwrócił się do Janka.

Janek wydobyl spoza zbroi piszczałkę i podał ją Placydzie. Placyda, jakby przeczuwała coś złego, wzięła ją niechętnie i przypatrywała się jej nieufnie.

— No, zapiskaj, Placydo! Bo w przeciwnym razie... — i nie dokończył, gdyż Placyda przyłożyła piszczałkę do ust i dmuchnęła ostrożnie. A w tej samej chwili piszczałka zaśpiewała Stazyjczynym głosem:

*Graj, siostrzyczko, graj! Bóg cię ukaraj!  
Tyś mnie prętem uderzyła  
I w kalinę zamieniła,  
Graj, siostrzyczko, graj! Bóg cię ukaraj!...*

Gdy piszczałka wyśpiewała tamte słowa, Placyda cisnęła ją na podłogę i zaczęła piszczeć, że to nieprawda, że Stazyjkę wilki pożarły, a może smok ją porwał, a może wieloryb połknął, że to wierutne łgarstwo, co piszczałka śpiewa...

— Zaraz, zaraz, moja panno! — przerwał jej drwal. — Janek! — zwrócił się do królewicza i mrugnął na niego.

Janek pobiegł do komory i przyprowadził Stazyjkę. Wtedy matka o mały włos, a byłaby zemdląła z ogromnej radości. Placyda zaś wezbrała taką złością, że drwal miał zaledwie czas krzyknąć:

— Pani matko, Stazyjko i Janku! Uszy zatkać palcami!

I gdy to rzekł, Placyda z tej okrutnej złości pękła jak purchawka. I już nie było Placydy. Była tylko Stazyjka z królewiczem i matka, i zadowolony drwal, i rżący rumak przed chałupką, i rozśpiewany zgielk, ptaków, i skrzeczenie sroki Srokuli, i szumiący wiatr.

Niedługo trwało, a wiatr i Srokula rozniosły po całym świecie radosną wieść, że czarownica Placyda pękła ze złości i że Stazyjka zaręczyła się z królewiczem Jankiem, i że dwie dziurki w nosie skończyło się...

Nieprawda! Jeszcze się nie wszystko skończyło!

Bo oto do brzegu przyplłynął brzuchaty wieloryb i tak rzekł:

— Kochani ludeczkowie! Co tu się stało, że sroki wrzeszczą takie uradowane? Przyplłynąłem, żeby się dowiedzieć, bo nie dosłyszałem, co krzyczą, gdyż morze szumi!

Janek wszystko opowiedział wielorybowi. I jeszcze nie skończył opowiadać, a tu leci smok na ogromnych nietoperzowych skrzydłach, siada przed nimi podobny do straszyla i tak pyta:

— Kochani ludeczkowie! Co tu się stało, że sroki latają z jakąś radosną plotką? Bo nie dosłyszałem, co wrzeszczą.

Janek zaczął opowiadać od początku, a smok słuchał i prał luszczytym ogonem po ziemi z wielkiego ukontentowania. I gdy Janek skończył, smok rzekł:

— Poczekajcie, moi mili. Zrobię sztuczny ogień, żeby uczcić wasze wesele!

A wieloryb tak rzekł:

— Poczekajcie, moi mili, zrobię wodotrysk, jakiego jeszcze nikt nie widział, żeby uczcić wasze wesele!

I smok podniósł łeb, i wypuścił z pyska ogromny kłęb płonącej siarki, co było niesłychanie piękne. A wieloryb nadał się i wypuścił z nozdrzy wysoki słup wody, bardzo wysoki, co było również niesłychanie piękne.

A gdy tak Stazyjka, jej matka, Janek i drwal patrzają na sztuczny ogień smoka i na wodotrysk wieloryba i klaszczą, i cieszą się, skąd się weź, to się weź, drogą biegnie dwunastu zakonników z przeorem na przedzie! Biegną i śpiewają coś po łacinie! Wszyscy w habitach, przepasani powrozami, z wygolonymi kudłami na czubku głowy, obwieszeni różańcami, tylko że gęby ich kostropate, nochale pijackie, a łacina bardzo koślawa.

— Kto wy jesteście? — zapytał zdumiony Janek.

— To nas już nie poznajesz, królewiczu? — wrzasnął przeor z fioletowym nosem. — To my jesteśmy, zbójnicy! Do klasztoru wstąpiliśmy, ja zostałem przeorem, a moi kamraci braciszkami zakonnymi, a że dowiedzieliśmy się od srok-plotkarek, iż Placydę diabli wzięli, a Stazyjka została odczarowana i zaręczyła się z tobą, więc przybiegliśmy, żeby się z wami radować. No, kamraci! Zaśpiewajmy Stazyjce i królewiczowi Jankowi „Sto lat!”

Braciszkanie ustawili się, przeor dał znak i zaczęli śpiewać, żeby Stazyjka i Janek żyli sto lat. Śpiew był podobny do beku zarzynanych baranów. Darli się bowiem nieskładnie, piszczeli dyszkantem, buczeli jak zardzewiałe trąby, lecz to wszystko było bardzo wzruszające.

A gdy już wszyscy tak się ucieszyli, pożegnali się z wielorybem i powiadali na grzbiet smoka — gdyż smok o to prosił. I tak pani matka, Stazyjka, Janek, drwal, dwunastu braciszków z przeorem i czarny rumak pofrunęli na smoku do państwa króla Szłapety III.

Co się potem działo na królewskim dworze, tego także już nikt nie potrafi opisać. Było wesele takie, jakiego jeszcze nie było na świecie. Najbardziej radował się król Szłapeta III i z tej radości wytrąbił siedem beczek wina, darował królestwo swemu Jankowi, drwala mianował ministrem wojny, a zbójnikom zbudował piękny klasztor z ogromną piwnicą pełną beczek najprzedniejszego wina. I ja też tam byłem, miód i wino piłem, a co widziałem, słyszałem, wiernie wam tu opisałem.

## ŻAŁOSNA HISTORIA O PRZYGODACH DIABŁA FAJFERKA

Zeszli się wszyscy diabli i pousiadali, gdzie kto mógł, gdyż była ich spora gromada, a miejsca mało. Usadowili się więc jedni na beczkach ze smołą, inni na workach pełnych grzechów, a jeszcze inni na skrzyniach z cyrografami, które były diabła warte, bo je mole obgryzły.

A wszyscy ogromnie się martwili.

Poniekąd z tego zmartwienia posiwili, inni wyłysili, a jeszcze poniekąd zaczęli się szpetnie lenić. To znaczy, wyłaziły im skołtunione kudły garściami — byli bowiem cali kudłaci — a ich krowie ogony wlokły się po ziemi.

Zmartwienie zaś mieli nie byle jakie. Oto od dłuższego czasu ludzie na świecie bardzo sporządzili i nikt z diabłów nie miał sposobności, by czyjąś duszyczkę porwać i zawlec do piekła. Ludzie bowiem już nie klęli ani nie dolewali wody do mleka, gdy je wieźli na targ do miasteczka, ani nie oszukiwali na wadze, ani nie kradli, ani nie życzyli nikomu, by podczas obiadu udławił się gorącym ziemniakiem, ani nie chcieli nikogo utopić w łyżce wody, ani nic. Nawet wtedy, gdy złapali pchłę, to jej nie zabijali, tylko przymawiali jej dobrotliwie:

— A, ty psia wełno! Żeby cię gęś kopła zadnią nogą! Gryziesz mnie i gryziesz, i zasługujesz, żeby cię paznokciem rozgnieść. Nie uczynię jednak tego, bo nie chcę, żeby mnie za to sumienie gryzło! Idź więc sobie, pchełko, idź, oto na ten przykład do mojego sąsiada, a mnie daj święty spokój! Idź — i puszczali ją na wolność. Pchła zaś skakała w dyrdy do sąsiada.

Było więc z tego powodu wielkie zmartwienie w piekle, bo diabli wiedzieli, że jeżeli to się nie zmieni, trzeba będzie piekło zamknąć, wrota zawalić kamieniami i pójść paść kozy lub straszyć pijaków wracających po nocy do domu.

Między diabłami był taki jeden, który nazywał się Firlifrancek. Co tylko wrócił z pustym workiem i twierdził, że na ziemi strasznie niedobrze. Bo tylko czekać, a ludziom zacząć wyrastać u ramion skrzydła archanielskie i tylko czekać, jak nad ich głowami zacząć się kręcić takie złociutkie krążki, jakie można widzieć na obrazkach kupowanych na odpuście, a przedstawiających różnych świętych.

Gdy to powiedział, diabła hołota jeszcze bardziej pomarkotniała, a który z nich był węższego ducha, zaczął drapać się za oślim uchem, tłuc głową o ścianę, lamentować i przepowiadać sromotny koniec piekła i całemu diabłu rodzajowi.

Ducha nie stracił tylko diabeł imieniem Fajferek. Był to bardzo chytry diabeł, gdyż tylko on wiedział, gdzie pieprz rośnie, który święty lepi garnki i co w trawie piszczy. Mało! On nawet umiał naliczyć do trzech, co było sztuką niesłychaną.

I gdy teraz Firlifrancek jął skrzeczeć i krakać, że tylko czekać, a ludziom powyrastają u ramion skrzydła, archanielskie i tylko czekać, a nad ich głowami zacząć się zwyrtać poźłociście kółeczka, Fajferek nie wytrzymał, tylko podniósł łapę i jął przebierać paluchami.

— Co chcesz? — zabyrczał król diabłów, pan Belzebub, siedzący na tronie zrobionym z pięciu beczek ze smołą i na worku pełnym grzechów

— Mości Belzebubie! Proszę o głos! — zawołał Fajferek.

— Gadaj, ale mądrze! — burknął Belzebub. — Bo jeżeli będziesz fanzolił, to cię maznę berłem po twoim zasmolonym gryzoku, że wszystkich aniołów zobaczysz!

Owym berłem były widły, Belzebub zaś tym się różnił od innych diabłów, że miał wielki brzuch, na głowie koronę króla Heroda przywiązaną szpagatem, by mu się nie zsunęła z czerepa, a jego krowi ogon był u postrzępionego końca ozdobiony starym krawatem także króla Heroda.

— Mości Belzebubie i ty szlachetna hołoto! — zaczął Fajferek. — Oto nasz niepoda-

rzony kamrat, żeby go wszyscy anieli wzięli, żeby wpadł do beczki ze święconą wodą...

— Do rzeczy! — przerwał mu król Belzebub.

— ... oto ja zaradzę złu — ciągnął dalej Fajferek. — Mam taki plan!

— Jaki? Jaki? — jęli pytać diabli, powyciągali szyje, nastavili ośle uszy i przestali się martwić.

— Oto ja, najchytrzejszy diabeł, umiejący naliczyć do trzech, postanawiam udać się na ziemię i złowić duszyczkę człowieka... Bo w przeciwnym razie, gdy nie będzie duszyczek w piekle, to krucy-tyrk!...

— Co chciałeś powiedzieć tym krucy-tyrk ? — zapytał Belzebub.

— Że nam wtedy pisany mizerny koniec!

Ponieważ nikt nie chciał, by piekła był pisany mizerny koniec, przeto wszyscy jęli wrzeszczeć, że brawo! Że kamrat Fajferek dobrze mówi!...

Belzebub poprawił się na worku z grzechami, przez chwilę medytował ciężko, a gdy skończył, rzekł już łagodniej: — Więc idź na świat, a uwijaj się, byśmy długo nie musieli czekać! A wracaj z jakąkolwiek duszyczką! Nie zapomnij worka na nią!... Bez duszyczki nie pokazuj się, bo w przeciwnym razie krucy-tyrk!...

: . Fajferek fajtnął krowim ogonem, załopotał nietoperzowymi skrzydłami i pofrunął z piekła na ziemię. Gdy już był na ziemi, usiadł pod wierzbą przy drodze i jął rozmyślać, w jaki sposób złowić ludzką duszyczkę. Gdy tak siedzi i rozmyśla, naraz ujrzał idącą drogą dziewczynę.

Dziewczyna nie była ładna, bo była garbata, miała obie nogi lewe i dużego zeza. Była trochę podobna do pyskatej wiedźmy.

Szła więc drogą i śpiewała:

*Świecie, świecie, świecie marny,  
Odeszel mnie synek szwarny.  
Odeszel mnie, poszedł preczka,  
Wziął mi klucze od serdeczka...*

*Mnie się kozo! nie zasmucić,  
Iże się zaś myśli wrócić.  
Jo się smucić zaś nie będę,  
Takiego se chleđać będę...*

*Co ma gory, doły, lasy,  
Cztery konie, dwie kolasy,  
A biczysko z paprociny.  
Nie będziesz ty, będzie inny!...*

I gdy tak dośpiewała do końca tę dziwną pieśniczkę, Fajferek pomyślał: „Dobra jest! To będzie coś dla mnie”.

Tupnął racią w ziemię i już stanęła przed nim piękna kolasa zaprzężona w cztery czarne konie, on zaś przemienił się w przystojnego pana z biczyskiem z paprociny. Pognął naprzeciwko dziewczyny, zatrzymał konie, zeskoczył z kolasy, zdjął kapelusz, uklonił się po wielkopańsku i zapytał:

A mnie, dzióbeczku, chciałybyś?

Dziewczyna w pierwszej chwili zapomniała języka w gębie, lecz rychło go znalazła i rzekła uradowana:

— Ojej! A wy, panoczku, chcielibyście mnie?

— To się wie, że chciałbym! Nie robię z gęby cholewy. Jestem swobodny i jeżdżę po



świecie — łgał szpetnie — i szukam swobodnej dziewczyny, bo chcę się ożenić. A gdy ciebie ujrzałem, pomyślałem, że ta albo żadna!

— A gdy jo was ujrzała, zarozki też se pomyślałam, że ten albo żaden!

— No, to w porządku! Siadaj przy mnie w kolasie, jedziemy do domu!

Pojechali do domu, do rodziców tamtej dziewczyny, a było jej na imię Hilda. Gdy jechali przez wieś, ludzie wybiegali z chałup, ogromnie się dziwili i mówili:

— Patrzcie, patrzcie, ludeczkowie złości! Jakiego szumnego galanta nasza Hilda znalazła!... — i zazdrościli jej tak wielkiego szczęścia.

A inni mówili:

— Nale dziwy, przedziwy! Nikt jej nie chciał, nikt z nią nie chciał tańczyć w karczmie podczas zabawy, a tu naraz złowiła jakiegoś bogatego panoczka!...

A inni jeszcze tak mówili i kiwali smutnie głowami:

— Biedny będzie ten panoczek przy niej aże biedny. Będzie go tłukła warzechą, będzie nim orała, że biedaczysko schudnie, bo go i głodzić będzie! A schudnie tak bardzo, że nie będzie się mógł myć!

— A czemu nie będzie się mógł myć? — pytali ci, którzy nie wiedzieli, czemu nie będzie się mógł myć.

— Bo gdyby się umył, a potem ocierał ręcznikiem, to nic by z niego nie zostało!

— O, jerum pajtasz! — rzekli ci, którzy nie wiedzieli, czemu tamten panoczek nie będzie się mógł myć.

I dobrze.

Hilda ożeniła się z Fajferkiem. I byłaby nie wiedziała, jakiego zdobyła sobie męża, gdyby nie chusteczka, która jej podczas uczyty weselnej wypadła z dłoni na podłogę. Siedziała bowiem ze swoim wybranym i weselnikami za stołem biesiadnym. Schyliła się więc po chusteczkę i ujrzała, że ten dziwny panoczek ściągnął z nóg lakierki, bo go widocznie ugniały. Że lakierki ściągnął z nóg, nie było w tym nic dziwnego. Dziwne było to, że ten młody pan, czyli żenich, prawą stopę ma jak każdy porządny człowiek, a zamiast stopy u lewej nogi czerni się krowia racica.

— O, jerum pajtasz! — szepnęła zdumiona. — Przecież to diabeł!

Nic jednak nie rzekła, tylko pomyślała, że niedoczekanie jego. I wymiarkowała rychło, że ten łajdak poluje na jej duszę. Ale ona nie będzie taka głupia, jakby sobie ktoś myślał.

I gdy Fajferek we fraku prawił słodkie słówka Hildzie, nazywał ją roztomiłym dzióbeczkiem, złotą rybeczką, aniołkiem i skarbem, ona nic.

Uśmiechała się, przewracała oczami i udawała, że jest niesłychanie szczęśliwa.

Gdy goście już się rozeszli, a Hilda została sama z Fajferkiem, tak rzekła:

— Ty ślimoku zatracony, ty bąbeło niemrawa, myślisz, że ja nie wiem, kto ty jesteś?

— Twoim kochającym cię mężulkiem jestem... — wybełkotał zaskoczony Fajferek.

— Nie fanzol, brzydal! Wiem, po co przyszedłeś! Po moją duszę!...

Fajferek chciał coś zełgać, lecz pyskata Hilda nie dopuściła go do słowa i tak rzekła:

— Wiem, co chcesz! Moją duszę! Cicho! Nie przerywaj — wrzasła i zamierzyła się na niego warzechą. — Oto słuchaj, co ci powiem. Zapiszę ci swoją duszę, ale najpierw przynieś mi pełny worek dukatów. A już! W te pędy!

Fajferek tupnął nogą, podłoga się rozstąpiła i Fajferek w niej przepadł. Lecz nie trwało ani pół pacierza, a on już wyłazi spod podłogi z workiem pełnym dukatów. Worek postawił w kącie, a zza pazuchy wy dobył cyrograf i rzekł:

— Dukaty masz, dzióbeczku, moja złota żoneczko! A teraz podpisz się na tym cyrografie, że twoja duszyczka będzie moją duszyczką!

Hilda ujęła gęsie pióro i rzekła:

— Podpiszę, ale zanim moja dusza będzie twoją duszą, musisz spełnić trzy prace... Wszystkie wykonasz w ciągu trzech dni, na czwarty dzień możesz mnie porwać do piekła.

Powiadam ci jednak, że gdybyś jednej lub dwóch z nich nie wykonał — umowa przepadła!

Fajferek zgodził się skwapliwie, gdyż był przekonany, że jako najchytrzejszy diabeł, umiejący do trzech naliczyć i popisujący się wielu innymi kunsztami, potrafi Hildę przechytrzyć.

Zgodził się więc skwapliwie, podpisany cyrograf włożył za pazuchę i zabierał się do łóżka. Hilda jednak wygnała go z izby.

— Ty operiaszu! — wrzasła. — Ty ślimoku pierzyński! Myślisz, że będziesz rozwałił się w moich pierzynach? Marsz do chlewka ku prosiętom! Tam będziesz spał!

— Ależ, dzióbeczku... — zaczął prosić Fajferek, lecz nie dokończył, bo Hilda prasała go pięścią w ślepią i wyrzuciła za drzwi.

I Fajferek poszedł spać do chlewka ku prosiętom.

Nazajutrz Hilda rzekła do wystraszonego Fajferka:

— A teraz, chłopcze, do roboty! Bierz przetak, noś wodę z rzeki i podlewaj mi kwiaty w ogrodzie! Ale to ci powiadam, żeby mi wszystkie kwiaty były podlane jak się patrzy! Bo inaczej czekają cię saframenckie lejty! — i pogroziła mu warzechą.

Biedny Fajferek westchnął ciężko, lecz gdy pomyślał, że tu chodzi o złowienie duszyczki tej wiedźmy, wziął potulnie przetak i zaczął nabierać wodę z rzeki, by podlewać kwiaty. Woda jednak przeciekała przez sito w przetaku i chociaż przez cały dzień mozolił się i nabierał wodę, nie podlał ani jednego kwiatka.

A gdy uznojony wrócił do izby, Hilda sprasła go warzechą.

— Jutro będziesz paść mrówki! — rzekła i znowu wygnała go do chlewka ku prosiętom.

Nazajutrz wyniosła całe mrowisko w worku na łąkę, wysypała je do trawy i kazała Fajferkowi paść mrówki, a pilnie uważać, by żadna nie zawieruszyła się w trawie i by je wieczorem wszystkie przyniósł najedzone do domu.

Biedaczysko Fajferek pomyślał, że chyba anieli poświecili mu brać taką wiedźmę za żonę, lecz opłaca się trochę pocierpieć, byleby tylko jej duszyczkę zawlec do piekła.

Paść więc mrówki, lecz niestety rozlażyły się w trawie, on zaś biegał i spędzał je do kupy. Trwało to przez cały dzień i zrozpaczony wrócił do domu z dwiema tylko mrówkami. Wszystkie inne uciekły...

Hilda sprasła go jeszcze bardziej warzechą i kazała mu iść spać z prosiętami. A zanim go wygnała, rzekła:

— Na jutro wymyślę ci ciekawsze zajęcie. Jakie, tego jeszcze nie wiem... Rano ci powiem!...

Wtedy Fajferek pociągnął żałośnie nosem i mruknął:

— Przy takiej babie można by ze skóry wyskoczyć!

— Już wiem, jaką dać ci jutro robotę! A teraz wynocha z izby do chlewka — i wypchnęła biedaka za drzwi.

Nazajutrz Fajferek wstąpił nieśmiało do izby.

Hilda rzekła:

— Dzisiaj czeka cię piękna robota!

— A jaka, dzióbeczku?

— Wczoraj powiedziałaś, że przy takiej babie, jaką ja jestem, gotowyś wyskoczyć ze skóry. Wskakuj więc w te pędy ze skóry! — i zamierzyła się sękatą warzechą.

Prerażony Fajferek próbował na podwórzu wyskoczyć ze skóry, lecz nic z tego nie wyszło. Skakał i skakał, a ze skóry nie mógł wyskoczyć. Skakał aż do wieczora i nie wyskoczył. Spocił się smołą i nic. Gdy w końcu wyszła Hilda z sękatą warzechą, Fajferek cisnął cyrograf pod jej nogi i dał drapak.

Uciekał, aż się za nim kurzyło.

Uciekał przez całą noc, a gdy nareszcie słońce wyszło na niebo i zdumione patrzyło na uciekającego diabła, zbudziły się wróble i zaczęły wrzeszczeć :

— Kiep! Cierp! Kiep! Cierp, cierp, cierp!...

Fajferek jednak nie zważał na ich powrzaskiwanie, tylko wlaźł do spróchniałej wierzby i usnął. A chrapał, aż się wierzba trzęsła. Śniło mu się, że Hilda goni za nim z warzechą, on zaś ucieka. Wierzgał nogami i pokrzykiwał tak długo, aż uczył, że ktoś go szturka kijaszkiem.

— Fiks laudon! — zaklął bardzo szpetnie, wyskoczył z wierzby i zaczął uciekać, bo myślał, że to Hilda. Nie uciekł jednak daleko, bo dopędziła go jakaś stara baba i ujęła za krowi ogon.

— Prrr! — zawołała.

Fajferek musiał się zatrzymać, a tamta stara baba tak zaczęła:

— Ogromnie mi się podobasz, diable-czarcie! Jak się nazywasz?

— Fajferek!

— Owszem, ładnie się nazywasz! Posłuchaj, Fajferku! Szukam współnika! Chcesz zawrzeć ze mną spółkę?

— A będę mógł zabrać twoją spróchniałą duszyczkę do piekła ?

— Czemu nie? Ale pod warunkiem, że będziesz u mnie parobkiem przez dwa lata. Jeżeli mnie oszukasz, zabieraj moją duszyczkę. Jeżeli ja cię oszukam, sprawię ci lanie...

— Zgoda! — rzekł Fajferek, bo pomyślał, że jeżeli on umie naliczyć do trzech, co jest niezwykłą sztuką, to nie pozwoli się starej babie oszukać.

I poszedł na służbę do niej na dwa lata. Cyrograf jednak podał babie i zażądał, żeby go podpisała. Jeżeli w ciągu dwóch lat parobkowania oszuka babę, zabiera jej duszę do piekła. Zgoda!

Ponieważ była to wiosna, a pole baby nie zostało jeszcze zaorane, przeto rzekła mu, że nazajutrz będą je orać.

Nazajutrz wyszła z Fajferkiem na kamieniste ugorzysko i tak rzekła:

— Musimy zaorać pole!

— Ale gdzie koń i gdzie pług?

— Konia pożyczę od sąsiada, a ty będziesz pługiem. Pokaż pazury!

Fajferek pokazał pazury, baba je obejrzała i mruknęła, że w porządku.

Potem przywiodła konia od sąsiada, przywiązała go do nóg współnika i kazała mu wyciągnąć pazury. Zaczęła orać. Koń ciągnął, baba poganiała, a Fajferek darł ugorzysko pazurami.

Ludzie szli drogą, patrzyli i mówili:

— Nale, ludeczkowie złoci! Diabeł orze pazurami!

Do wieczora ugorzysko było pięknie zaorane, a Fajferek został już bez pazurów. Wszystkie wyłamał na kamieniach.

Gdy siedzieli przy wieczerzy, baba rzekła:

— Przechylny Fajferku! Dobry z ciebie współnik! Od jutra zaczynamy dalszą robotę. Z góry powiedz, co chcesz zbierać w żniwa. Czy to, co urośnie w ziemi, czy to, co urośnie nad ziemią?

— To, co urośnie nad ziemią! — postanowił Fajferek.

— Dobrze! — rzekła baba.

I nazajutrz baba z diabłem wtykali do ziemi ziarnka rzepy.

Potem czekali aż do żniw. A gdy przyszły żniwa, zbierali to, co zasiali. Baba rzepę, a diabeł liście rzepy.

Wiedział, biedaczysko, że baba go oszukała, i pomyślał, że nie będzie na drugi rok taki głupi, jakby ktoś myślał.

— Na drugi rok ja zbieram to, co urośnie w ziemi, a ty, babo, weźmiesz sobie to, co urośnie nad ziemią.

— Zgoda! — rzekła baba i na drugi rok siała z Fajferkiem pszenicę.

Diabeł ogromnie się radował, że teraz wykiwa babę, i siał, i siał, aż zasiał całe pole.

Potem czekali oboje na żniwa. A gdy nadeszły żniwa, baba zabrała kłosa, a diabłu zostały malutkie korzonki!

I widział teraz, że go baba przechrztyła, przeto zaklął bardzo szpetnie: — Fiks laudon basama teremtete za kućki!... — i uciekł od niej.

Szedł smutny i bardzo nieszczęśliwy, aczkolwiek równocześnie radował się, że zdołał uciec przed laniem, które mu obiecywała baba. Bardziej jednak smucił się i martwił, aniżeli radował.

I gdy tak szedł i szedł, podobny do półtora nieszczęścia, spotkała go czarownica. Ponieważ знаła wszystkich diabłów, przeto poznała z daleka Fajferka.

— A, fiksum pyrtum! — pozdrowiła go uradowana w języku egipsko-egipskim, którym diabły rozmawiają, co znaczy po naszymu: — Pięknie witam!

— Pyrtum fiksum! — rzekł uradowany Fajferek, co znaczyło po ludzku: — Dziękuję bardzo pięknie!

— Czemuś taki smutny, kobyli synu?

— Jasna cholera mnie bierze! — zabiadolił według diabelskiej manieri.

— Wypluj to brzydkie słowo — rzekła czarownica, a nazywała się Luca — wypluj to brzydkie słowo, bo gdy to usłyszą ludzie, zaczną się modlić. A teraz mi powiedz — ciągnęła Luca, a była szpetna jak prawdziwa czarownica, spotykana tylko w bajce — a teraz powiedz mi, co cię gryzie?

— Gryzie mnie sumienie! — jęknął Fajferek.

— A po jakimu, aże po jakimu?

Wtedy Fajferek wszystko jej opowiedział. I o tym, jak go wykiwała Hilda, żeby ją wszyscy anieli wzięli! I jak go wykiwała tamta baba, z którą zawarł spółkę, żeby ją regiment aniołów wziął. I jak poluje na ludzką duszę, bo piekłu grozi bezrobocie, i jeżeli nie złowi duszyczki, trzeba je będzie zamknąć na siedem czarnych pieczęci, a wszystkie diabły z samym królem Belzebubem będą musiały paść kozy albo siedzieć w spróchniałych wierzbach i straszyć pijaków, wracających po nocy do domu. O jerum, jerum!...

— Nie becz jak stara krowa! — pocieszyła go czarownica Luca. — Ja ci pomogę złowić nie jedną, ale kupę duszyczek.

— Co ty mówisz?

— A mówię! Ale zanim ci udzielę rady, przynieś mi worek dukatów! Bo nie ma głupich, żeby udzielać porad za darmo. Za darmo ani koza nie beknie! Adwokaci zaś za takie porady obrastają w sadło! Więc jak będzie?

— A prawdę mówisz?

— Ty ciuciufrani! — rozgniewała się czarownica. — Myślisz, kobyli synu, że nie mam honoru? Że z gęby robię cholewę? A żeby cię kaczki poszczypały!

— No dobrze już, dobrze! — rzekł diabeł. — Już lecę po wór dukatów!

— A przynieś z sobą także spory wór na duszyczki!

Fajferek tąpnął racicą w ziemię i przepadł w niej na ćwierć pacierza. Gdy się ćwierć pacierza skończyło, wychynął spod ziemi z worem dukatów i z wielkim worem na duszyczki.

Luca przeliczyła dukaty i cmoknęła zadowolona, bo ich było stokroć półtora tysiąca i pół złamanego szeląga.

— W porządku! — rzekła. — A teraz uważaj. Widzisz tę górę przed sobą?

— Widzę!

— No, to dużo widzisz! A widzisz tę drugą górę za nią?

— Widzę!

— No, to sporo widzisz! Otóż uważaj, co ci powiem. Między tymi dwiema górami jest wieś. Nazywa się Krasna. Ale mniejsza o nazwę. Ta wieś jest między obiema górami, lecz przedziela ją głęboka przepaść. Taki jar. Na dnie jaru płynie rzeka. A oba brzegi łączy kamienny, sklepiony most.

— Aha! — mruknął Fajferek chytrze.

— Żadne „aha”, ty ślimoku przegrzeszony! — zachnęła się Luca. — Żadne „aha”! „Aha” powiesz, gdy uczynisz to, co ci poradzę. A więc słuchaj, ty ośle archanielski! Pójdiesz w nocy i ten most zwalisz do rzeki.

— Czemu mam go zwalić?

— Ach, ty niemrawa pało! Przecież ten most łączy dwie połowy wsi, która nazywa się Krasna. I, co nie jest wcale dziwne, po jednej stronie jaru są gazdowie, którzy mają tylko córki, a po drugiej stronie jaru są gazdowie, którzy mają tylko synów. I ci synowie kochają się w tych córkach. Już rozumiesz ?

— Nie bardzo!

— Bo z ciebie jest trąba zardzewiała! Słuchaj więc! Gdy ten most zerwiesz i zwalisz do rzeki, wieś Krasna będzie przepołowiona, chłopcy nie będą się mogli zalecać do dziewczyn po drugiej stronie jaru i wtedy powstanie straszne piekło. Ludzie zaczną kląć jak wszyscy diabli... To znaczy jak wszyscy anieli, a ty będziesz zgarniał ich duszyczki do worka i będziesz ich miał tyle, że nie starczy w piekle smoły, by je smażyć...

— Hi, hi, hi! — zachichotał Fajferek. — Już wszystko rozumiem!

— No, nareszcie ruszyło cielę ogonem! — zamruczała Luca. — A teraz wio do roboty!

Fajferek, ogromnie uradowany, uderzył się racicami w pośladki i pognął poprzez pierwszą górę w dolinę, gdzie była wieś Krasna przedzielona głębokim jarem, a której oba brzegi łączył sklepiony, kamienny most. I ujrzał, że przez most przechodzą gazdowie, dziewczyny i chłopcy, że na dnie jaru szumi rzeka, że dziewczyny i chłopcy całują się na moście lub siedzą na jego poręczach, że prawią sobie śliczne słowa wierszami i wzdychają do księżycy, że przyrzekają sobie miłość do grobowej deski, amen, że gazdowie kurzą fajki, a gaździenki plotkują, że słowem, ten most jest mostem serdecznej przyjaźni i miłości...

Fajferek zaczął się za pierwszym filarem, a gdy nastąpiła północ i wszyscy we wsi spali, wylazł, tąpnął racicą i most zwał się w tym oka mgnienu na dno jaru.

I już nie było mostu!

Potem wlaź do spróchniałej wierzby nad rzeką, czekał, co będzie dalej, i zacierał dłonie z radości, że nareszcie ludzie zaczną kląć, pieklić się, skakać sobie do oczu, słowem, że będzie bogaty połów duszyczek.

I dobrze.

Nazajutrz wczesnym rankiem pierwszy zbudził się wójt. Wyszedł z domu i ujrzał, że nie ma mostu. Załamał ręce i rzekł:

— Faron! Most diabli wzięli! Co teraz? Trzeba prędko iść po rozum do głowy!

Poszedł więc po rozum do głowy, a że był wójtem, więc był to rozum wójtowski. A wiadomo, że taki rozum jest nie byle jaki. I już wiedział, co ma robić. Zwołał całą wieś z tej i tamtej strony jaru. Ludzie stanęli nad zerwanym mostem i ogromnie się dziwili, kto to mógł uczynić. Dziwna jednak rzecz, że wcale nie klęli ani nie wymyślali nikomu, ani nie złorzeczyli, jak się tego spodziewał diabeł. Wiedzieli bowiem, że ich wójt ma wójtowski rozum w głowie i że będzie umiał złu zaradzić. Słuchali więc pilnie, co prawił. On zaś prawił, że most diabli wzięli w nocy, lecz on, wójt wsi Krasna, znalazł radę. Oto na szczycie góry mieszka bardzo mądry pustelnik, który zna przeróżne zaklęcia, i ten pustelnik... Ale o tym potem! Teraz trzeba udać się do pustelnika ze wszystkimi radnymi. On zaś, jako wójt, poprowadzi ich...

I tak się stało.

Wójt z dwunastu radnymi udał się na szczyt góry do pustelnika.

Pustelnik siedział pod starą lipą i kurzył fajkę.

Wysłuchał pilnie wójta i dwunastu radnych, a potem rzekł:

— To zrobił Fajferek! No, idźcie już, idźcie, a powiedzcie wszystkim ludziom, żeby nie klęli, nie złorzeczyli, nie robili piekła, bo most będzie stał już jutro rano!

Wójt i dwunastu radnych, pokrzepieni na duchu, zeszli do wsi i powiedzieli, że most będzie stał już jutro rano, że już wszystko w porządku.

Pustelnik zaś czekał, aż znikną za zakrętem. Potem wyrzekł takie zaklęcie:

— Wzywam cię, Fajferku, przybądź w tej chwili do mnie. Adonaj, Atheos, Redemflor, Hokuspokus, Bramaputra, Omega!...

Gdy wyrzekł te słowa, Fajferek stanął przed nim i zakopcił siarkowym dymem.

— A, ty łajdaku — wrzasnął pustelnik i lu! go fajką po czerepie. — To ty taki? To ty robisz ludziom na paskudę! — i znowu lu! go fajką po głowie. — Powiadam ci, jeszcze dzisiaj w nocy most musi być odbudowany! Bo jak nie, to Bramaputra, Omega!...

Było to jakieś straszliwe zaklęcie, bo diabeł zaczął się trząść, dygotać i szczekać dziurawymi zębami. A gdy pustelnik podniósł fajkę, by nią zdzielić brzydala, Fajferek wyjąkał:

— Zbuduję, panie pustelniku, most w ciągu nocy... Tylko jedno!

— Co jedno?!

— W naszych piekielnych ustawach jest zagwarantowane, że jeżeli diabeł zbuduje most, to ma prawo porwać do piekła tego, kto pierwszy przez ów most będzie przechodził.

— Wiem o tym i tego prawa ci nie odbieram! — rzekł pustelnik. — Możesz sobie zabrać do piekła tego, kto pierwszy przez ów most przejdzie!

I dobrze.

Gdy noc nastała i już wszyscy spali po obu stronach jaru, diabeł zaczął budować zburzony most. Budował, uwijał się, pocił i gdy słońce wyszło na niebo, most już stał. Taki sam, jaki był przedtem. Fajferek zaś usiadł na przęśle i czatował na pierwszego przechodnia. A po obu stronach mostu zebrali się ludzie i czekali, co to będzie. Nikt nie przechodził pierwszy, bo wójt za poradą pustelnika wymówił sobie, że nikt nie pójdzie przez most, dopóki nie da znaku.

Wójt stał teraz z dwunastu radnymi i czekał. Obok niego stanął pustelnik z koszyczkiem. Co było w koszyczku, nikt nie wiedział.

Tymczasem po drugiej stronie zbiegły się także kury z kogutem. Kogut chodził dumny jak paw i gderał na kury, a kury grzebały w pyle i szukały jedzenia.

Gdy kogut z kurami był już przy moście po tamtej stronie, pustelnik sięgnął do koszyczka, nabrał garść pszenicy i sypiąc ją z wysoka na ziemię, jął wołać:

— Cip, cip, cip! Kurzyczki, cip, cip, cip!

Gdy to kogut ujrzał, pognął przez most po pszenicę, a za nim kury z wielkim wrzaskiem. I w ten sposób kogut był pierwszy, który przeszedł most.

Wtedy pustelnik zawołał na Fajferka:

— No, czarcie-diabło! Zabieraj koguta, przeszedł pierwszy przez most!

Fajferek porwał więc koguta i pognął z nim do piekła. Przestraszony kogut jednak zapiał i wtedy Fajferek puścił go, gdyż kogucie pianie przeraża diabłów.

Kogut wrócił na most ku swoim kurom, ludzie bardzo się radowali i dobrorzeczyli pustelnikowi i wójtowi, a Fajferek dostał takie rżnięcie w piekle, że popamiętał ruski miesiąc. A ponieważ ludzie byli wciąż porządni, nie kradli, nie złorzeczyli, nie chcieli nikogo utopić w łyżce wody ani nic, przeto piekło zbankrutowało, a diabły z Belzebubem udały się na ziemię. Teraz siedzą w spróchniałych wierzbach i straszą pijaków wracających nocą do domu. Nieszczęsny Fajferek zaś musi tkwić w bagnisku zanurzony po szyję, zamieniony w ropuchę za karę, że z niego taka trąba.

I tak skończyły się żalodne przygody diabła Fajferka.

## O TYM, JAK JESZCZE NIGDY NIE BYŁO, ŻEBY JAKOŚ NIE BYŁO

Był raz jeden król bardzo porządny, a nazywał się Kleofas II. Ten Kleofas II ożenił się z piękną księżniczką z sąsiedniego państwa i już byli oboje siedem lat z sobą, a jeszcze nie mieli dzieciątka. Chodzili przeto do miejsc odpustowych, kupowali najgrubsze świece i stawiali w złotych lichtarzach na ołtarzu, obiecywali niebu co tylko, byleby doprosić się dziewczynki albo chłopczyka. A tu nic! Jak nie ma dzieciątka, tak nie ma dzieciątka.

A ten król Kleofas II miał wielkiego wroga. Ten nieprzyjacielski król nazywał się Hałaburda Świdraty. Dlatego miał przydomek „Świdraty”, gdyż lewym okiem patrzył do prawej kieszeni.

Takiego ogromnego zeza nikt nie miał w całym jego państwie i dlatego Hałaburda Świdraty był ogromnie dumny i z byle kim nie chciał rozmawiać.

— Kto bardziej świdrzy ode mnie? — pytał swoich ministrów, jako że oni wszystko wiedzieli.

Ministrowie bili się w piersi i zapewniali, że w całym państwie jedynie najjaśniejszy król Hałaburda Świdraty posiada największego zeza.

— To dobrze! — mruczał ukontentowany. — Bo gdyby ktoś z mych poddanych ośmielił się mieć większego zeza, każę mu łeb ściąć!

Ponieważ nikt z jego poddanych nie chciał mieć ściętego łba, przeto też nikt nie miał zeza większego niż król.

Poza tym był to strasznie zły władca. Mówiono o nim, że jest zły jak wszyscy diabli. Na rano zjadał niemowlę, na południe najgrubszego gazdę, na wieczerzę zaś babę. A był czarny jak sam diabeł. Gdy zazgrzytał zębami, to były pioruny. Gdy kichnął — przewracały się domy.

No i dobrze!

I ten zły król Hałaburda Świdraty wypowiedział wojnę swemu sąsiadowi, bardzo porządnemu królowi Kleofasowi II z przydomkiem Smutny. Dlatego miał taki przydomek, bo był bardzo smutny, że nie może doprosić się dzieciątka.

Hałaburdzie Świdratemu chodziło o zawojowanie królestwa Kleofasa II Smutnego, bo chciał być jeszcze większym królem.

Kleofas Smutny wiedział, że to nie przelewki, więc strąbił swoich wojaków i ruszył na tamtego zezowatego operiasza, który już niszczył, palił i grabił na granicy.

I rozpoczęła się sromotna batalia. Prali się wojacy, bili się kaprale, walili się po łbach generałowie, a najbardziej wojował Kleofas z Hałaburdą. I tak bili się przez cały rok, a końca nie było wojny.

Królowi Kleofasowi już brakowało sił i wiedział, że jeżeli wojna potrwa jeszcze tydzień — przegra z kretelem. Hałaburda zaś wiedział, że jeżeli ta wojna potrwa jeszcze osiem dni — przegra z kretelem, czyli wyciągnie kopyta. I gdy tak wojacy odpoczywali i posilali się śledziami i bobem, ich królowie zmieniali koszule, gdyż byli bardzo spoceni, myli się, Hałaburda w becze po kapuście, a Kleofas w złotym szafliku, potem golili się, gdyż byli już wąsaci i kudłaci jak straszydła. Wtedy Hałaburda spojrział zezem na swych wojaków szpetnie potłuczonych i tak rzekł do swego ministra wojny:

— Poślij herolda do króla Kleofasa II Smutnego, a niech mu herold powie, że chcę zawrzeć pokój!

Wtedy wszyscy wojacy Hałaburdy ogromnie się uradowali i zaczęli pakować swoje manatki i sposobić się do powrotu. A tymczasem herold pięknie wystrojony, ze złocistą trąbą ruszył na czarnym rumaku do obozu króla Kleofasa II Smutnego. A po drodze trąbił tak

mocno na wszystkie strony świata, że jego krzywa trąba wyprostowała się.

Przyjechał do obozu nieprzyjacielskiego i zapytał wojaków jedzących śledzie z bobem:

— Gdzie tu jest wasz król, Kleofas II Smutny?

— A — jest tam! Myje się w szafliku! — rzekli wojacy i dalej jedli śledzie z bobem.

— A czemu się, heroldzie, pytacie, gdzie jest nasz król? — zapytał pan kapral.

— Bo mój najjaśniejszy król Hałaburda Świdraty ma już dosyć wojny i chce się pogodzić z waszym królem.

Wtedy wojacy Kleofasa II bardzo się uradowali, zjedli prędko resztkę śledzi i ostatnie ziarenka bobu, zaczęli pakować swoje manatki i sposobili się do powrotu do domu.

Herold stanął przed złotym szaflikiem, w którym mył się Kleofas II, i tak rzekł:

— Cześć ci i chwała, najwaleczniejszy królu!

— Cześć! Poczekaj, aż się umyję!

Herold usiadł przeto pod krzakiem, a król Kleofas tymczasem umył się, ogolił, pocesał włosy, wdział na siebie pogiętą zbroję i rzekł:

— Teraz, heroldzie, gadaj, po co przyszedłeś!

Wtedy herold powiedział, że przysłała go król Hałaburda Świdraty, który kazał powiedzieć, że już ma dosyć tej zasmolonej wojny, że trzeba skończyć ze wszystkim i ujednać się po dobroci.

Ha. czemu nie?... Wszak obaj królowie już mieli jej dosyć.

Gdy herold wszystko powiedział, co miał powiedzieć, król Kleofas Smutny rzekł, że dobrze, że zgadza się, by już skończyć z tą zasmoloną wojną.

Przyszedł przeto król Hałaburda Świdraty i król Kleofas zaprosił go do swego namiotu. Ponieważ jednak Hałaburda był tak bardzo czarny, jakby się urodził w kominie podczas najczarniejszej nocy, przeto król Kleofas kazał zapalić sto świec, żeby było jasno. Usiedli potem obaj naprzeciwko siebie, a naokoło siedzieli wojacy i słuchali, co to będzie. I obaj królowie zaczęli się jednać. Długo się wadzili, handlowali, targowali, spierali, aż stanęło na tym, że od dzisiaj będzie koniec bijatyce, że będzie zgoda na sto lat i dwa miesiące i że król Kleofas II Smutny musi dać Hałaburdzie to, co urodziło się na jego zamku podczas tej batalii.

Kleofas II długo medytował, co mogło się urodzić na zamku podczas tej batalii. W końcu wydawało mu się, że zgadł. Gdy bowiem wyjeżdżał na wojnę z Hałaburdą, jego koza była kotna. Widocznie okociła się, miała malutką koziczkę i Hałaburdzie chodzi o nią. Dobrze, niech ma!...

Kleofas II Smutny miał bowiem kozę o cudzoziemskim imieniu Esmeralda. Ta Esmeralda miała złote rogi i zamiast beczeć po koziemu, piskała jak na flecie. A zamiast bobków sypała spod ogona perły tak duże, jak kozie bobki. Była to więc bardzo zacna koza i sam król pasał ją na łące pod zamkiem, a nadworny podskarbi chodził za nią z mieszkciem i zbierał doń pogubione przez Esmeraldę perełki.

Kleofas jednak zgodził się, bo pomyślał, że warto oddać koziczkę za sto lat i dwa miesiące pokoju. Opłaci się! Podpisał więc taki srogi cyrograf i oddał Hałaburdzie. A gdy podpisywał, Hałaburda zacierał dłonie i patrzył znowu lewym okiem do prawej kieszeni. Potem obaj królowie podali sobie dłonie, uścisnęli, zapewnili się wzajemnie, że są wielkimi przyjaciółmi, i rozjechali się, każdy w swoją stronę.

Kleofas II Smutny jedzie więc i jedzie na kasztance, a za nim maszerują wojacy i śpiewają piękną piosenkę o tym, jak otrzymali od majora pismo, że muszą jechać na wojenkę istą... Dobrze im się śpiewało, bo nie jechali na wojenkę istą, lecz wracali z niej do domu. A gdy skończyli o tym piśmie pana majora, zanucili o dziewczynie, która pasiała wołki na bukowinie.

I gdy tak maszerują za swym smutnym królem, i śpiewają wesoło, król patrzy się, a tu z miasta wychodzi naprzeciwko wielka procesja. Gra orkiestra, dzwony biją, a wszędzie furkoczą chorągwie i pełno wesołego krzyku, i wiwatowania, i wielka brama triumfalna z napisem:



„Pięknie witamy walecznego króla i jego wojaków!”, a na przedzie tamtej procesji idzie królowa w białych szatach i coś niesie w ramionach. Co to niesie?...

Król patrzy i widzi, że królowa niesie prześliczną dziewczynkę w pieluszkach haftowanych złotogłowie, że dziewczynka uśmiecha się, że ma niebieskie oczy, dołeczki w policzkach.

A to była dziewczynka, która urodziła się, gdy król był na wojnie.

Król patrzy i patrzy i, zamiast się radować, jeszcze bardziej posmutniał i gorzko zapłakał. Przecież teraz dopiero spostrzegł, że tamten zezowaty łajdak, Hałaburda Świdraty, nabrał go tak haniebnie!... Przecież to jemu musi oddać ową dziewczynkę, na którą czekał przeszło siedem lat i jeszcze trochę!...

— O doloż moja, dolo! — zaszlochał i płakał, i płakał i nic go nie mogło pocieszyć. A co spojrzal na dziewczynkę, jeszcze bardziej płakał.

I byłby płakał nie wiedzieć jak długo, może nawet byłby sobie oczy wypłakał, lecz na szczęście między jego wojakami był karlus nad karlusy, czyli zuch nad zuchy, wielki mądrała i chytrus, a nazywał się Karlik ze Szpluchowa.

Podszedł do króla i tak rzekł:

— Najmiłościwszy królu! Nie becz jak stara krowa! Nie przystoi to królowi!

— Jak nie mam płakać, kiedy zrzekłem się córeczki za sto lat i dwa miesiące pokoju. Muszę ją dać królowi Hałaburdzie Świdratemu...

— Nie pleć, królu, po daremniczy, bo jeszcze nigdy nie było, żeby jakoś nie było! — rzekł na to Karlik ze Szpluchowa.

— Jak to powiedziałeś? — zdumiał się król. — Powiedz jeszcze raz, bom dobrze nie dosłyszał, gdyż dzwony dzwonią, poddani wiwatują, a jeden z muzykantów tak mocno wali palicą w bęben, że trudno dosłyszeć, jak to powiedziałeś.

— Powiedziałem, że jeszcze nigdy nie było, żeby jakoś nie było! — powtórzył Karlik.

A że powiedział to głośno, przeto wszyscy ministrowie i uczeni mężowie, i dworzanie otworzyli usta z podziwu, zaczęli cmokać i kiwać głowami, bo takich mądrych słów jeszcze nigdy nie słyszeli.

Dotarli więc wszyscy na zamek, a smutek króla leciutko zelżał, bo już teraz wiedział, że jeszcze nigdy nie było, żeby jakoś nie było.

Król Kleofas Smutny przypomniał sobie jeszcze, że w cyrografie był taki dopisek, który mówił, iż król Hałaburda Świdraty przyśle posłów po tę rzecz, która się urodziła podczas wojny, ale uczyni to, gdy będzie uważał, że nadszedł czas.

— A to łajdak! — mruczał i zżymał się. — Lecz jeszcze nigdy nie było, żeby jakoś nie było! — pocieszył się słowami Karlika ze Szpluchowa.

Kazał go przywołać, a gdy przyszedł zapytał:

— Jak się nazywasz, waleczny wojaku ?

— Tak, jak mój ojciec, miłościwy królu. Ale ludzie nazywają mnie Karlikiem ze Szpluchowa.

— Aha!... A skąd masz tę niesłychaną mądrość, która prawi, że jeszcze nigdy nie było, żeby jakoś nie było ?

— Wyczytałem w starym kalendarzu, miłościwy królu!

— Hm... A ponieważ jesteś taki mądry, czy możesz mi poradzić, co uczynić, by...

— Już wiem, miłościwy królu, o co chodzi! Chodzi o to, by wykiwać Hałaburdę i dać mu figę, a nie królową!

— O to chodzi, wojaku!

— Niech się miłościwy król nie martwi! Mam głowę nie na paradę! Już tam coś wykombinujemy!

— Dam ci połowę królestwa, jeżeli coś mądrego wykombinujesz!

— Nie trzeba, miłościwy królu! Co mi tam po królestwie! Miałbym tylko utrapienie i

niepotrzebne kłopoty.

— Więc co byś chciał?

— Kozę Esmeraldę paść pod zamkiem!

— Kozę Esmeraldę paść? Hm, też dziwne żądanie!

— Wcale nie dziwne, jeżeli jeszcze poproszę, by królewski podskarbi nie łąził za nią z mieszkciem... By w ogóle nie pokazywał się mnie i kozie Esmeraldzie na oczy!

— Hm, istotnie wcale nie dziwne żądanie. No... dobrze. Zgadzam się.

— A gdy będę pasał Esmeraldę, wykombinuję wtedy, jak wykiwać tamtego łąjdaka Hałaburdę Świdratego. A kozie bobki... to znaczy, chciałem powiedzieć, te perły Esmeraldy, to ja będę zbierał do takiej szkatułki...

— Możesz zbierać...

— No, to nic więcej już nie żądam.

— A generałem chciałbyś zostać ?

— Gwiżdżę na ten zaszczyt, miłościwy królu! Wolę kozę paść!

— A w jaki sposób wykiwasz... Bo tak powiedziałeś?

— Tak powiedziałem, miłościwy królu. Wykiwam tamtego łąpserdaka!

— Więc w jaki sposób go wykiwasz?

— Ha, to już w tym moja głowa. Jeszcze w tej chwili nie wiem, ale gdy będzie czas, przekonasz się, miłościwy królu, że potrafię słowa dotrzymać!

Król leciutko poweselał po tamtej rozmowie z Karlikiem, lecz że był to zacny król, przeto kazał wybudować dla niego domek pod zamkiem, pozwolił mu sprowadzić do tego domku starą matkę — bo o to także prosił Karlik — i polecił nadwornemu mierniczemu, by dla Karlika i kozy Esmeraldy wydzielił z królewskich włości najpiękniejszą i największą łąkę.

Karlik sprowadził swoją matkę do domku pod zamkiem i teraz matka pasła Esmeraldę, a Karlik chodził za kozą z mieszkciem i zbierał perełki, które Esmeralda gubiła.

Minął rok, minął drugi, potem trzeci, dziesiąty, a matka Karlika wciąż pasła Esmeraldę, a Karlik zbierał do mieszka perełki i rozmyślał, jak wykiwać Hałaburdę.

Tych perełek zebrał już cztery spore worki i wszędzie nimi płacił. Miał się teraz dobrze z matką i chwalił sobie żywot nadwornego pasterza.

Na zamku zaś mężowie głębokiej nauki ślęczeli nad ogromnymi księgami, czytali je, patrzyli w gwiazdy przez lunetę tak grubą, że robiła wrażenie armatniej lufy, i zastanawiali się nad niesłychaną mądrością Karlika ze Szpluchowa. Już napisali siedem pękatyh foliałów pełnych rozważań nad tym, że jeszcze nigdy nie było, żeby jakoś nie było.

A w zamku rosła i rosła prześliczna dziewczuszka, młodziotka królewna, przewzana na chrzcie Kunegunda, i śpiewała, i grała na gęśliczkach. Czasem przędła z matką len i wtedy spod krosna snuła się srebrna nitka. A czasem przybiegała do ojca i palcami gładziła mu zmarszczki na czole, i domagała się, by nie był smutny. Czasem wybiegała do Karlika pod zamek i pomagała mu zbierać perełki, które gubiła Esmeralda. A czasem wyręczała jego matkę i sama pasła kozę. A czasem śpiewała matce, Karlikowi i kozie, a wtedy wszystkie ptaki milkły, bo słuchały rozanielone, wiatr przestawał szumieć, słońce na niebie przystawało i słuchało. A jeżeli ktoś w takiej chwili podniósł kamień, by nim ugodzić przeciwnika, to mu kamień wysuwał się z dłoni, a przeciwnicy padali sobie w ramiona i przebaczali urazy. A jeżeli ktoś był chory, to ozdrowiał na poczekaniu. A jeżeli ktoś był smutny, to zaczął się uśmiechać. W ogóle cuda się działy, gdy królewna Kunegunda śpiewała.

Lata więc mijały, a Kunegunda stawała się coraz piękniejsza i coraz większe radosne dziwy swym śpiewaniem czyniąca. I nie tylko śpiewaniem! Wszystkim!

Bo uśmiechnęła się, a wtedy, chociaż dzień był najbardziej ponury i dżdżysty, i chłodny, obłoki przecierały się w tym oka mżeniu, niebo stawało się czyste i błękitne jak jej oczy i wychodziło ogromne słońce. Wtedy ludzie mówili w całym królestwie Kleofasa II Smutnego.

— Aha, nasza królewna Kunegunda uśmiechnęła się.

Inni zaś pukali się palcem w czoło i mawiali:

— Dziw nad dziwy, że nasz król, oby długo panował, chociaż ma tak piękną i mądrą, i dobrodajną córkę, wciąż jest smutny.

A inni jeszcze medytowali głęboko nad tym wszystkim i dochodzili do przekonania, że król Kleofas II Smutny dlatego jest taki smutny, że go bolą zęby albo że go gryzie sumienie za jakieś nieujawnione grzechy, że być może kiedyś skradł na odpuście piernik z kramu piernikarza, a może wybrał pisklęta z gniazdka, albo może wylizał śmietankę swej matce, gdy był jeszcze małym chłopaczkiem i zakradł się do zamkowej spiżarni. Różnie mówiono.

I tak poddani głowili się sromotnie nad smutkiem swego króla, a tymczasem król Kleofas II, w miarę jak jego prześliczna Kunegunda rosła i stawała się coraz bogatsza we wszelkie cnoty i wdzięki, jeszcze bardziej smutniał. A nikt, ale to nikt, nie wiedział, dlaczego król jest coraz bardziej smutny.

Wiedział tylko Karlik ze Szpluchowa.

Gdy Kunegunda już miała prawie lat szesnaście i gdy na zamku i w całym królestwie sposobiono się do uroczystego święta, jakim miał być dzień jej urodzin, gdy już pieczono kołaczki, precle, makagigi, piernikowe serca i torty, gdy już rzeźnicy wybierali na oko najtłustsze wieprzki i świnki, które miano zabić, by zrobić z nich krupnioki, czyli kiszki z kaszą, i gdy już karczmarze i nadworny podczaszy ulewali wino z beczek i próbowali językiem, które z nich najlepsze, i gdy nadworna wróżka kłopotowała się, ile zamówić ptasiego mleka, a ile kilogramów niebieskich migdałów — gdy to wszystko działo się w tajemnicy przed Kunegundą, król Kleofas II popadł w tak wielki smutek, że aż litość brała patrzeć na niego.

Liczył się bowiem poważnie z tym, że w szesnastą rocznicę urodzin nadobnej dziewczeczki zjawia się posłowie króla Hałaburdy Świdratego z cyrografem i zażądają wydania jej po wieczne czasy, amen. Gdy jednak przypomniał sobie tamte niesłuchanie mądre słowa, które kiedyś powiedział Karlik ze Szpluchowa, że jeszcze nigdy nie było, żeby jakoś nie było — ździebko poweselał i zagrał na okarynie bardzo ładną melodię.

Potem posłał po Karlika, a gdy ten zjawił się w komnacie, tak rzekł:

— Mój złoty Karliczku! Wymyśliłeś już coś, jak wykiwać króla Hałaburdę Świdratego?

— Królu, już wymyśliłem!

— Co ty mówisz? Naprawdę?

— Pewnie, że naprawdę! Przecież nie robię z gęby cholewy!...

— No, nie gniewaj się, Karliczku, a powiedz, co wymyśliłeś?

Karlik usiadł obok króla i jął mu szeptać do ucha, by nikt nie słyszał. Oto najpierw postanowił odszukać tego przebrzydłego Judasza, Kulifantesa, który Hałaburdzie zdradził za dwadzieścia i dziewięć dukatów, co urodziło się Kleofasowi podczas wojny. Ukrywał się łajdak w mysiej dziurze. Karlik jednak go znalazł...

— Czemuś mi o tym nie powiedział?! — wrzasnął król. — Byłbym mu kazał łeb ściąć lub na szubienicy powiesić!

— Powoli, miłościwy królu, powoli, bo co nagle, to po diable. A co się tyczy Kulifantesa, to powiem tyle, że co ma wisieć, to nie utonie!... Już ty zdaj się na mój rozum!

Król zdał się więc na rozum Karlika i znowu nastawił ucha, do którego szeptał Karlik, że Kulifantesa wysłał w posły do Hałaburdy Świdratego. Kulifantes nie chciał pójść, ale Karlik dał mu czternaście pereł, które zgubiła koza Esmeralda, a piętnaście obiecał wypłacić, gdy spełni swoje poselstwo.

— A jakie to poselstwo? — niecierpliwiał się król i coraz bardziej dziwił się mądrości Karlika. I pomyślał, jaka to szkoda, że Karlik nie jest prawnym radcą i ministrem propagandy.

— Powiem ci, miłościwy królu, ale do ucha, żeby nas nikt nie słyszał. Bo diabeł nie śpi. Wprawdzie, co szeptane, to zełgane, lecz ja nie lżę, o czym, królu, rychło się przekonasz!

— Więc mów, mów, mój złoty Karliczku!

Karlik zaczął więc szeptać do królewskiego ucha, że Kulifantes już wybrał się w

poselstwo do Hałaburdy i jeżeli się dobrze sprawi, Hałaburda będzie wykiwany. Bo oto, jak Karlik się dowiedział, Hałaburda lubi zadawać pytania, takie zagadki, na które trzeba odpowiedzieć. Jeżeli ktoś trafnie odpowie, wygrywa. Jeżeli nie odgadnie — staje się krótszy o głowę. I tu będzie chodziło o zakład. Jeżeli Karlik wygra, król musi podrzeć cyrograf...

— A jeżeli Hałaburda wygra... — zaniepokoił się Kleofas II.

— A od czego moja głowa, miłościwy królu? Od parady?

Kleofas II pomyślał, że istotnie głowa Karlika nie jest od parady. Karlik zaś dalej szeptał, że uda się z kozą Esmeraldą do króla Hałaburdy i wyzwie go na pojedynek. To znaczy, Karlik oświadczy, że odgadnie wszystkie zagadki, jakie mu król zada. A gdyby nie odpowiedział na pytanie, Hałaburda zabiera kozę Esmeraldę i może ściąć głowę Karlika. Gdy zaś Karlik na wszystkie pytania trafnie odpowie — Hałaburda podrze cyrograf...

— No, dobrze, a co ten Kulifantes?

— Ha, Kulifantes! On, łakomy pereł, będzie namawiał Hałaburdę, by zgodził się na pojedynek ze mną... I o to mi chodziło...

Kleofas II bardzo się zdumiał przemyślnością wojaka Karlika ze Szpluchowa i od tej godziny był już lepszego ducha.

I tak się stało, jak przewidywali król Kleofas II i Karlik ze Szpluchowa. W szesnastą rocznicę urodzin królowny Kunegundy, gdy wszyscy jedli kołacze, pili wino, raczyli się krupniokami, a dzwony były i chorągwie furkotały na słonecznym wietrze, a organy grały we wszystkich kościołach, a stu dwunastu poetów napisało sto dwanaście prześlicznych wierszy na cześć królowny Kunegundy, a ludzie ogromnie się radowali, a królowna Kunegunda wydłubywała rodzynki z tortu dla niej upieczonego przez dwunastu cukierników i także bardzo się radowała — w takiej uroczystej i wzniosłej chwili strażnik zamkowy zatrąbił z wysokiej wieży na znak, że do zamku jedzie jakieś poselstwo.

Wybiegli wszyscy na drogę i patrzyli, co to za poselstwo, od kogo. Może jadą powin-szować królownie Kunegundzie? Może wiozą podarki?... I nikt nie mógł zrozumieć, co to za poselstwo. Jadą bowiem jakieś wąsate i kudłate draby, patrzące spode łba, zgrzytające zębami, z nożami za pasem, z buławami w dłoniach, wrzeszczą, jakby byli pijani, a za nimi idzie czterech oberwańców i niesie śliczną lektykę. Dotarli na zamek, wstąpili z hałasem do trono-wej sali, gdzie już czekał na nich król Kleofas II Bardzo Smutny. Herszt tamtej zgrai, podobny do rzezimieszka, wystąpił, uklonił się byle jak i tak rzekł:

— Królu, przyjechaliśmy po swoje! Oto na cyrografie twój podpis! — i roztoczył przed zdumionymi dworzanami, generałami i ministrami cyrograf, który podpisał król Kleofas II przed szesnastu laty.

I teraz dopiero wyjawilo się, dlaczego był tak bardzo smutnym królem przez szesnaście lat. Że przez podstęp Hałaburdy rzekł się swej córki Kunegundy. Że podpisał cyrograf. Że Kunegunda musi teraz udać się na zamek króla Hałaburdy...

Nikt by tego nie zdołał opisać, co się wtedy działo. Dzwony przestały bić, słońce skryło się za gęste, czarne chmury, ptaki zamilkły, poddani przestali jeść kołacze i krupnioki, podczaszy i karczmarze zabili szpuntami beczki z winem i nastał wielki lament i smutek.

Nie smuciła się tylko Kunegunda, bo wiedziała, że Karlik także uda się z kozą Esmeraldą na zamek Hałaburdy, a gdzie Karlik — tam jest bezpieczna.

Karlik podszedł jeszcze do króla Kleofasa, poklepał go po kolanie i rzekł:

— Nie lękaj się, królu, bo ja wiem, dlaczego mam głowę na karku! A poza tym jeszcze nigdy nie było, żeby jakoś nie było!

To rzekłszy pięknie się uklonił, pożegnał się z matką, wziął kozę Esmeraldę na sznurek i ruszył za lektyką, w której siedziała Kunegunda, a którą niosło czterech oberwańców. I wszyscy, a więc oberwańcy, draby i wiodący ich rzezimieszek, dziwili się, dlaczego Karlik idzie za lektyką z kozą o złotych rogach, a pobekującą tak, jakby piskała na flecie.

Nic jednak nie rzekli, bo przypuszczali, że taki warunek był w cyrografie. Niektórzy

nawet zaczęli Esmeraldę głaskać po głowie i grzbiecie, bo zdumieni dostrzegli, że zamiast bobków traci perełki. Zbierali je przeto skwapliwie i dbali, by ani królownie, ani Karlikowi, a przede wszystkim kozie nie było krzywdy.

Na zamku Hałaburdy zaś przygotowywano się na przyjęcie królowny Kunegundy. A więc jakiś drab przyniósł cebrzyk z ciepłą wodą, gdyż miała w nim myć nogi królowi Hałaburdzie. Przyniósł duży grzebień, gdyż miała czesać nim jego kudły. Przyniósł gęsie skrzydło, gdyż tym gęsim skrzydłem miała króla drapać po piętach podczas snu. Przyniósł szczotkę ryżową, gdyż tą szczotką miała szorować brudne plecy króla. Przyniósł lnianą koszulę i podartą sukienkę oraz siennik napchany słomą, gdyż miała się przebrać w lnianą koszulę, w podartą sukienkę i sypiać na sienniku w drewnitni.

Kulifantes zaś zacierał dłonie, bo udało mu się przekonać króla, że warto tamtemu jakiemuś Karlikowi zadać trzy razy wielkie zagadki i pytania.

Orszak rzezimieszków dotarł w końcu z królowną Kunegundą, Karlikiem i kozą na zamek. Hałaburda aż pękał z niecierpliwości, kiedy zjawia się przed jego szpetnym obliczem. Bardziej bowiem radował się, że będzie zadawał tamtemu chmyzowi zagadki i pytania, aniżeli że Kunegunda będzie go drapała podczas snu po piętach.

Wstąpili wreszcie do królewskiej komnaty.

— Gdzie jest ten chłystek, który chce się ze mną pojedyńkować na zagadki?! — wrzasnął.

Karlik podszedł do króla z kozą i tak rzekł:

— Oto jestem, królu! Lecz zanim mi zadasz pytania i zagadki, dozwól, że postawię warunek!

Hałaburda kazał przynieść sto świec i zapalić w lichtarzach, gdyż był czarny, jakby się urodził w kominie u kominiarza podczas najczarniejszej nocy, i dlatego było bardzo ciemno w komnacie. A chciał zobaczyć tego zuchwalca, który stawia takie żądanie.

Drapichrustowie przynieśli więc sto lichtarzy z zapalonymi świecami i dopiero teraz Hałaburda ujrzał Karlika z kozą oraz lektykę z królowną Kunegundą.

— Zgódź się, królu! — szepnął mu do ucha Kulifantes.

Król zamyślił się. Spojrzał na Karlika i kozę, spojrział na Kunegundę i wrzasnął:

— Więc gadaj, jaki to warunek!

— Królu! — zaczął Karlik. — Zadaż mi trzykrotnie jakiegokolwiek pytania i zagadki i każ mi na nie odpowiadać lub zagadki rozwiązywać. Jeżeli wszystkie rozwiążę i na wszystkie pytania odpowiem, podrzesz cyrograf! A jeżeli nie odpowiem na twoje pytania i nie rozwiążę twoich zagadek, możesz zatrzymać sobie kozę Esmeraldę ze złotymi rogami, której bek jest podobny do piskania na flecie i która zamiast bobków gubi perły. Mnie zaś możesz kazać łeb ściąć!...

Król znowu zamyślił się, a potem jeszcze raz spojrział na Karlika, kozę i Kunegundę.

A gdy tak rozmyślał, Kulifantes szepnął mu do ucha:

— Zgódź się, królu! Ten chmyz nie zdoła odpowiedzieć, więc każesz mu łeb ściąć. I dostanie ci się koza, która zamiast bobków traci perły. Pomyśl, ile to będzie pereł, gdy ją będziesz karmił owsem i marcypanem! Będziesz najbogatszym królem na świecie!...

— A jeżeli ten chmyz wygra? ...— zastanowił się Hałaburda i spojrział prawym okiem do lewej kieszeni.

— Popatrz, królu, na tę księżniczkę! Takie chucherko, wymoczek, że ledwie zipi! Gdyby to była baba jak szafa, jak dąb, jak baszta zamkowa — nie powiedziałbym. Ale takie coś!... Kichniesz, to się przewróci. Wyjdzie na basztę, wiatr ją porwie, musiałyby nosić z sobą młyński kamień, by jej nie zdmuchnął.

— Dobra jest! — zgodził się król, gdyż przekonał go Kulifantes. — A więc podejdź bliżej, ty zuchwalcze, bo zgadzam się na twój warunek.

— Królewskie słowo?

— Królewskie słowo!

— A więc zadawaj pytania, królu!

Król podrapał się po głowie i zapytał:

— Powiedz mi, co to jest? Rano chodzi na czworakach, w południe na dwóch nogach, a wieczorem na trzech nogach.

Karlik pokręcił głową i rzekł bez namysłu:

— To jest człowiek! Bo gdy jest niemowlęciem, czyli w zaraniu swego życia, chodzi na czworakach. W południe na dwóch nogach. A pod wieczór — na dwóch nogach i podpiera się kijaszkiem!...

— Zgadłeś! — ryknął król. — Ale do trzech razy sztuka!

A wszyscy uczeni i wszelkiego rodzaju filozofowie i mądrale bardzo się dziwili, że ten chmyz tak trafnie odpowiedział.

— Powiedz mi — zaczął teraz Hałaburda i spojrzął lewym okiem do prawej kieszeni — powiedz mi, co jest potężniejsze od słońca?...

Uczeni mężowie, filozofowie i mądrale także się zastanawiali, co jest potężniejsze od słońca. I nikt nie mógł w myślach znaleźć odpowiedzi. Czekali przeto, co powie Karlik.

— Królu, tyle ci powiem, że potężniejsza od słońca jest chmura. Bo potrafi słońce zasłonić i wtedy go nie widać. A potężniejszy od chmury jest wiatr, bo przyleci i chmurę rozpedzi. A potężniejszy od wiatru jest drzewo, bo oprze się każdej wichurze. A potężniejszy od drzewa jest człowiek, bo przyjdzie z toporem i zetnie drzewo. Czyli że potężniejszy od słońca jest człowiek!...

Gdy skończył, nastąpiła ogromna cisza, a potem poprzez salę przeleciało zbiorowe zdumienie: — Ach!...

Król zaś zaklął szpetnie i rzekł:

— Zgadłeś, ty zuchwalcze! Ale do trzech razy sztuka! Teraz zadam ci kilka pytań. Jeżeli na wszystkie odpowiesz bezbłędnie, wygrasz... A jeżeli nie odpowiesz... Hej, służba, zawołajcie na kata, by już ostrzył topór!...

— Dobrze, królu! Ale jeżeli odpowiem na wszystkie pytania, podrzesz cyrograf?

— Podrę! Zgadzam się! A więc zaczynam!... Powiedz mi, jak łapie się słonie ?

Karlik zaczął bez namysłu:

— Słonie łapie się w następujący sposób. W tym miejscu, gdzie idą pić wodę do rzeki, na tej ścieżce wbija się słup, a na nim umieszcza się tablicę z napisem: dwa razy dwa jest pięć. Ale cyframi. Słoń jest zwierzęciem mądrym. Idzie pić wodę i zauważy tamtą tablicę. Czyta, co na niej napisane, i coś mu się nie zgadza. Zaczyna więc głową kręcić i kręci nią tak długo, aż ją sobie skręci. I słoń jest złapany!

— Bravo! — wrzaśli filozofowie, uczeni i mądrale. Klaskali z zachwytu a najbardziej klaskała królowna Kunegunda w kącie sali.

Król zaklął bardzo szpetnie i zapytał:

— A powiedz mi, jak się łapie lwy na pustyni?

Karlik zaś bez namysłu odrzekł:

— Idę na pustynię z wielkim sitem. Nabieram na sito piasku wraz z lwem. Potem piasek wytrzęsę przez sito, w sicie zostanie lew, złapię go za grzywę i już jest złapany!

— Bravo! Bravo! — zawrzeszczeli zdumieni mądrale, filozofowie i uczeni w piśmie egipskim. I klaskali, a najbardziej klaskała Kunegunda w kącie sali.

— Ha, wygrasz, łajdaku! — ryknął król i walnął berłem o poręcz tronu. — Ale jeszcze nie koniec, Hej, służba! Czy kat już wyostrzył topór?... Bo za chwilę spadnie głowa z karku tego chmyza,...

— Królu! — rzekł na to Karlik i mrugnął na Kunegundę, — Jeszcze nigdy nie było, żeby jakoś nie było!...

Tu już wszyscy zgromadzeni oniemieli ze zdumienia i otworzyli szeroko usta, gdyż tak

mądrych słów, jak żyw, nigdy jeszcze nie słyszeli. A gdy się przestali dziwić, król krzyknął:

— Ty przeklęty mądralo! Ale poczekaj! Już ja cię dostanę! Powiadaj mi w te pędy, jak łapie się nosorożca?

— Królu! Nosorożca łapie bardzo łatwo. Trzeba mieć tylko z sobą nakrętkę, czyli jak to gdzie indziej powiadają — muterkę. Idę potem do lasu i szukam nosorożca. Gdy go znajdę, stanę oparty o drzewo i zaczynam go drażnić. Nosorożec w końcu rozgniewa się i pędzi na mnie z nastawionym rogiem, by mnie nań nadziać. Ja czekam, a gdy nosorożec tuż, tuż! — uskakuję na bok, a nosorożec w tym rozpędzie wbija róg do drzewa i przebija je na drugą stronę. Wtedy prędko nakręcam na ów róg muterkę. I nosorożec złapany!

I znów nastąpiła ogromna cisza pełna zdumienia. Tylko król sapał i klął okrutnie, i rzucił się, i groził berłem, lecz nic nie mógł uczynić bo Karlik przecież trafnie odpowiedział.

— A, żeby cię wszyscy diabli wzięli! — wykrztusił wreszcie i spojrział lewym okiem do prawej kieszeni, potem prawym okiem do lewej kieszeni. Po czym zaryczał:

— Jeszcze jedno pytanie! Jeżeli odpowiesz, przegrałem!

— Królu, jeszcze nigdy nie było, żeby jakoś nie było! — rzekł na to Karlik bardzo spokojnie i mrugnął na królową Kunegundę.

— A więc mów! Jak się łapie dzikie osły? No, gadaj, ty przechero! Jak się łapie dzikie osły? Hej, służba, czy kat już czeka z toporem?

— Czeka, najmiłościwszy królu i panie! — zawołała służba.

— A więc gadaj, ty rokitko! Jak się łapie dzikiego osła?

— Królu, powiem ci, może dobrze, może źle, nie wiem. Ale na wszelki wypadek daj mi rękę na znak, że nie pogniewasz się na mnie, gdy zgadnę.

Król zastanowił się przez chwilę, bo przeczuwał, że tu kryje się jakiś szatański podstęp.

Wtedy Kulifantes nachylił się nad jego uchem i szepnął:

— Podaj mu rękę, co ci szkodzi? I tak przegra, łajdak!

Wtedy król podał rękę Karlikowi i powiedział:

— Oto ręka, że się nie pogniewam, tylko odpowiadaj, jak się łapie dzikiego osła?

Karlik na to tylko czekał. Ujął oburącz brudną łapę króla Hałaburdy i zwracając się do zebranych filozofów, uczonych w piśmie egipskim i mądrali, tak rzekł potrząsając nią mocno:

— Oto w taki sposób łapie się dzikiego osła!

Król mało że nie pękł ze złości. Wszyscy zgromadzeni zaś gruchnęli ogromnym śmiechem, trzymali się za brzuchy, rechotali, kiwali się, kwiczei, a królowa Kunegunda chichotała jak srebrny dzwoneczek i klaskała.

— Kat! Gdzie jest kat? Hej, kacie! Łeb ściąć temu zuchwalcowi! — zaryczał król.

— Przepraszam, królu! Przecież dałeś mi rękę na znak, że nie będziesz się gniewał. Gdzie jest twoje królewskie słowo?

— A prawda! O, ja nieszczęśliwy! — zabiadolił król. Potem zaczął wrzeszczeć: — Hej, służba, wyrzucić tego zuchwalca! Wyrzucić kozę! Wyrzucić tamtego wymoczka, królową Kunegundę! Niech idą do wszystkich diabłów! — ciskał się, darł szaty, drapał się po gębie i targał brodę. A zez zrobił mu się tak duży, że lewym okiem patrzył teraz w prawą dziurkę swego nosa.

— Ho, za pozwoleniem, mości królu! A cyrograf?

— Ha, cyrograf! Dawać cyrograf! Żeby to wszyscy diabli wzięli! Przegrałem! Pięścią się przebije! W łyżce wody się utopię! Pękne ze złości!

Nadworny sekretarz podał królowi cyrograf, król zaś podał go na strzepy i cisnął w twarz Karlikowi.

— Wyrzucić ich! Wyrzucić! Bo już prawie pękam! — kwiczał i trzymał się oburącz za pęczniący brzuch.

— A tego szachraja Kulifantesa powiesić! — ryknął jeszcze.

I gdy hałabardnicy porwali przerażonego Kulifantesa i powlekli na szubienicę, Karlik

ujął kożę za sznurek, a królowę Kunegundę za rękę i wyszedł. Pod zamkiem posadził Kunegundę na kożę i ruszył szparko ku domowi. Królowa chichotała, bo ją wciąż śmieszyło, że Karlik tak świetnie wykiwał Hałaburdę. Esmeralda zaś pobekiwała ukontentowana, co robiło wrażenie, że gra na flecie. Po drodze gubiła perełki, lecz Karlik ich nie zbierał, bo wiedział, że królowa Kunegunda jest najcenniejszą perłą na świecie.

Byli już blisko granicy, gdy ujrzeni, że pędzi za nimi pościg. Karlik przeto podniósł spory kamień i czekał. Niepotrzebnie jednak, gdyż byli to tamci uczeni w piśmie egipskim, filozofowie i mądrale, którzy gnali na kulawych chabetach i szkapach i krzyczeli:

— Zaczekaj, mędrce nad mędrkami! Zaczekaj!

Karlik więc czekał. A gdy przygnali w rozczochranych perukach, z okularami na nosie, w biretach i rozwianych togach, podobni do sów i puchaczów, najstarszy z nich zaczął:

— O, przebac, dostojny pociotku króla Salomona! A powiedz nam jeszcze raz te twoje niesłychanie mądre słowa, o tym, że coś było, a nie było! Bo zapomnieliśmy, co to było, a nie było!

— A więc słuchajcie, dostojni mężowie. Te słowa tak brzmią: jeszcze nigdy nie było, żeby jakoś nie było!...

— Ach! — westchnęli wszyscy z ulgą i jęli zapisywać gęsim piórem w swych księgach. A gdy tak pisali, naraz jak coś nie gruchnie, jak nie zagrzmie, jak nie huknie!... Zdawało się, świat się wali, gdyż ziemia się zatrzęsała, zadygotała, tamci uczeni, filozofowie i mądrale pospadali z chabet i ze szkap, koza Esmeralda wierzgnęła i trafiła kopytkiem najbardziej uczonogo męża w pośladki, że biedak kilka razy fiknął koziołka, a nad zamkiem króla Hałaburdy uniosła się ogromna, czarna chmura, Karlikowi zaś spadł kapelusz z głowy.

— Co to było? — zapytał.

— Nie wiemy! — rzekli bladzi z przerażenia mądrale i filozofowie.

— Ja wam powiem! — wybełkotał astrolog z lunetą pod pachą. Bo i on znalazł się między tamtymi uczonymi mężami. Luneta była podobna do zardzewiałej lufy armatniej, ale to nic. Włożył ją między gałęzie rosochatej wierzby, przystawił oko i długo patrzył w kierunku zamku. A potem ją bełkotać:

— Aha... Widzę, jak kopa diabłów... w tej chmurze dymu... jak kopa diabłów coś wlecze... Co to wlecze? Aha, już wiem... To wlecze króla Hałaburdę... Chyba do piekła?... Czyli innymi słowy, nasz król Hałaburda pękł!...

— Nasz król pękł! — wrzaśli uradowani uczeni mężowie, filozofowie i mądrale. — Pękł! Jak to dobrze, że pękł!

Astrolog zaś podniósł palec w górę i rzekł:

— Jeszcze nigdy nie było, żeby jakoś nie było. Przeto, przezacni mężowie, chodźmy pospólnie do najbliższej karczmy, wypijemy beczułkę wina z tej niepośledniej okazji. A gdy wypijemy i pokrzepimy zwątlatego ducha, zapiszemy w naszych księgach, że dzisiaj król Hałaburda Świdraty pękł, bo został szpetnie wykiwany, i że jeszcze nigdy nie było, żeby jakoś nie było. A ty zaś, mędrce nad mędrkami, i ty, nadobna dziewico, i ty, przecudna kozo, wracajcie do swego państwa i powiedzcie królowi Kleofasowi II Smutnemu... Ale teraz już chyba nie będzie smutny?...

— Myślę, że nie będzie smutny! — rzekł ubawiony Karlik.

— Mądrześ to powiedział, pociotku króla Salomona. Na czym to skończyłem? — zwrócił się do zasłuchanych towarzyszy. Jedni gramolili się na chabety i szkapy, inni jeszcze je łapali, lecz wszyscy mieli uszy szeroko otwarte na złotoustą wymowę astrologa.

— Mam wracać do króla Kleofasa II — podpowiedział mu Karlik.

— Aha, już wiem!... Otóż powiedz przesławnemu królowi Kleofasowi II, że pozdrawiamy go przez kupę szlachetnych kamieni, ponieważ Hałaburdę wszyscy diabli wzieni...

— Powiem, szlachetny astrologu! A teraz ponieważ jeszcze nigdy nie było, żeby jakoś nie było, więc pyrszk!



— Pyrsk! — wrzaśli uczeni filozofowie z astrologiem na czele. — Pyrsk, nadobna dziewico! Pyrsk, koziczko Esmeraldo! — po czym wsiedli na chabety i szkapy i pocwałowali do najbliższej karczmy, Karlik zaś powędrował z Kunegundą na kozie do swego kraju.

I gdy tak wracali, królowna Kunegunda jeła się go wypytywać o wiele rzeczy.

— Karliczku! — zaszcebiotała. — Tyś powiedział „pyrsk”, gdy żegnałeś uczonych króla Hałaburdy. Co to znaczy pyrsk?

— To tak u nas żegna się każdego, kto nie jest wrogiem.

— Aha... A gdzie jest to „u nas”?

— Ho, ho, królowno! Bardzo daleko. Za siódmą górą i siódmą rzeką...

— A jest tam pięknie?

— Ho, ho, królowno! Tam jest bardzo pięknie. Tam jest najpiękniej na świecie!

— A czemu tam jest tak pięknie?

— Ho, ho, królowno! To jest cała historia. W mądrych książkach o tym piszą!

— A co piszą?

— Piszą tacy, co układają wdzięczne wiersze, i uczeni filozofowie, którzy wszystko wiedzą, że gdy Pan Bóg stwarzał świat, to już stworzył co tylko. Nawet królestwo króla Hałaburdy. A potem pomyślał, że jeszcze trzeba stworzyć najpiękniejszą krainę na świecie. I nie powiedział wtedy ani słoweczka, tylko się uśmiechnął. I z tego boskiego uśmiechu powstała moja ojczyzna...

— Ojej! Ja bym tam chciała być! Ale z tobą, Karliczku!...

— Nic ci teraz nie mogę powiedzieć, ale gdy wrócimy do domu, zapytam się mojej starej matki. Ona mi powie, czy się zgodzić na twoje życzenie...

— Dobrze! Zapytaj się... Ojej! Tak bardzo się cieszę!...

I tak sobie pogadywali po drodze, i pogadywali. Byli jeszcze kęs od miasta, a już ich spostrzegł trębacz z najwyższej wieży i zaczął trąbić. I nim się Karlik z królowną spostrzegli, a tu już tłumy ludzi biegną drogą, a orkiestra gra, a dzwony biją, a na białym rumaku sadi król Kleofas II Uradowany, a za nim rycerze w połocistych zbrojach...

Co się potem działo, nie zdołaloby spisać stu skrybów na stu wołowych skórach. W ogóle trudno to sobie wyobrazić, jaka radość ogarnęła całe królestwo. Ludzie wyciągali nie dojezione kołaczki, precele, marcypany i makagigi, rzeźnicy wyciągali z lodówek krupnioki, cukiernicy piekli na gwałt torty i ciastka, szynkarze i nadworny podczaszy powydobywali szpunty z beczek, w których bulgotało najprzedniejsze wino. I wszyscy strasznie się radowali, że Karlik ze Szpluchowa wykiwał szpetnego króla Hałaburdę, jedli, pili, tańczyli, a muzyka grała, a trzydziestu organistów dudliło triumfalne marsze na organach, a król Kleofas II Smutny nazywał się teraz Kleofas II Uradowany. A najbardziej radowała się stara matka, że jej Karliczek wrócił szczęśliwie do domu.

A potem była jeszcze wielka uczta na zamku. A gdy tak wszyscy jedli i pili, a matka-królowa tuliła do siebie swoją córkę, królowną Kunegundę, a król Kleofas II Uradowany klepał po ramieniu Karlika, znienacka nastąpiła cisza, bo do komnaty wstąpiła matka Karlika i zawołała:

— Karliku, a chodź już do domu, a nie pij tyle wina, bo cię będzie głowa bolała. Bo trzeba ci wstać wcześniej rano, by paść kozę Esmeraldę!

Wtedy król podbiegł do niej i poprowadził ją z wielkim szacunkiem do stołu i prosił, by usiadła po jego lewej stronie i jadła, co jej smakuje, i piła, na co ma ochotę. Matka kazała sobie podać kawałek babki z rodzynkami i filiżankę herbaty z lipowego kwiatu.

I gdy tak znowu jedli i pili, i weselili się, królowna Kunegunda coś szeptała do ucha swej matce-królowej, a potem swemu ojcu, królowi Kleofasowi II Uradowanemu. A ponieważ oboje skinęli głowami na znak, że się zgadzają, przeto podbiegła do matki Karlika i tak rzekła:

— Moja złota mamuliczko! Pozwólcie Karlikowi, by się ze mną ożenił! Bo ja go ogro-

mnie miłuję!... — i ucałowała jej obie dłonie.

Wtedy matka rzekła:

— No, ja tam nie mam nic przeciw temu... Jeśli Karlik cię miłuje... Miłujesz królową?!  
— zwróciła się do niego.

— Ani się nie pytajcie, mamulko! — rzekł Karlik i wydawało mu się, że siedzi na złotym koniu.

I jeszcze w ten sam wieczór odbyły się zaręczyny królowy Kunegundy z Karlikiem, a za tydzień wzięli ślub, po ślubie zaś pojechali do ojczyzny Karlika.

I oboje są bardzo szczęśliwi, oboje pasą kozę Esmeraldę, a Esmeralda rozsypuje im perły. Często odwiedzają mnie w mojej pustelni i opowiadają o tym wszystkim, co przeżyli, I to wszystko, co mi opowiedzieli, skrzętnie zapisałem, żeby nie poszło w zapomnienie.

I tu się kończy przedziwna historia o sprytnym i odważnym Karliku, który mawiał, że jeszcze nigdy nie było, żeby jakoś nie było, oraz kończy się kolorowa historia o królowie Kunegundzie i o kozie Esmeraldzie.

## O TYM, JAK DIABEŁ FAFUŁA CHCIAŁ UKRAŚĆ HANECZKĘ

Był raz jeden diabeł, a nazywał się Fafuła. Siedział w piekle obok pieca, grzał się, dłu-  
bał palcem w nosie, ziewał, łapał muchy i nic nie robił, bo go trapił leń. A był tak szpetny, że  
wystarczyło nań spojrzeć, by usiąść na ziemi ze strachu. Kudły miał skołtunione i pozlepiane  
smołą, rogi ułamane, zeza tak dużego, że jednym kaprawym okiem patrzył do lewej dziurki  
nosa, a drugim do kotliczka, w którym gotowały się gady i żaby na obiad, i szeplenił zaba-  
wnie, gdyż był szczerbaty.

I gdy raz tak siedział przy piecu i drapał się po kudłatym łbie, nadszedł sam naczelny  
diabeł, taki król wszystkich diabłów, imieniem Belzebub, i dostrzegł go pod piecem.

— Co tu robisz. Fafuło ? — zapytał, a z gęby buchnął mu dym siarkowy i płomień.

— Pilnuję!

— Czego pilnujesz?

— Duszyczek smażących się w kotle.

Belzebub spojrział do kotła, w którym bulgotała smoła, lecz duszyczek w nim nie było.

— A, ty przechero! A, ty ślimoku pierzyński! — wrzasnął i wałnął Fafułę berłem po  
łbie. — Leń cię trapi, a nic więcej! Ja ci już pokażę! — i znowu lu! go berłem po łbie. I  
jeszcze raz lu!

A gdy go tak sprął, powiedział;

— Łajdaku skończony, nic nie robisz, tylko darybakujesz, wałkonisz się, bąki zbijas!  
Marsz mi natychmiast na ziemię!

— A co tam mam robić, mości Belzebubie? — zapytał Fafuła pochlipując z wielkiej  
żałości i drapiąc się po zbitym łbie.

— Co robić? Zaraz ci powiem! Hej, Ffidło! — ryknął w głąb piekielnych czeluści.

I w tym oka mżeniu wyskoczył z nich strasznie śmieszny diabeł, garbaty, z okularami  
na wylupiastych, sowich oczach, z gęsim piórem za oślim uchem. Był to nadworny skryba  
króla Belzebuba.

— Słucham, mości królu Belzebubie! — rzekł przymilnie i swym krowim ogonem  
zmiótł pył spod jego kopyt. Bo Belzebub nie miał stóp, tylko końskie kopyta. I tym się różnił  
od piekielnego pospólstwa, wszyscy inni diabli zamiast stóp mieli krowie racice.

— Popatrz, skrybo Ffidło, co tam dzieje się na ziemi!

Ffidło otworzył księgę i szukał.

— Wszystko w porządku — rzekł i fajtnął ogonem.

— Popatrz się lepiej, czy nie ma tam jakiej roboty dla tego naszego lenia cuchnącego —  
i wskazał na skurzonego i pochlipującego Fafułę.

Skryba Ffidło przewrócił kilka kartek, przejrzał zapiski i kwiknął z uciechy:

— Jest, mości królu Belzebubie!

— A co jest?

— U jednych gazdów urodziła się dziouszka, a matka zostawiła ją samiuteńką w izbie,  
w kołysce i poleciała na klachy do sąsiadek!

— Na co poleciała?

— Na klachy, czyli na plotki, mości królu Belzebubie!

— Dobra jest! — zamruczał Belzebub. — Słuchaj, Fafuło! Zabierzesz najmniejszego  
diabluka, takie pomiotło diabelskie, pobiegiesz na ziemię, pomiotło podrzucisz do kołyski, a  
z kołyski zabierzesz tamtą dziouszkę i tu przyniesiesz! A już! W te pędy! A spraw się dobrze,  
bo jeżeli coś poszkapisz, to będą saframenckie lejty.

Znaczyło to w mowie diabelskiej, że będzie rżnięcie w skórę.

Fafuła poleciał więc na nietoperzowych skrzydłach na ziemię. Potem leciał i leciał, aż doleciał do jednej wsi, gdzie u gazdów urodziła się śliczna dziuszka. Gazda robił w polu, orał podorówkę, a matka poszła na klachy. Tak, jak powiedział skryba Fifidło.

Fafuła trzymał pod pachą najszkaradniejsze diabłątko zabrane z piekła. Takie diabłątko podrzucone na miejsce porwanego dzieciątka nazywa się podciepem. I diabeł wtedy tylko może go podrzucić na miejsce takiego dzieciątka, kiedy nie ma ono jeszcze imienia, a matka opuści je chociażby na chwilę, by klachać, czyli plotkować z sąsiadkami.

Leci więc Fafuła z podciepem pod pachą i patrzy, gdzie chałupa tych gazdów, o których prawil skryba Fifidło. Jest! Chałupa stała na uboczu, gazda orał podorówkę, a matka plotkowała z babami przy studni.

— Dobra jest! — uradował się i sfrunął na drogę. A drogą jechał wóz zaprzężony w dwa pięknie konie. Końmi zaś powoził Hanysek, który służył za parobka u sąsiedniego gazdy.

Fafuła zatrzymał Hanyska, zawołał na konie: — Prrrr!... — konie stanęły, a Fafuła podał Hanyskowi podciepa i tak rzekł:

— Potrzyj mi to dzieciątko, ja zaraz wrócę.

Hanysek wiedział, że to diabeł, więc lękał się wzbraniać. Przejął od Fafuły podciepa i postanowił czekać. A Fafuła tymczasem hop! na dach tamtej chałupy, fik! do komina i wpadł do izby, gdzie w kołysce spała dziuszka jeszcze bez imienia. Porwał dziuszkę, fik! z nią do komina, z komina na dach. hop! z dachu na ziemię i pędzi do Hanyska.

— Trzymaj mi teraz tę dziuszkę — rzekł. Odebrał podciepa, włożył na ręce Hanyska dziuszkę i jeszcze wyszeplecił:

— A czekaj na mnie, zaraz po nią wrócę! — I hop! z podciepem na dach, z dachu fik! do komina, z komina do izby i do kołyski włożył wrzeszczącego podciepa.

A tymczasem Hanys zaraz zmiarkował, że ów diabeł nie ma zbyt dużo oleju w czerepie, że jest z niego mamlas i fasała. Nie czekał więc, aż diabeł wróci po dziuszkę, tylko zaciął konie i wio galopem do domu!...

Zaledwie ujechał kilka stajań, a z komina wyskoczył diabeł, Patrzy i widzi, że Hanysek ucieka z dziuszką.

— Hej, ty!... Poczekaj! Poczekaj!... — wrzasnął i pognął w dyrdy za nim. Hanysek jednak nie czekał, tylko zaciął biczem konie i uciekał, co się zmieściło. Wiedział bowiem, że jeżeli zdąży przed diabłem za wrota obejścia, diabeł nie będzie miał prawa ścigać go dalej. Po prostu nie będzie mógł wejść poza wrota. A to dlatego, że na podwórzu chodził kogut z regimentem kur, tam zaś, gdzie jest kogut, diabły nie mają wstępu.

O tym wszystkim wiedział Hanysek i dlatego gnał konie i śmigał biczem, a konie pędziły jak oszalałe. I one bowiem wiedziały, że ściga je jakaś diabelska pokraka. A za wozem biegł Fafuła i wrzeszczał;

— Poczekaj! Poczekaj!...

Konie wreszcie wpadły na podwórze, lecz już w ostatniej chwili, gdyż Fafuła dopędził wóz i ujął go za koło. I kto wie, co by się stało, gdyby nie kogut, łązący po podwórzu. Ujrzał on, co się święci, załopotał skrzydłami, stanął na koniuszki pazurów, wyciągnął szyję i wrzasnął:

— Kukuryku! — i jeszcze raz: — Kukuryku!...

Wtedy przerażony Fafuła uciekł. Zmykał do piekła, aż się za nim kurzyło. A strasznie lamentował, gdyż pozbył się podciepa, a dziuszki nie ukradł. Gdy przyszedł do piekła, król Belzebub sprzął go berłem, nawymyślał mu od mamlasów i kazał go zamknąć w takiej pokręconej muszli, którą ślimaki noszą na grzbiecie.

I siedzi w niej, łajdak, do dzisiaj!...

Na ziemi tymczasem zaczęły się dziać przedziwne rzeczy.

Wstąpił Hanysek do izby, gdzie gaździnka przędła len, i tak rzekł:

— Gaździnko, bom znalazł dziuszkę na drodze! — i pokazał dziecko.

A gaździnka aż dłonie złożyła ze zdumienia i zawołała:

— Nale, Jeckusie, jaka piękna dziouiszka!... Powiedz, skąd ją masz!

Hanysek nie powiedział, że ją ukradł diabłu Fafule, tylko zapewnił gaździnkę, że znalazł dziouiszkę na drodze. I bardzo prosił, by gazdoszkowie zaopiekowali się tą dziouiszką, a gdy dorośnie, to się z nią ożeni.

Gazdoszkowie nie mieli dzieci, przeto uradzili pospólnie z Hanyskiem, że tę znaną dziewczynkę wezmą za swoje, czyli że zostanie ich przybraną córką. A gdy kiedyś przyjdzie czas i będzie trzeba wybierać się na drugi świat, to przecież nic ze sobą do grobu nie wezmą i przeto wszystko, cały majątek, przekażą tej przybranej córeczce.

Ale jak ją nazwać?

Długo radzili i uradzili w końcu, że to będzie Haneczka.

I była Haneczka!...

A tymczasem u tamtych gazdów, którym Fafuła podrzucił za Haneczkę podciepa, działy się bardzo złe rzeczy. Podciep bowiem wrzeszczał w kołysce jak prawdziwy podciep, jaszczął, kwiczał, rechotał, darł się jak stare prześcieradło... Brzydał stomilioński!

A głowę miał jak cebrzyk, oczy wytrzeszczone jak u ropuchy, brzuch jak beczułkę, cienkie nogi, długie ręce, rzadkie włosy podobne do drutów na głowie — słowem, straszna poczwara.

I ci gazdowie nie mogli pojąć, co to się stało. Przecież była śliczna dziouiszka, a teraz taka pokraka... Lecz cóż robić? Trapili się więc z tym podciepem, mieli z nim siedem krzyżów i utrapienia bez miary, a podciep nie rósł, tylko żarł, wrzeszczał i bełkotał.

Haneczka zaś rosła u przybranych rodziców, a była mądra i śliczna jak jutrzenka. I wierzyła, że gazdoszkowie są jej rodzicami. Bo ani gazdoszkowie, ani Hanysek nie zdradzili jej, skąd się tu wzięła. I gazdoszkowie byli bardzo radzi Haneczce, tylko jedno ich martwiło. Oto czasem Haneczka zaszła, tak po znajomości, do swych prawdziwych rodziców. Oni nie wiedzieli, że to ich dziouiszka. Lecz matka Ignęła do niej i często ją wołała do siebie i czesała jej złociste włosy. Wtedy Haneczka kładła głowę na kolanach swej matki i dobrze jej było.

A gdy to samo czyniła jej przybrana matka, wtedy Haneczka mawiała:

— Mamulko, to takie dziwne...

— A co jest dziwne, Haneczko ?

— Bo gdy mnie czesze sąsiadka, to mi tak dobrze, gdy położę głowę na jej kolanach. Jakoś tak miękko, ciepło, wygodnie. A gdy wy mnie, mamulko, czesecie, to gdy położę głowę na waszych kolanach, tak mnie ugniata i niewygodnie mi... Czemu tak jest?...

Przybrana matka nie wiedziała, co odpowiedzieć Haneczce. Zmyśliła przeto, że widać dlatego tak jest, bo sąsiadka albo ma na sobie dużo spódnic, albo ma tłuste kolana.

I dobrze.

Hanysek służył u tych gazdów i służył, Haneczka rosła i rosła, a stawała się coraz bardziej urocza, a podciep u sąsiadów nie rósł, tylko leżał w barłogu, robił pod siebie, wrzeszczał, bełkotał i śmierdział jak wszyscy diabli.

A gdy już Haneczka miała lat osiemnaście, Hanysek poprosił ją, by poszła z nim na przechadzkę, gdzieś w ustronne miejsce, gdyż pragnie jej coś powiedzieć. A było to w maju, noc była ciepła, księżyc świecił, gwiazdki mrugały na niebie, bzy pachniały, a słowiki kłaskały.

Haneczka poszła więc z Hanyskiem na przechadzkę, a gdy usiedli na ławce pod lipą, to najpierw nic nie mówili, tylko słuchali słowiczego śpiewania. I tak obojgu było, jakby najśladszy miód przelewał się w ich sercach.

Gdy się już nasłuchali do woli tego słowiczego gędziolenia, Hanysek tak zapytał:

— Haneczko! A chciałabyś mnie?...

— Yhy! — przytaknęła szeptem Haneczka i bardzo się zawstydziała.

I znowu słuchali słowika.

A gdy się nasłuchali do woli, teraz Haneczka zapytała:

— Hanysku, a ty chciałbyś mnie?

— Yhy! ~ szepnął wzruszony Hanysek.

I już było po oświadczeniach. Wrócili przeto do domu i powiedzieli gazdom... Gazdowie jeszcze nie spali, bo gaździna przędła len, a gazda czytał kalendarz. Rzekli więc gazdom, że oboje mają się ku sobie i pragną się pobrać, czy gazdowie nie będą się sprzeciwiali.

— Ależ katać też tam, kurzyczko moja! — uradowała się gaździnka. — Dyc zawsze o tym myślałam, żebyście się kiedyś pobrali!

— Dobrana będzie z was para! — rzekł gazda. — Tyś porządny człowiek, nie lenisz się w pracy. Haneczka gospodarna i zaradna, dobrana z was będzie para!

I jeszcze tego wieczora pospólnie uradzili, że Hanysek ożeni się z Haneczką po zniwach.

I dobrze.

Gdy już było po zniwach, przyszedł do nich jakiś pielgrzym, wracający miły Bóg raczy wiedzieć skąd. Gdzieś z bardzo dalekiego świata. Był ubrany w habit, przepasany powrozem, podpierał się laską, do której przywiązana była tykwa, na głowic miał kapelusz o szerokich kryzach, a na kapeluszu sznurek z nanizanymi muszelkami.

Przyszedł do przybranych rodziców Haneczki i prosił o przenocowanie. Gazdowie zgodzili się bardzo chętnie, ugościli pielgrzyma, przygotowali łóżko z pierzyną, a potem słuchali, co pielgrzym opowiadał o dalekim świecie. A widział bardzo dużo, bo spotykał smoki, bazyliuszki, wieloryby, ludzi o psich głowach i czarownice, zakradł się nawet na Łysą Górę, gdzie zlatywały się co sobotę na miotłach czarownice. Słowem, bardzo dużo widział

I słyszał. I, co widział i słyszał, opowiadał zasłuchanym gazdom, Haneczce i Hanyskowi. A że gazda przyniósł z karczmy butelkę rumu, więc gaździnka nalewała pielgrzymowi herbaty do najpiękniejszej filiżanki, a gazda dolewał do herbaty rumu. Nie żałował pielgrzymowi, tak że w końcu była to nie herbata z rumem, lecz rum z herbatą. Pielgrzym przeplukiwał więc gardło rumem z herbatą i opowiadał cuda, a tamci słuchali i słuchali.

A gdy już skończył, zapytał gazdów:

— A co u was, gazdoszkowie mili, słychać?

Wtedy gazdoszkowie opowiedzieli mu, że niezadługo będzie wielkie weselisko, bo ich córka Hanusia i Hanysek postanowili się pobrać. Prosił go, by został u nich, dopóki nie będzie weseliska. Potem gaździnka kazała Haneczce iść spać, bo już późno, a rano trzeba wcześniej wstawać.

Gdy odeszła, teraz dopiero Hanysek powiedział pielgrzymowi i gazdoszkom, jak to jest z tą Haneczką. Że chciał ją ukraść diabeł Fafuła, lecz Hanysek ukradł ją diabłu, no i wszystko. I że tamci rzeczywiście rodzice Haneczki muszą trapić się z podciepem...

Pustelnik słuchał i medytował. A potem rzekł:

— Mam radę! Otóż uczynicie tak: gdy już będzie po ślubie, a potem wieczorem wszyscy weselnicy wraz z żenichem i młoduchą oraz z wami udadzą się do karczmy na taneczną zabawę, niech też przyjdą ci prawdziwi rodzice Haneczki, lecz z podciepem. I niech go posadzą na środku sali. I niech potem żenich, czyli pan młody, każe muzykantom zagrać solo, to znaczy, że nikt nie będzie tańczył, tylko Haneczka z Hanyskiem. I niech wtedy Haneczka w tańcu trzy razy kopnie podciepa... Ale prawą nogą!... A co się wtedy stanie, wszyscy zobaczą. W każdym razie nic złego...

I tak się stało, jak radził pustelnik.

Po ślubie była gościna u przybranych rodziców Haneczki, która wciąż była przekonana, iż to są jej rodzice. Gdy wszyscy weselnicy pojedli sobie i popili, udali się do karczmy na taneczną zabawę.

Przedtem jeszcze Haneczka pobiegła do gazdów, którzy trapił się z podciepem, i bardzo prosiła, by też przyszli na jej wesele. I by także przyszli wieczorem do karczmy na

taneczną zabawę, lecz koniecznie z podciepem.

Oni nie chcieli słyszeć o tym, by tam przychodzić z podciepem. Tłumaczył się i wymawiali, że taki obrzydliwy dziwoląg tylko zepsuje całą zabawę, że im przyniesie jeszcze więcej wstydu, że to i tamto, słowem, że nie wezmą z sobą podciepa.

Haneczka jednak tak długo nalegała, aż się w końcu zgodzili.

I przyszli. Muzyka w karczmie już grała, druźbowie, družki i weselnicy już tańczyli, gdy drzwi się otworzyły i do sali wstąpili gazdowie z podciepem. I natychmiast musiano okna otworzyć, bo tak bardzo cuchnął. Darł się, wrzeszczał, kwiczał i bełkotał.

Wtedy Haneczka poprosiła gazdów, by podciepa posadzili na podłodze na środku sali. Hanysek zaś kazał muzykantom zagrać polkę, ale solo. Muzyka zagrała, a polkę zaczęli tańczyć tylko Hanysek z Haneczką. A weselnicy otoczyli ich wielkim kołem i patrzyli, co to dalej będzie. I nic.

Tamci dwoje tańczyli, a gdy już przetańczyli koło, Haneczka kopnęła podciepa prawą nogą. Przetańczyli drugie koło — Haneczka znowu kopnęła podciepa. A podciep wrzeszczał i skrzeczał, i pluł na nich, i dziwy wyprawiał.

A gdy Hanysek z Haneczką przetańczyli trzecie koło i Haneczka kopnęła pokrakę po raz trzeci, podciep podskoczył i zawrzeszczał:

— Jakżech jest stary diabeł, toh takiego tańca jeszcze nie widzioł.

Potem tąpnął nogą, podłoga się rozstaąpiła i podciep przepadł w ziemi. Tylko kupa cuchnącej smoły została na podłodze.

I już nie było podciepa.

Wtedy Hanysek stanął przed zdumionymi weselnikami i powiedział wszystko, jak to było z Haneczką i podciepem. I że prawdziwymi jej rodzicami są ci gazdowie, którzy przez osiemnaście lat musieli się trapić z tamtym brzydalem.

Co się potem działo, trudno opisać nawet temu, kto by miał złote pióro w słońcu maczane. Haneczka zdumiona przypadła do swych prawdziwych rodziców, a oni ją całowali, ściskali, radowali się i dobrorzeczyli Hanyskowi.

Potem to dopiero było weselisko!

Haneczka otrzymała teraz dwa wiana, bo jedno od swych prawdziwych, drugie od przybranych rodziców, i oboje, Hanysek i Haneczka, byli teraz szczęśliwi i długo żyli, i dobrze się mieli.

Diabeł Fafuła zaś do dziś dnia siedzi w ślimaczej skorupce i pokutuje za to, że z niego taki mamlas.

I dwie dziurki w nosie, skończyło się.

## O ZŁOTOGŁOWCU, KRÓLU WĘŻÓW Z GODULI

Była raz jedna księżna na cieszyńskim zamku, którą ludzie nazywali Czarną Księżną. Nosiła czarne suknie, a jej serce było także czarne, aczkolwiek udawała, że jest czerwone jak każde ludzkie serce. Żeby zaś poddani i dworzanie nie poznali, że jej serce jest skore do gniewu i złości, swoje słowa starała się smarować miodem, a na swych wąskich ustach miała przyklejony pocukrowany uśmiech.

Uchodziła więc w całym państwie za dobrodajną księżnę. Dziwiło tylko wszystkich, że nie chciała wyjść za mąż.

Dworzanie i dworki tłumaczyli jej, że to niedobrze, iż trwa w panieństwie. Bo z czasem zestarzeje się, umrze i nie pozostawi żadnego potomka, który by dziedziczył cieszyńskie państwo. A cieszyńskie państwo było rozległe, bardzo rozległe. Przyjeżdżali różni kawalerowie, książęta, nawet jakiś królewicz, by starać się o jej rękę. A ona nie i nie! Powiadała, że nie chce nikogo widzieć, że jeszcze nie przyszedł ten, który jej przeznaczony.

— A któż to jest, mości księżno? — pytali dworzanie.

— Nie wiem!

— Więc jak poznasz, że to będzie ten, który ci przeznaczony?

— Bo wtedy nadleci kruk i usiędnie mi na lewym ramieniu.

Wtedy dworzanie ogromnie się zdumieili, bo jeszcze nigdy nie słyszeli o czymś takim.

A ponieważ bardzo się dziwili, więc z tego powodu nie mogli po nocach sypiać, tylko się przewracali i medytowali. W końcu uradzili, że trzeba się Czarnej Księżny zapytać, skąd ma taką dziwną wiadomość, że na jej lewym ramieniu usiędnie kruk, gdy przed nią stanie ten, który jej przeznaczony na męża. Ostatecznie, niech już tak będzie, ale pod warunkiem, żeby to był przystojny i szlachetnie urodzony kawaler, książę lub zgoła królewicz. Bo jeżeli stanie przed nią jakiś rzezimieszek, włóczęga, drapichrust, zbójnik beskidzki czy okpiświat lub inny ptak niebieski, to co? Wtedy może przylecieć ów kruk bo nie wiadomo co takiemu ptaszysku do głowy strzeli?... Przyleci i usiędnie na lewym ramieniu Czarnej Księżny, a ona rzeknie: „Ten ci jest mój wybrany, i przez długie lata oczekiwany!” — i wpadnie w ramiona zdumionego drapichrusta lub innego rzezimieszka. I co wtedy?

Ha, co wtedy! Wtedy będzie bardzo źle!

Poszli więc wielce strapieni do Czarnej Księżny i tak rzekli:

— Mości księżno! Powiedz nam, skąd ci się uroił ten jakiś gawron?

— Wcale nie gawron, lecz kruk, i wcale mi się to nie uroiło, lecz stoi to napisane w kronice mego prapradziada, księcia Heliodora III. Zaraz was przekonam!

Poszła do swojej komnaty i wróciła z grubą księgą. Księga była tak ciężka, że z trudem ją uniosła. Otworzyła na trzydziestej dziewiątej stronie, gdzie gęstym gotyckim maczkiem było napisane:

*...a oto, gdy na lewym ramieniu naszej praprawnuczki usiędnie kruk, znak to będzie bez ochyby, iż zwiastuje jej naszą wolę. A nasza wola jest taka, by nasza praprawnuczka nie wychodziła za nikogo za mąż tak długo, aż rzeczony kruk usiędnie na jej lewym ramieniu w przytomności nieoczekiwanego przybusia. I wtedy nasza praprawnuczka poślubi tego przybusia, z jakiegokolwiek by on strony przyszedł...*

— Czytajcie! — rzekła księżna i podsunęła im księgę otwartą na stronie trzydziestej dziewiątej.

Dworzanie nachylili się przeto nad ową dziwną księgą i zaczęli powoli sylabizować



gotyckie literki, dukać mozolnie, układać je w zdania. Czytali przez jeden dzień, czytali przez dwa dni i dopiero na trzeci dzień zdołali wszystko dokumentnie przeczytać i zrozumieć. Wtedy rzekli jeden do drugiego:

— Ha, jeżeli taka wola prapradziadka, Heliodora III, to przepadło klepadło!

Znaczyło to tyle, że nie ma innej rady, jak pogodzić się z wolą prapradziadka Czarnej Księżny.

I dobrze.

Z zamkowej góry, a jeszcze lepiej z zamkowej wieży było widać dalekie Beskidy, czyli góry tak piękne, że jeden nadworny poeta napisał siedem grubych ksiąg pełnych prześlicznych wierszy. Tymi wierszami opiewał urodę gór, przezwaną Beskidami. Gdy je czytał Czarnej Księżnie i dworzanom, wtedy wszystkim się zdawało, że piją najdroższe wino węgierskie wprost z beczki i że to ktoś na złotej harfie gra nadobnie i śpiewa słodką piosenkę o miłości.

A w tych Beskidach były ogromne lasy i puszcze. W lasach zaś i puszczech beskidzkich żyły wilki, niedźwiedzie, węże i zbójnicy. Jelenie także i nawet zające. A poza tym nad Beskidami unosiły się jeszcze i zakreślały wielkie szumiące koła orły, jastrzębie, synogarlice, mysikróliki i wróble. Ale co najciekawsze: wilki pały owce beskidzkich górali, i ani jednej nie zjadły. Żywiły się lebiodą i pokrzywami. Niedźwiedzie zaś tańczyły na tylnych łapach, gdy zobaczyły górala lub góralkę. A jeżeli któryś z nich chciał zejść w dolinę, to tylko zawołał:

— Misiu! Misiu!

Wtedy taki niedźwiedź przychodził, góral lub góralka siadali mu na grzbiecie, chwytali się jego kudeł, a niedźwiedź cwałował z nimi do doliny. A gdy wracali z doliny, drapał się z nimi po upłazach pod górę.

Żmije zasypiały pasterzom w nocy na piersiach, zwinięte w kłębek. Jastrzębie kamraciły się z synogarlicami i wysiadywały ich jajka w gniazdach. Orły zaś z dzięciołami obstukiwały dziobami drzewa i szukały robaków za korą.

Zbójnicy byli kudłaci i wąsaci, lecz zamiast pałek trzymali w dłoniach leluje, a za pasem zamiast noży mieli koziki kupione na odpuszcie u kramarza za pół złamanego szeląga. Nikogo nie napadali, nikogo nie krzywdzili, a gdy im wypadło zarznąć barana na obiad, żaden z nich nie chciał tego uczynić. Musieli wtedy losować. Wylosowany zbójnik, chcąc nie chcąc, zarznął barana, lecz podczas zarzynania płakał tak rzewnie, że wszystkim zbójnikom krajało się serce na drobniutkie ćwierci. A gdy go jedli już upieczonego, jeszcze połykali słone łyż, które im ciekły z oczu. Nawet nie solili barana, bo ich łyż wystarczyły.

Tacy więc zbójnicy mieszkali w Beskidach.

Na książęcym zaś zamku był jeden bardzo uczony mąż imieniem Archimedes, który wiedział, gdzie raki zimują, czego nikt nie wiedział w całym państwie cieszyńskim. Dlatego też był w wielkim poważaniu, a jego mądre słowa spisywali dwaj nadworni kronikarze w sporych foliałach oprawnych w świńską skórę.

I ten mędrzec raz powiedział, że raj, o którym tak pięknie prawi zamkowy kapelan, znajdował się nie za siedmioma górami i siedmioma morzami, lecz właśnie w Beskidach. I gdyby owemu bardzo uczonemu mężowi Archimedesowi chciało się szukać, toby z pewnością znalazł w puszczy beskidzkiej tę jabłoń, z której Ewa zjadła jabłko. Tyle że ta jabłoń już dzisiaj rodzi kwaśne płonki.

Czarna Księżna była tak bardzo zachwycona wierszami bladego poety i mądrościami nadwornego uczonego męża imieniem Archimedes, że raz po raz wychodziła na zamkową wieżę i patrzyła z niej na dalekie Beskidy.

I pewnego razu postanowiła. Zwołała zamkową radę książęcą i rzekła:

— Muszę znaleźć w beskidzkiej puszczy tę rajską jabłoń, o której nam tak pięknie powiedział mistrz Archimedes!...

Wtedy książęca rada jęła kiwać siwymi głowami z wielkiego zdumienia, bo jeszcze nikt jak żyw nie szukał w Beskidach rajskej jabłoni.

A gdy przestali się dziwić i kiwać głowami, jeden z nich zapytał:

— Mości księżno! A co uczynisz, jeżeli znajdziesz ową rajska jabłoń?

— Zerwę z niej jabłko! I zjem... — dodała po chwili.

— A jeżeli to będzie płonka?

— To tylko kawałek nadgryzę...

I pewnego jesiennego dnia Czarna Księżna wybrała się z dworzanami do beskidzkiej puszczy na poszukiwanie rajskej jabłoni. Szukała, szukała, aż w końcu po wielu trudach dotarła na wielką polanę na takiej górze, która dzisiaj nazywa się Góra Barania.

Na środku polany rosła jabłoń. Pod jabłonią zaś siedzieli zbójnicy wielce kudłaci i brodaci i śpiewali jakieś nabożne psalmy. Trzymali w lewych dłoniach leluje, a w prawych koziki kupione na odpuszcie u kramarza za pół złamanego szeląga. Czekali na barana, który piekł się na skraju polany. Baran był odarty ze skóry i nadziany na rozen, którym obracał najstarszy zbójnik i płakał, bo mu było żal barana.

Gdy zbójnicy zobaczyli Czarną Księżną i jej dwór, ogromnie się uradowali, dośpiewali do końca psalm wielce nabożny, a potem pobiegli do wystraszonych dworzan.

Pieniędzy albo barana! — wrzeszczeli i wywijali kozikami.

Dworzanie chcieli bronić Czarną Księżną i siebie, już schylali się po kamienie, lecz najstarszy zbójnik zawołał:

— Co chcecie? Pieniędzy czy upieczonego barana?

I teraz dopiero dworzanie zrozumieli, że to zbójnicy o gołębih sercach, kudłaci i brodacu, pragną ich obdzielić pieniędzmi albo podzielić się z nimi baranem.

Wtedy wystąpiła Czarna Księżna i zapytała zbójnickiego herszta, wskazując na jabłoń:

— Czy to jest ta rajska jabłoń, której szukamy, a z której Ewa zjadła jabłko?

— Tyś rzekła, mości księżno! — rzekł dwornie herszt i grzecznie się uklonił.

— To zerwij mi, kochany zbójniku, jedno jabłko z tamtej rajskej jabłoni!

— Już się robi, mości księżno, ale to nie są jabłka, lecz strasznie kwaśne płonki. Są kwaśniejsze niżeli ocet siedmiu złodziei!...

— Nic nie szkodzi! — rzekła Czarna Księżna. — Spróbuję kawałeczek ugryźć!

— Nie radzę, mości księżno, bo gdy ugryziesz, będziesz miała krzywą gębę! Nie wierzysz? Hej, Jano! — zawołał na jednego ze zbójników. — Pokaż swoją krzywą gębę mości księżnie!

Jano podszedł, a herszt wyjaśnił, że Jano złakomił się na tamto rajske jabłko, zerwał je, ugryzł kawałek i teraz ma za swoje! Jak mu wtedy skrzywiło gębę, tak wciąż jeszcze mają krzywą.

— To wezmę sobie tylko jedno jabłko na pamiątkę! — rzekła księżna.

— A to co innego! — zgodził się grzecznie herszt. Podszedł do jabłonki, podskoczył i zerwał najpiękniejszą płonkę podobną do zwiędłej, małej cebuli. A gdy ją podawał na dłoni Czarnej Księżnie, nadleciał kruk, zakrakał i usiadł na jej lewym ramieniu.

— Tyżeś to, mój umiłowany! — uradowała się Czarna Księżna i — pras! — w wyciągnięte ramiona herszta.

I wtedy dworzanie ogromnie się zdumieli i znowu kiwali głowami, a potem orzekli, że stał się cud, bo kruk usiadł na lewym ramieniu Czarnej Księżnej, a wybranym jej stał się herszt beskidzkich zbójników.

— Teraz mam tyle słodczy w sercu — rzekła Czarna Księżna — że spróbuję tego rajskego jabłka!

I zanim herszt i dworzanie zdążyli jej przeszkodzić, ugryzła kawałek rajskego jabłka. Wszyscy myśleli, że skrzywi się jej gęba i że teraz będzie ją trzeba nazywać księżną Krzywoustą, a tu nic!... Księżna pogłaskała się po żołądku, cmoknęła i drugi raz ugryzła.

— Ależ to słodkie jabłko jak najśłodszy miód! — zawołała.

I znowu wszyscy ogromnie się zdziwili. I dworzanie, i zbójnicy, a najbardziej zdziwił się Jano z krzywą gębą. Nie zdziwił się tylko uczony mąż Archimedes, który przyjechał za książęcym orszakiem na oślicy. Pod pachą trzymał kronikę prapradziadka, Heliodora III. Szybko poszukał w niej, zatrzymał się na stronicy pięćdziesiątej drugiej i zawołał:

— Silentium, mości zbójnicy, i wy, dworzanie! Silentium, czyli zamknijcie jadaczki! Bo oto, co napisał przesławny prapradziadek naszej księżny, książę Heliodor, o rajskiej jabłoni!... — i zaczął czytać powoli:

*...a gdy nasza praprawnuczka ugryzie jabłko z rajskiej jabłoni, to ono nie będzie kwaśne jak ocet siedmiu złodziei, lecz słodkie jak beczka miodu. Z octu siedmiu złodziei zaś przemieni się w beczkę miodu, atoli wtedy gdy nasza praprawnuczka nareszcie ujrzy na swym ramieniu kruka, a przed sobą oblubieńca długo oczekiwanego. I koniec.*

Teraz już wszyscy wiedzieli, że spełniła się przepowiednia prapradziadka. Heliodora III, i każdy chciał spróbować rajskiego jabłka, czy istotnie tak słodkie, jak beczka miodu. Rzucili się przeto wszyscy, i dworzanie, i zbójnicy, na jabłoń, wyleźli na nią i zaczęli zrywać jabłka. Najbardziej darł się do niej Jano z krzywą gębą.

I wszyscy jedli, i smakowali, i cmokali, i gładzili się po brzuchach, lecz że byli nienasycony, przeto wciąż zrywali pozostałe jabłka. I tak bardzo pchali się do jabłoni, że w końcu się pobili. I zaczęła się sroga batalia. Zbójnicy porzucili leluje i z wyciągniętymi kozikami rzucili się na dworzan, dworzanie zaś porwali kamienie i zaczęli ciskać w zbójników. A tu znienacka zakołowały nad nimi orły i zaczęły szpetnie krakać, i wylazły z lasu niedźwiedzie, a z drugiej strony wilki, a spod krzaków żmije, i wszystko to rzuciło się na walących się po łbach zbójników i dworzan. I kto wie, jak by się to skończyło, lecz dworzanie w oka mgnieniu pogodzili się jako tako ze zbójnikami i zaczęli prac niedźwiedzie, wilki i żmije, a na orły ciskać kamieniami.

A potem rozeszli się. Zbójnicy do lasu, Czarna Księżna z hersztem i dworzanami w dolinę. Na polanie pozostała połamana rajska jabłonka obrana doszczętnie z jabłek.

I dobrze.

Stała się jednak w Beskidach rzecz dziwna. Bo aczkolwiek nadal były podobne do uśmiechu zamyślonej dziewczyny, gdy marzy o pierwszym kochaniu, i aczkolwiek nadworny poeta nadal pisał przesłiczne strofy o ich urodzie, to w beskidzkiej puszczy coś się popsulo. Wilki zaczęły napadać na owce i barany pasące się na polanach i już nie chciały jeść lebiody i pokrzyw, tylko ostrzyły sobie zęby na mięso. Niedźwiedzie czyniły to samo. Porywały owce i barany, rzucały się nawet na ludzi, ciskały za nimi kamieniami i wyrwały w złości młode dębaczki z ziemi. Orły, krogulce i jastrzębie rzucały się na wróble, mysikróliki, drozdy, ba, nawet na zające i młode sarny. A żmije, łądaki, kryły się pod liśćmi paproci i usiłowały ugryźć człowieka w piętę.

I gdy takie dziwy działy się w Beskidach, w Cieszynie odbywało się weselisko, jakiego Cieszyn jeszcze nie widział. Ogromnie się wszyscy radowali, że Czarna Księżna wyszła za herszta zbójnickiego. Herszt zbójnicki zaś, jak długo był kudłaty i brodaty, podobny był do prawdziwego zbójnika. Gdy jednak nadworny balwierz ściał mu kudły na głowie i gdy mu zgolił brodę i kłaki na gębie siedmioma brzytwami, i gdy dworska służba umyła go w największej beczce, zmieniając w niej trzykrotnie wodę — wtedy herszt stał się całkiem przystojnym kawalerem. A gdy się następnie ubrał w jedwabne szaty, to każdy by pomyślał, że to nie herszt beskidzkich zbójników, lecz jeżeli już nie królewicz, to przynajmniej jakiś książę z zamorskiego kraju.

Było więc wielkie weselisko na cieszyńskim zamku, jakiego jeszcze świat nie widział. Weselnicy jedli i pili, tańczyli i śpiewali. Zjedzono piętnaście wołów, wypito dwadzieścia

beczek wina, a Czarna Księżna zdarła trzy pary trzewiczków, herszt zbójnicki zaś, mianowany teraz księciem, panem Ondraszkiem, zdarł cztery pary butów, gdyż oboje tak bardzo tańczyli.

Na wesele przybyli także Ondraszkowi zbójnicy, a było ich dwunastu. Ci tańczyli z obuszkami, wywijali, podskakiwali pod złożony sufit i śpiewali o tym, jak w murowanej piwnicy tańcowali zbójnicy i kazali se pięknie grać, i na nóżki pozierać.

Cieszyńscy mieszczanie byli przez trzy dni pijani, łazili po mieście, wodzili się pod ramię i śpiewali na cześć młodej pary, żeby żyła sto lat i jeszcze trochę dłużej.

Nawet blady poeta o czarnych, trefionych włosach urznął się winem, wałęsał się po rynku i śpiewał piosenkę przez siebie ułożoną:

*Słodkie wino — dobry trunek,  
Pije się je na frasunek,  
Pije się je na pogrzenie,  
Żeby dusza była w niebie.*

*Pije się je i na gody,  
Pije stary, pije młody,  
Piją nawet i anieli,  
Bo chcą także być weseli...*

Piosenka tak bardzo podobała się mieszczanom, że po weselu pan burmistrz zwołał wszystkich radnych do ratuszowej sali, gdzie pospólnie uradzono, że blademu poecie postawią pomnik na cieszyńskim rynku.

I postawili.

Dwunastu zbójników zaś poszło do lasu, a Ondraszek pozostał na zamku z księżną panią.

I wszystko byłoby dobrze, ale Ondraszek tęsknił za Beskidami. Przeto gdy księżęcej parze urodził się synek, Ondraszek dosiadł czarnego konia i ukradkiem opuścił zamek, opuścił Cieszyn i pocwałował do swych dwunastu kamratów, bo dosyć miał księżęcego żywota i miłsza mu była zbójnicka swoboda. Poza tym obrzydło mu życie na zamku i dlatego, że Czarna Księżna często tłukła go pantoflem lub zgola warzechą, gdy poszedł do miejskiej winiarni, by grać w karty z mieszczanami, a potem wracał nad ranem do zamku na bardzo chwiejnych nogach. Czarna Księżna pomyślała, że dobrze, iż sobie pojechał Ondraszek w lasy, bo nie miała z niego wielkiej pociechy. Gdy siedział na księżęcym tronie, to ziewał, narzekał, że go boli brzuch z tych marcypanów, kołaczy i innych dobrych frykasów, które musiał jadać. A gdy przewodził księżęcej radzie, to zamiast radzić, trzymał w dłoni pajdę razowego chleba, w drugiej dłoni kawał słoniny, krajał ją zbójnickim kozikiem i zajadał.

Pomyślała więc, że smoli na takiego małżonka, że teraz już ma syna, to jej wystarczy. A gdy syn urośnie na młodziana, ona zaś zestarzeje się, odziedziczy on cieszyńskie państwo i dobrze będzie.

Synaczka nazwano na chrzcie Jasiem. I był śliczny jak malowanie.

Jaś rósł i rósł, aż po kilku latach wyrósł na Janka, a gdy urósł już tak bardzo, że go wołano Janem, wtedy Czarna Księżna rzekła:

— Synu mój najmilszy! Słuchaj, co ci powiem!

— Co mi powiesz, pani matko?

— Pojedziesz w świat i wyszukasz sobie na którymkolwiek księżęcym dworze jaką nadobną a cnotliwą dziewicę-księżniczkę, i ożenisz się z nią!

— Pani matko, już za późno!

— Co za późno?

— Bo już znalazłem taką nadobną a cnotliwą dziewicę...

— Gdzie ona ?

— Na naszym zamku, pani matko!

— Na naszym zamku? Cóż ty pleciesz? O jakiej ty dziewicy powiadasz? Któż to jest? Jak jej na imię?

— Nazywa się Hanka, a jest pasterką. Pasie nasze owce pod Cieszynem.

Gdy to rzekł, zdawało się, że w zamku nastął sądny dzień. W pierwszej chwili Czarna Księżna chciała zemdleć, lecz nie zemdląca, bo w komnacie nie było otomany ani łóżka, na które mogłaby upaść. A potem zaczęła krzyczeć i wymyślać Janowi bardzo szpetnie. Że z niego niedobry syn, że z niego niewdzięczny syn, że z niego stomilioński mamlas, jeżeli kocha się w zwykłej pasterce. A gdy mu tak nawymyślała, a Jan stał i ani mru-mru, w złości zdjęła z nogi pantofel i jąła go tłuc. Tak samo, jak kiedyś tłukła Ondraszka.

— Hola, pani matko! — rzekł wtedy Jan i przytrzymał jej rękę. — Nie zasłużyłem na to, byś mnie tłukła pantoflem!

Wtedy Czarną Księżną ogarnęła jeszcze większa złość i tak rzekła:

— Uczynisz tak, jak powiedziałam! Pojedziesz w świat, wyszukasz sobie księżniczkę i ożenisz się z nią!...

— Nie wyjadę w świat, pani matko! Ożenię się z Hanką!

— Pojedziesz! A Hankę każę oćwiczyć batogami i wygnać z zamku!

— Nie uczynisz tego, pani matko!

— Uczynię! Hej, służba! — zawołała.

Zbiegła się służba na jej wołanie i czekała rozkazu. A ona kazała przywieść pasterkę Hankę, osmagać ją batogami, a potem wypędzić z zamku. Wtedy Jan wydobył szpadę i zawołał, zagradzając drogę służbie:

— Kto mi się waży to uczynić, przebiję go jak robaka!...

Wtedy otwarło się czarne serce księżnej pani i rzekła:

— Jeżeli nie będziesz posłuszny mej woli, przeklnę cię, ty wyrodku!...

— Przeklnij, ale nie ustąpię! Hance przysięgałem miłość do grobowej deski i ona będzie moją, a nie jakaś tam księżniczka!...

— A ty, zbójnicki bękarcie! — wrzasnęła Czarna Księżna. — Przeklinam cię... — i tu wyrzekła jakieś dziwne zaklęcie w bardzo dziwnym języku, którego nikt nie rozumiał. I gdy wypowiedziała ostatnie słowo, na niebie zagrzmiało, w zamkową wieżę strzelił piorun, nastąpiła ciemność, dworzanie ze strachu upadli na posadzkę, a z księcia Jana stał się wąż Złotogłowiec ze złotą koroną na głowie.

— Masz! -- syczała ze złością Czarna Księżna. — A teraz czołgaj się, ty wyrodku, i przepadnij na wieki...

I nastąpiła cisza.

Powoli się potem rozjaśniło, a gdy struchleli dworzanie podnieśli głowy; ujrzeli, że Czarna Księżna teraz istotnie zemdląca i leży na posadzce, a z komnaty wyczołguje się ogromny wąż ze złotą koroną na głowie. Czołga się, czołga po schodach, czołga przez dziedziniec, czołga po zamkowym murze, przepływa rzekę Olzę i teraz czołga się drogą w kierunku Beskidów...

A przy drodze siedziała na trawie Haneczka, pasła książęce owce i śpiewała. I gdy tak śpiewała, naraz ujrzała przed sobą ogromnego węża ze złotą koroną na głowie. Przestraszona, nie dokończyła piosenki, zerwała się i chciała uciekać, lecz wąż Złotogłowiec zawołał ludzkim głosem:

— Nie uciekaj, Haneczko! To jestem ja, twój Jaś... — i wszystko jej opowiedział.

— I co teraz? — zabiadoliła.

— Jesteś mi nadal wierna i miłująca?

— Jestem ci, Jasiu, nadal wierna i miłująca, i będę ci wierna i miłująca aż do grobowej

deski, amen!

— To dobrze! — uradował się Jaś Złotogłowiec. — Ja teraz poczołgam się na górę Godulę, gdzie często przebywa mój ojciec, Ondraszek, a ty uczyni, co możesz, aby mnie odczarować...

— Dobrze, Jasieńku mój złoty! — rzekła Haneczka i gdy Jaś Złotogłowiec poczołgał się na Godulę, odbiegła książęce owce i udała się do wróżki.

Ta wróżka była bardzo mądra, mieszkała za rzeką Olzą w małej chałupce i nazywała się Babuleńka-Siwiuteńka. Bardzo pięknie się nazywała i ludzie ją szanowali, bo im pomagała i umiała wszelico odczynić. Mleko wracała krowom, a gdy komuś wyskoczył pypeć na języku z łakomstwa, umiała go także odczynić. Gdy ktoś miał tak zwane „świńskie oko”, czyli gdy wyrzucił się komuś taki malutki pryszczyk na oku, to go tylko trzy razy po pluła i już nie było „świńskiego oka”. Poza tym знаła różne zaklęcia, umiała czytać z książki i gwiazd, wiedziała, co w trawie piszczy, nawet słyszała, jak trawa rośnie. Słowem, była to niesłychanie mądra wróżka.

Przybiegła do niej Haneczka i tak rzekła:

— Moja złota Babuleńko-Siwiuteńko, ratujcie!...

— Co się stało, aże co? Zgubiła ci się owieczka?

Haneczka wszystko opowiedziała, co usłyszała od Jasia zamienionego przez Czarną Księżnę w węża Złotogłowca.

— Hm, hm, hm! — zafrasowała się Babuleńka-Siwiuteńka. — Będzie to trudna sprawa. Ale nie trać nadziei! Przyjdź jutro, a powiem ci, co masz czynić, by odczarować swojego Jasia.

Nazajutrz przybiegła Haneczka do Babuleńki-Siwiuteńkiej. A Babuleńka rzekła:

— Patrzyłam w gwiazdy, patrzyłam w czarodziejskie lustro, wrzuciłam trzy rozżarzone węgielki do wody, trzy razy splunęłam za siebie i już wszystko wiem...

— Co wiesz, moja złota Babuleńko?

— A więc słuchaj!... Na Górze Baraniej, na samym szczycie, rośnie rajska jabłoń. Jak długo rodziła płonki tak kwaśne, jak ocet siedmiu złodziei, było na świecie dobrze. Ludzie byli dobrzy, życzyli bliźnim ptasiego mleka, dobrorzeczyli sobie wzajemnie, pomagali jeden drugiemu, a zbójnicy beskidzcy chadzali po lesie z lelujami w dłoniach, śpiewali roraty i psalmy nabożne, a gdy mieli zarznąć barana, to płakali rzewnie z żalu. Lecz potem, za dziwną sprawą, płonki na rajskiej jabłoni zamieniły się w jabłka tak bardzo słodkie, jak beczka miodu, a to było wtedy, gdy Czarna Księżna spotkała Ondraszka, a kruk usiadł na jej lewym ramieniu... Wtedy Czarna Księżna zjadła jedno jabłko, a resztę jabłek oberwali zbójnicy i dworzanie, połamali gałęzie, złamali jabłonce koronę i jabłonka uschła... Teraz tam stoi sucha... Gnieźdzą się w jej konarach sowy i puchacze... I dobrze! — tu przerwała, bo musiała sobie trochę spocząć po takiej długiej przemowie.

A gdy odpoczęła, zaczęła znowu:

— I dowiedziałam się w nocy, że jedynie ty, Haneczko, potrafisz odczarować Jasia Złotogłowca, dając mu do zjedzenia jabłko z owej jabłoni, którego kawałeczek ty zjesz najpierw...

— Dobrze, Babuleńko, lecz przecież mówicie, że rajska jabłonka umarła, że jest sucha...

— Otóż, o to chodzi! Jeżeli istotnie miłujesz Jasia...

— Miłuję nad życie!

— Nie przerywaj mi, bo zapomnę, co mam ci powiedzieć. Na czym to skończyłam?

— Że jeżeli miłuję Jasia...

— A tak! Jeżeli więc istotnie tak miłujesz Jasia, to musisz wrócić jej życie...

— W jaki sposób mam to zrobić?

— Musisz ją podlewać wodą ze źródła Olzy i swoimi łzami. Przez sześć dni w tygodniu

codziennie przyniesiesz dzbanek wody ze źródła Olzy, w niedzielę zaś podlejesz ją swymi łzami, które w ciągu tygodnia uzbierasz do dzbanka. I tak długo będziesz to czyniła, aż rajska jabłoń ożyje, zakwitnie i zacznie rodzić jabłka. A jeżeli wytrzymasz...

— Wytrzymam, droga Babuleńko-Siwiuteńko!

— Nie przerywaj mi, bo zapomnę, co mam mówić! Na czym to stanęłam?

— Czy wytrzymam...

— Aha, już wiem. Więc jako powiedziałam. Ale to jeszcze nie wszystko. Na Górze Baraniej zlatują się wichry z całego świata. I one mogą jabłonkę do reszty połamać. Gdy zaś dowie się Czarna Księżna, a z pewnością się dowie, wyśle ludzi, by ścięli jabłonkę. I przyjdą wilki i niedźwiedzie, żeby cię pożreć...

— Cóż ja biedna wtedy pocznę? Wichrów nie wstrzymam, przed Czarną Księżną nie obronię jabłonki, przed wilkami i niedźwiedziami również się nie obronię!... Ach, dolaż moja, dola! — i rozplakała się gorzko.

— Nic się nie martw a nie płacz! Ja ci poradzę! Pójdiesz najpierw do króla wichrów Chwista-Pośwista. Znajdziesz go na Babiej Górze w złotym zamku. Lecz zabierz z sobą młyński kamień i trzymaj się go mocno przed tronem króla wichrów, by cię nie zdmuchnął. Może bowiem kichnąć albo ziewnąć, i wtedy fiut! Już cię wichur zdmuchnie jak piórko! I uprosisz go, by jego wichry nie zbiegały się na Górze Baraniej, lecz, dajmy na to, na szczycie Stożka lub na Złotym Groniu, albo na Ochodzitej! Ale to mało. Musisz go prosić, by na twoje zawołanie przysłał sto, nawet więcej wichrów, by cię broniły przed złymi ludźmi...

— Przed Czarną Księżną...

— Tak jest! Przed Czarną Księżną, gdy będzie chciała ściąć rajską jabłonkę. A wilki i niedźwiedzie musisz pozyskać swoim sercem. Bo co ci powiem, to ci powiem, ale ci powiem, że nic łatwiejszego na świecie, jak pozyskać sobie dzikiego zwierza dobrym sercem. Człowieka rzadziej pozyskasz, bo będzie myślał, że masz głupie serce. Ale nie o tym chciałam mówić. O czym to mówiłam?

— Że wilki i niedźwiedzie mam pozyskać swoim sercem.

— Aha! Tak, tak! Dobrym sercem! To już wszystko, co chciałam powiedzieć.

— Dziękuję wam, złota Babuleńko-Siwiuteńko!

— Dobrze, dobrze! Nie dziękuj teraz! Podziękujesz, gdy odczarujesz swego Jasia. A teraz idź...

I Hanka udała się do króla wichrów, Chwista-Pośwista, na Babią Górę. Szła i szła, aż doszła do stóp Babiej Góry. A Babia Góra była strasznie wysoka i stroma. Na jej szczycie błyszczał w słońcu przepiękny pałac, w którym królowała Chwist-Poświst. Często wychodził on na najwyższą basztę i rozkazywał z niej wichrom, wiatrom, wietrzykom i zefirkom, co mają robić, gdzie lecieć, skąd dąć lub dmuchać. Kiedy wichry mają łamać lasy i roznosić dachy chałup, kiedy wietrzyki chłodzić spoconych żniwiarzy i zapylać kwiaty, a zefirki poprzedzać miękkim szelestem narodziny jutrzeńki na niebie. Wiatrom zaś polecał, kiedy mają przywieść deszcz, a kiedy burze, a kiedy mają rozpędzać bure chmury, a kiedy ścinać wodę na lód.

Pod Babią Górą była wieś, a w tej wsi mieszkał młynarz o nazwisku Chyrtoń. Poszła Haneczka do niego prosić o stary kamień młyński. Młynarz był jednak strasznie chciwy i skąpy, i chociaż pod ścianą leżały uszczerbione młyńskie kamienie, nie chciał jej dać żadnego. Ponieważ jednak prosiła i prosiła, więc jej tak rzekł:

— Dobrze! Dam ci taki młyński kamień, ale wtedy, gdy będziesz u mnie służyła przez cały rok. W nagrodę możesz sobie jeden kamień zabrać.

Haneczka przez cały rok nosiła więc u młynarza worki ze zbożem i mąką, doglądała rozklekotanego młyna, pracowała od wczesnego rana do późnej nocy, a na obiad dostawała garnuszek rozwodzonego mleka i miseczkę kaszy, którą najpierw policzył młynarz. Żeby nie było za dużo, lecz równo siedemdziesiąt pięć ziarenek. Na śniadanie zjadała połowę miseczki pęczaku, którego ziarenka także policzył młynarz, czy nie ma ich pięćdziesiąt osiem zamiast

pięćdziesięciu siedmiu. A na wieczerzę otrzymywała trzy ćwierci miseczki fasoli. I to było wszystko. Jedynie w niedzielę i w wielkie święto dostawała jeszcze do obiadu główkę śledzia. Raz tylko pojadła sobie szcrodziej, gdy młynarzowi zdechł królik. Lecz potem zdechłego królika wypominał jej przez kilka miesięcy.

A był tak przeraźliwie chudy, że musiał wejść dwa razy do izby, by można go było nareszcie zobaczyć. Chudy zaś był z tego skąpstwa, bo dla siebie także liczył krupy, fasole czy pęczak.

Hanka sypiała w komórcie na wyrku, na przegniłej słomie, i często po nocach płakała, gdyż była głodna i bolały ją kości, a w żołądku jej burczało. I myślała nieraz, że porzuci służbę u młynarza i pójdzie w świat, dokąd ją oczy poniosą. Gdy jednak wspomniała sobie na Jasia Żłotogłowca, postanowiła wytrwać do końca.

I wytrwała.

Gdy minął rok, młynarz Chyrtoń pozwolił jej zabrać najbardziej uszczerbiony młyński kamień jako zapłatę za rok służby.

Haneczka, chuda jak komar i słaba jak mucha, podniosła kamień i jęła go toczyć przed sobą na Babią Górę. A na drodze stał młynarz i trzymał się za chudy brzuch i rechotał ubawiony. Myślał ukontentowany, że tak głupiej stwory, która by za uszczerbiony kamień młyński służyła mu przez cały rok, jeszcze nie spotkał w życiu. Potem poszedł do komory obliczać talary, Haneczka zaś toczyła kamień na wysoką i stromą Babią Górę. Biedziła się nad kamieniem przez dwa miesiące i trzy dni. Po drodze wymykał się z jej dłoni i staczał w krzaki i ciernie. Wtedy wytaczała go z cierni, a ciernie kłuły jej dłonie i stopy, i znowu toczyła go na szczyt Babiej Góry. Żywiła się zaś jeżynami i grzybami. I chociaż dłonie i stopy miała poranione, jej miłość do Jasia była tak wielka, że za nic miała sobie te rany. I postanawiała wytrwać do końca.

I wytrwała!

Po dwóch miesiącach i trzech dniach wytoczyła nareszcie ów kamień na szczyt Babiej Góry, a ze szczytu do złotego zamku. Nikogo nie spotkała, a wszystkie drzwi były otwarte. W ostatniej komnacie dopiero ujrzała śpiącego Chwista-Pośwista. Leżał rozwalony na pierzynach, szary, w podartej odzieży, złota korona spoczywała obok niego na stoliku, a obok korony berło z dwoma jaskółczymi skrzydełkami. On zaś spał po obiedzie i chrapał. A z jego otwartych ust wymykał się taki sobie wicher. Nieduży.

Haneczka nie wiedziała, co teraz uczynić. Połaskotała go jednak palcem po pięcie. Chwist-Poświst zbudził się i kichnął tak głośno, jakby ktoś z moździerza wystrzelił podczas odpustu. Na szczęście Haneczka zdołała chwycić się młyńskiego kamienia i wicher jej nie porwał, chociaż zadął jak siedem zwykłych wichrów.

— Co chcesz? — zaświstał król wichrów i jał się drapać po rozkudłaconej głowie.

Haneczka powiedziała, o co przyszła go prosić. Król wciąż się drapał i słuchał. A gdy skończyła, tak rzekł:

— Dziwna rzecz! Jeszcze nikt z ludzi nie dotarł do mojego zamku. Byli tacy śmiałkowie wielce zuchwali, lecz gdy tylko kichnąłem, wicher ich porywał i strącał w przepaść. A ciebie nie strącił, bo trzymasz się młyńskiego kamienia... Hm, dobry sposób! A skąd masz ten młyński kamień?

— Od młynarza Chyrtonia!

— A, od tego łajdaka! Znam go, znam!... Straszny skąpiec i chciwiec. Za co dał ci ten kamień?

— Musiałam u niego służyć przez cały rok za darmo...

— Za darmo? — wrzasnął Chwist-Poświst. — A żeby go wciórności! To łajdak! Zaraz każę moim wichrom, żeby mu młyn rozniosły na cztery strony świata... Bo, widzisz... Jak się nazywasz?

— Hanka!



— Bo widzisz, Hanko, strasznie nie lubię sknerów i chciwców. Bo ja to mam dłoń szeroką, gest szeroki, jestem może rozrzutnikiem, lecz mnie z tym dobrze. A ludziom? Czasem dobrze, a czasem źle... Ale gdy jednym bywa dobrze, innym źle, a to dlatego, bo jeszcze nikt się nie urodził, który by wszystkim dogodził... Tak to jest na tym świecie, Hanko!... A po coś tu przyszła, aże po co? Bo stoisz, a nic nie mówisz?

Hanka zmiarkowała, że król Chwist-Poświst jest dobrodusznym gadułą i chociaż podobny do strasydła na wróble wiatrem podszytego, zacny to jakiś król.

— Jakże mam mówić, kiedy ty, królu, gadasz i gadasz...

— Co? Ja gadam? Cóż ty, dziewczyno, pleciesz?... Ja nic nie mówiłem. A tych kilka słów, które tu wyrzekłem, to się nie liczy. Ale powiedz mi, zaraz... zaraz... bo zapomniałem już, jak ci na imię!

— Hanka, mości królu!

— Hanka... Hm, ładne imię. Gdybym ja miał córkę, też bym ją nazwał Hanką. Ale córki nie mam, tylko samych obwiesiów. Te najstarsze — to wichry. Będzie ich ze dwie kopy. I straszne latawce. Po całym świecie ganiają. A te młodsze bajtla to wiatry. Tym tak bardzo się nie śpieszy... Bo wiesz, co to jest wiatr? No, powiedz, jeżeli wiesz!

— Nie wiem, mości królu...

— Aha, ty chcesz powiedzieć, że dużo wiesz, a tego nie wiesz... No, nic nie szkodzi, nie! Ja ci powiem, co to jest wiatr. Wiatr to jest jeden z moich smyków, a mam ich ze dwa tuziny, a może więcej. Trudno mi ich zliczyć, bo wałęsają się po świecie, robią w lesie szum, opowiadają przydrożnym wierzbom plotki z całego świata, ganiają obłoki na niebie... No, powiadam ci... Jak to się nazywasz, bo znowu zapomniałem ?

— Hanka, mości królu!

— A prawda, że Hanka... Ale to jeszcze nie wszystko. Prócz tych powsinogów, czyli wichrów, i prócz tych łeboniów, czyli wiatrów, mam jeszcze takie maleństwa, takie pomperliki... Nazywają się wietrzyki. Będzie tego z pół kopy. A na dodatek mam także najmniejsze smyki, tak zwane zefirki... W sumie posiadam kupę dzieci, że trudno mi je policzyć, i zapominał, jak się które nazywa. Porządne z nich smyki, bo mnie słuchają, jak się należy!... Ale czemu tak stoisz i milczysz ? Czemu nic nie mówisz?

— Bo nie chcę przeszkadzać, kiedy wasza królewska mość gada!

— Co? Ja gadam? Na niechby cię gęś kopła, dziewczyno... Jak to się nazywasz, bo znowu zapomniałem ?

— Hanka, mości królu...

— Aha! Hanka!... No, ładnie się nazywasz. Aż mi żal, że ja się tak nie nazywam! A masz grzebień?

— Mam, mości królu!

— A masz dobre serce?

— Nie wiem...

— Zaraz się przekonamy! Masz grzebień, to poczesz mi brodę i kudły na głowie!

Hanka jęła królowi czesać brodę i kudły na głowie. Czesła i czesała, aż poczesła. A gdy skończyła, król spojrział w lustro i zapytał:

— To jestem ja w tym lustrze ?

— Tak! To ty jesteś, mości królu!

— Nale, ludeczkowie złoci! — mrucał zdumiony. — Przecież nie mogę siebie poznać!... No, przystojnie teraz wyglądam. A masz ty... jak to ci na imię?...

— Hanka, mości królu!

— A, prawda! A masz ty, Haneczko, igłę z nicią?

— Mam!

— To połataj moje królewskie suknie!

Hanka nawlokła nitkę do igły i jęła łątać królowi suknie. Łatała, łątała, aż połatała. A

gdy była gotowa, król stanął przed lustrem i zapytał zdumiony :

— Kto to jest w tym lustrze?

— To ty jesteś, mości królu!

— Hm, to dziwne! Nie mogłem siebie poznać. No, ale teraz wyglądam jak prawdziwy król. No nie?...

Hanka rzekła, że wygląda teraz istotnie jak prawdziwy król.

— Mości królu! — podjęła znowu. — A gdzie masz buty, żebym ci je wyczyściła.

Król Chwist-Poświst roześmiał się i o malutki włos wicher byłby porwał Hankę, lecz na szczęście zdołała chwycić się młyńskiego kamienia. Widział to król i tak rzekł:

— Trąba ze mnie zardzewiała, bo nie uważam! Już się nie lękaj, Haneczko, wichru, gdy będę kichał, ziewał lub śmiał się... Wtedy zawsze odwrócę się do ściany... A co do tych butów, widzisz... Ja jestem taki król bez butów! Jeżeli szewc może być bez butów, to czemu nie mógłby być król bez butów? No nie?... Więc nie będziesz mogła mi ich czyścić! A wiesz czemu ja i moje wszystkie smyki, te wichry, wiatry, wietrzyki i zefirki, nie mamy butów ?

— Mości królu, ja dużo wiem, ale tego nie wiem! — rzekła lekko już ubawiona Hanka.

— No, słusznie, wszystkiego nie można wiedzieć. Ale powiem, czemu nie mamy butów. Bo tak latamy po świecie, że je już dawno pogubiliśmy. Już wiesz?

— Wiem, mości królu!

— No, to już dużo wiesz! Ale powiedz mi nareszcie, czego chcesz ode mnie?

— Już ci mówiłam, mości królu! Zaraz na początku!

— Ale ja już zapomniałem, co to mówiłaś! Powiedz jeszcze raz!

Hanka więc powtórzyła swą prośbę, żeby król Chwist-Poświst był tak bardzo dobry i polecił swym synom wichrom, by nie zlatywały się na Górze Baraniej, lecz na innej górze. Na przykład na Ochodzitej lub na Złotym Groniu, albo też na Stożku...

— A dlaczego?

Hanka powiedziała dlaczego. Żeby wichry nie połamały jabłonki. Potem wszystko mu opowiedziała o Czarnej Księżnie, o Jasiu zamienionym w króla węzów, Złotogłowca. i o tym, że może go tylko odczarować jabłko zerwane z tamtej rajskej jabłonki na Górze Baraniej i że musi ją podlewać wodą z Olzy i swymi łzami...

— Dosyć, dosyć, bo już wszystko rozumiem! — przerwał jej Chwist-Poświst i jął wycierać oczy kułakiem, bo zamigotały w nich łzy. Nieduże, ale zawsze łzy.

— Coś mi do oka wpadło... — zełgał, bo trochę się zawstydzil swego wzruszenia.

A potem tak jeszcze powiedział:

— Wszystko tak się stanie, jak prosiłaś. Wichry już nie będą się zlatywały na Górze Baraniej! Niech się zlatują na Ochodzitej! Tam mają dosyć miejsca. A gdy będziesz potrzebowała mojej pomocy, to oto masz... — i zerwał z berła jedno jaskółcze skrzydełko i podał jej. — Weź, a gdy będziesz potrzebowała mojej pomocy, zatrzepotaj tym skrzydełkiem nad głową, a już jestem obok ciebie. A ze mną cały regiment moich smyków wichrów, wiatrów i tak dalej... Całą bandę swych synów, synków i synaczków przywiodę... A gdy byłoby lato bardzo upalne i tej wody z Olzy i tych łez by nie starczyło, uczyn tak samo... Zatrzepotaj skrzydełkiem nad głową, a wtedy pošlę kilka wichrów. One przygnają obłoki najbardziej opęczniałe deszczem, ściągną je nad Górę Baranią, a ty kijaszkiem zrobisz w nich dziury, w tych obłokach, i deszcz poleje się na twoją rajska jabłonkę... A wiesz, czemu to uczynię?

— Mości królu, ja dużo wiem...

— ... ale tego nie wiem! Wiesz, tylko wstydzisz się powiedzieć. Ale nie trzeba się wstydzic, lecz radować z tego, że się ma dobre serce... No, teraz już idź... Nie! Jeszcze nie! Zawołam dwa wichry. Jeden weźmie cię na plecy i zanieś tam, dokąd zechcesz. A drugiego pošlę do tamtej doliny, w której mieszka ten przegrzeszony łajdak Chyrtoń, i niech wicher rozniesie jego młyn za karę, że tak cię oszukał...

— Nie czyn tego, mości królu!

— Dlaczego? Przecież to łajdak skończony, oszust, cygan, pijawka...

— Ja wiem. Ale ja nie chcę zemsty. Bo ja już dawno przebaczyłam.

— Głupia jesteś! — zachnął się król. — To znaczy, chciałem powiedzieć, że jesteś mądra i masz bardzo dobre serce, ale ludzie, a zwłaszcza tamten łajdak, powiedzą, że jesteś głupia i że twoje serce jest także głupie...

— Niech mówią...

Król spojrzął na Hankę, podrapał się za uchem i rzekł:

— Słusznie! Wszak psie głosy nie idą pod niebiosy!

Potem wyszedł na wieżę, zagwizdał na palcach i w tej samej chwili nadleciał wielki wicher. Hanka usiadła mu na grzbiecie, a wicher poszybował w dolinę.

— Gdzie cię zanieść? — zapytał.

— Na Górę Baranią, jeżeliś taki dobry!

Ponieważ wicher był taki dobry, więc zaniósł ją w oka mgnieniu na Górę Baranią, zleciał leciutko na ziemię, a Haneczka pięknie mu podziękowała i zeskoczyła z jego grzbietu. Wicher poleciał na skraj świata, Haneczka zaś bardzo się zasmuciła, gdy ujrzała suchą, połamaną jabłonkę.

A że bardzo miłowała Jasia, przeto jeła co dnia schodzić do źródeł Olzy z dzbankiem, nabierała wody, wracała i podlewała jabłonkę. A ponieważ bolała nad nieszczęsną dolą Jasia, przeto płakała i lzy zbierała do dzbanka. Przez cały tydzień. Gdy przyszła niedziela, podlewała jabłonkę swymi łzami.

I stał się cud nad cudami.

Oto uschnięta i połamana jabłonka zaczęła się pomaleńku zielenić. Wypuszczała drobniutkie listeczki, wypuszczała pączuszki, listeczki przemieniały się w liście, pączuszki w pączki i jednego dnia stała się pełna liści i pełna różowego kwiecia. Miała teraz Hanka wielką radość w sercu, że doczeka się jesieni, gdy urosną na jabłonce jabłka. Wtedy wyzwoli Jasia!

Wilków już się nie bała, nie bała się niedźwiedzi, gdyż miała dobre serce. Bo gdy jednego razu wracała z dzbankiem wody nabranej ze źródła Olzy, ujrzała na ścieżce wielkiego niedźwiedzia. Niedźwiedź stękał i lizał łapę. Widać bardzo go bolała, bo nawet nie zwrócił uwagi na Haneczkę. Ona zaś podeszła bliżej i ujrzała, że w łapie niedźwiedzia tkwi wielki kolec i że dokucza biedakowi, który na próżno usiłuje wylizać go językiem.

Nic nie mówiąc podeszła do niedźwiedzia, ujęła kolec i wydobyła go z jego łapy.

Niedźwiedź odetchnął z ulgą i rzekł:

— Powiniennem cię pożreć, bo jestem niedźwiedziem, lecz że masz dobre serce, nie zjem cię! I pamiętaj! Gdy będziesz w biedzie, zawołaj mnie, a przyjdę z moimi kamratami z pomocą. Bo ja jestem królem beskidzkich niedźwiedzi.

— O, dziękuję ci, mości królu niedźwiedzi. A jak mam cię zawołać?

— Zawołaj trzy razy: Misiu! Misiu! Misiu!...

— Dobrze! — rzekła Hanka i była rada, że niedźwiedzi król stał się jej przyjacielem.

Innym razem, gdy wracała z wodą z doliny, posłyszała, że w gęstwinie coś skomli, jęczy, narzeka.

Rozchyliła gąszcze i ujrzała ogromnego wilka. Leżał na trawie, a lewą tylną łapę miał uwięzioną w zębatych żelazach. I łapy nie mógł wyrwać, bo straszliwe zębce żelaza wbiły się w kość i trzymały.

Wtedy Hanka, niewiele myśląc, ułamała grubą gałąź, włożyła między zębce, rozwarła je i uwolniła wilka.

Wilk przestał skomlić i rzekł:

— Powiniennem cię pożreć, bo jestem królem wilków, lecz nie uczynię tego, bo mi uratowałaś życie!... Ja tam dużo nie lubię gadać, lecz tyle ci tylko powiem, że chociaż mam wilcze serce, to bywa ono nieraz lepsze od ludzkiego. Gdy będziesz w potrzebie, gdy będą ci grozili i czyhali na ciebie ludzie o złym sercu, zawołaj mnie, a już się z nimi policzę!

— O, dziękuję ci, wilczy królu! A jak mam na ciebie zawołać?

— Zawołaj trzykrotnie: Wiloszku, wiloszku, wiloszku! — a już jestem w tym oka mgnieniu z moimi poddanymi na miejscu! I niech wtedy tamci ludzie z wilczymi sercami... przepraszam!... chciałem powiedzieć, z ludzkimi sercami, polecą swe parszywe dusze Bogu!... — rzekł trochę rozgniewany.

Ponieważ jednak jego łapa krwawiła, przeto Hanka rozdarła koszulę, obmyła ranę wodą przyniesioną ze źródła Olzy, przewiązała ją i wilk poszedł kulejąc, a Hanka wróciła, by nabrać nowej wody z Olzy.

I byłoby wszystko dobrze, bo na jabłonce z kwiatów uczyniły się małe jabłuszka. Lecz potem przyszła ogromna susza, słońce było skwarne, deszczu ani kropli i chociaż Hanka biegła kilka razy na dzień w dolinę po wodę i podlewała, jabłonka jęła usychać.

Przypomniała sobie jednak Hanka, co jej powiedział król wichrów. Stała pod jabłonką, zatrzepotała jaskółczym skrzydełkiem i w tej samej chwili stanął przed nią król Chwist-Poświst.

— Czego sobie życzysz... Jak to się nazywasz, bo zapomniałem.

— Hanka, a pragnę cię prosić o deszcz!

— A tak, Haneczka! Już się robi! — gwizdnął na palcach i w tej samej chwili zerwały się wichry, spędziły z krańca świata czarne obłoki napęczniałe dżdżem, przygnały je nad jabłonkę, a gdy już były bardzo nisko, Hanka jęła je dziurawić patykiem. Robiła w nich dziury jak w worze, a z dziur lał deszcz tak obfity, że jabłonka na poczekaniu ożyła.

I było dobrze.

Tymczasem Czarna Księżna na cieszyńskim zamku dowiedziała się, diasi wiedzą od kogo, że Hanka usiłuje odczarować króla węzów, Złotogłowca. A że jej serce było czarne jak smoła i pełne robaków, przeto zwołała radę książęcą, żeby postanowiła, co uczynić, by przeszkodzić Hance w odczarowaniu Złotogłowca.

I zaczęli wszyscy radzić.

Radzili i radzili przez trzy dni, aż w końcu uradzili, że jedynym sposobem, mogącym Hance przeszkodzić w odczarowaniu Złotogłowca, jest ścięcie jabłonki na Górze Baraniej. Taki projekt podał uczony mąż Archimedes, który przyniósł z sobą kronikę księcia Heliodora III i na stronie sto dwunastej przeczytał:

*...a jeżeli rajską jabłoń komukolwiek stałaby na drodze do sławy lub sprzeciwiała się woli książęcej, należy ją ściąć i kropka!*

Czarna Księżna kazała więc swym dworzanom ostrzyć siekiery i topory, a gdy je naostrzyli tak bardzo, że można było się nimi golić, zabrała wszystkich, siadła na konia i poprowadziła ich na Górę Baranią.

Hanka nie byłaby nic wiedziała, co się święci, lecz jeden z dwunastu Ondraszkowych zbójników przybiegł do niej i tak rzekł:

— Haneczko, źle!

— Dlaczego źle, mój złoty zbójniku?

Wtedy zbójnik, a był to Jano z krzywą głową, jął opowiadać dziwy, przedziwy. Oto że ich herszt Ondraszek także boleje, iż jego syn został przez Czarną Księżnę zamieniony w węża Złotogłowca, że często spotyka się z nim na górze Goduli, że Ondraszek już teraz nie chodzi zbijać w doliny, lecz że zbudował sobie taką chałupkę na Goduli, taką pustelnię. I w tej pustelni albo wymyśla i klnie na Czarną Księżnę, albo klepie pacierze, śpiewa godzinki i psalmy, a w południe odwiedza swego syna, Janka, zamienionego w węża Złotogłowca. I że tenże Ondraszek kazał swym dwunastu kamratom, by pilnowali dróg i ścieżek wiodących na Górę Baranią, gdyż wie, iż Hanka podlewa łzami i wodą z Olzy uschniętą rajską jabłonkę, której jabłko powinno odczarować Złotogłowca. Więc zbójnicy pilnują wszystkich dróg,

ścieżek i miedz wiodących na Baranią Górę, by jaki zły człowiek nie uczynił krzywdy rajskiej jabłonce...

— To wy wiecie, że ja tu jestem przy jabłonce? — zdziwiła się Hanka.

— Ho, ho! My dużo wiemy!... I mamy przykazanie od naszego hetmana Ondraszka, by cię bronić w razie potrzeby! Zbójników nie musisz się więc lękać, niedźwiedzi nie musisz się lękać, bo zawarłaś pakt przyjaźni z królem beskidzkich niedźwiedzi, wilków nie musisz się lękać, bo zaprzyjaźniłaś się z samym wilczym królem, wichrów nie musisz się lękać, bo sam król wichrów, Chwist-Poświst, ma dla ciebie dużo serca, lękać musisz się tylko ludzi... Takich jak Czarna Księżna.

— Ale co teraz ?

— Jak to „co teraz”?

— Mówiłeś przecież, złoty zbójniczku, że jest źle!

— Źle jeszcze nie jest, ale mogłoby być źle, gdyby nas nie było!

— Więc powiedz, co mi grozi ?

I teraz dopiero Jano z krzywą gębą powiedział, że od Cieszyna nadciąga cały regiment drwali z wyostrzonymi siekierami i toporami i że ich wiedzie Czarna Księżna na czarnym koniu, i że za godzinę, za dwie już tu będą, lecz ich niedoczekanie!... Niech tylko się pojawią na Górze Baraniej!...

— A teraz biegnę po kamratów, a ty, Haneczko, musisz sposobić się także do obrony jabłonki! Gdy nadejdzie odpowiednia chwila, to wiesz, co masz uczynić!

— Wiem! Wezwę króla wichrów na pomoc, wezwę niedźwiedzia i wilka na pomoc.

Nie trwało ani godziny, a tu Haneczka widzi, jak pod szczyt Góry Baraniej wyłażą zbójnicy z buławami w ręku, słyszy, jak zgrzytają zębami i jak szpetnie klną, i widzi jeszcze, jak wszyscy kryją się w krzakach przyczajeni i sposobią się do srogiej batalii.

A nie trwało ani drugiej godziny, a tu pod Górę Baranią wali ogromny regiment drwali z wyostrzonymi siekierami i toporami, a wiedzie ich Czarna Księżna na czarnym koniu i popędza ich batogiem, i krzyczy na nich. Drapiają się po stromym stoku, staczają, znowu drapiają, a gdy się w końcu wydrapali, trochę odsapnęli. Potem napluli w dłonie, roztarli i na znak Czarnej Księżnej pobiegli do rajskiej jabłonki.

I wtedy stała się rzecz dziwna, przedziwna!

Bo Haneczka zatrzepotała jaskółczym skrzydełkiem nad głową, zawołała trzy razy: — Misiu, misiu, misiu!... — zawołała trzy razy: — Wilozku, wilozku, wilozku!... — i co się teraz działo! A tu zbójnicy wyskoczyli z krzaków z pałkami, a tu zleciały się wichry, a tu zaryczały niedźwiedzie, a tu zawyły wilki i jak to wszystko nie rzuci się na Czarną Księżną, na drwali i dworzan — nastał sądny dzień! Wrzask, pisk, krzyki, lamenty, urwanie głowy! Wichry wyją jak wszyscy diabli rozjuszeni i ciskają piaskiem w ślepia napastników, i zwalają ich na ziemię lub zgoła strącają z Góry Baraniej, niedźwiedzie ryczą jak tysiąc diabłów i skaczą napastnikom do gardeł, wilki rwą zębami napastników za spodnie, za łydki i za pośladki, a zbójnicy wrzeszczą i tłuką drwali pałkami po czerepach!... I powstała taka sroga zawierucha, że aż strach!...

I nie trwało ani pół pacierza, a Czarna Księżna uciekała na kulawym koniu, a za nią uciekali przerażeni dworzanie i drwale. Wrzeszczeli, jęczeli, beczeli, siekiery i topory pogubili, a za nimi sadyły wilki z niedźwiedziami, za wilkami i niedźwiedziami gnali zbójnicy, a za nimi leciały wichry...

I gdy tamte wrzaski i krzyki utonęły w puszczy, nastąpiła ogromna cisza. A cisza była taka, że aż w uszach dzwoniło.

I dobrze.

Haneczka wiedziała, że teraz już nie przyjdą drwale i książęcy dworzanie, żeby ściąć rajską jabłonkę. Podlewała ją więc jak dotąd wodą z rzeki Olzy i w niedzielę swymi łzami, a jabłka na rajskiej jabłoni dojrzewały i stawały się z dniem każdym coraz piękniejsze.

Przyszedł Jano z krzywą gębą i zapytał:

— A co teraz?

— Nie wiem, dobry zbójniczku, co teraz? Martwię się, bo nie wiem, które jabłko urwać...

— Chyba to najpiękniejsze!

— ...i nie wiem, jak je wręczyć Jasiowi zamienionemu w węża Złotogłowca. Mógłbyś, Jano, zejść w dolinę i zapytać się Babuleńki-Siwiuteńkiej, co mam teraz czynić?

— Już się robi! — rzekł Jano i poszedł w dolinę pod Cieszyn do wróżki Babuleńki-Siwiuteńkiej.

Wrócił jeszcze tego samego dnia pod wieczór.

— Babuleńka-Siwiuteńka powiedziała tak: „Niech Haneczka wypuści osy i pilnie patrzy, na którym jabłku siadają. Będzie to znak, że tylko to jedno jabłko jest słodkie, a wszystkie inne kwaśne jak ocet stu siedmiu złodziei. I niech to jabłko zerwie, ale to musi być w dzień świętego Jana. I niech z tym jabłkiem idzie nad Olzę, tam gdzie jest największe płoś, czyli głębina. To jest pod górą Kiczera. I tam niech czeka. A o północy w noc świętojańską przyczołga się z Goduli wąż Złotogłowiec, by się w Olzie obmyć. Wtedy Haneczka podejdzie, ugryzie kawałek jabłka, poda resztę Złotogłowcowi, no i będzie po paradzie!...”

— No, to dobrze! — rzekła Haneczka i pięknie podziękowała zbójnikowi. — Ale skąd ja wezmę osy? Boć nie ma ich tu na szczycie Baraniej.

— Nic się nie martw! Ja ci przyniosę z pół kopy os!

— Nie czyn tego! Pokłują cię!

— Ho, ho! — rzekł Jano z krzywą gębą i Haneczka wiedziała, że jeżeli „ho, ho!”, to wszystko w porządku. Osy nie pokłują zbójnika.

I Hanka doczekała się dnia świętego Jana. I chociaż w dolinie jabłka jeszcze nie dojrzały, jabłka na rajskiej jabłoni były już śliczne, rumiane, duże, że aż ślinka szła do ust na ich widok. A było ich bardzo dużo. I Hanka wiedziała, że wszystkie są kwaśne, lecz tylko jedno wśród nich jest słodkie. Czekala więc na zbójnika z osami.

Przyszedł, gdy słońce stało najwyżej na niebie. W dłoni niósł jakiś szary, brzęczący mieszek. Rozwiązał go pod jabłką i z mieszka wyleciał regiment os. Osy latały koło jabłonek, latały, próbowały to tego, to tamtego jabłka, lecz rychło się krzywiły, spluwały, uciekały i brzęczały rozgniewane. Aż w końcu jedna znalazła słodkie jabłko. I zaczęła je oblatywać, a inne osy za nią. Potem usiadły na nim, zapuściły takie maluteńkie ryjki i zaczęły ssać przesłodki sok.

Na to czekali Jano i Haneczka. Jano wylazł na jabłonek i chociaż osy były złe i kłuły go, odpędzał je czapką i zerwał tamto jedno jedyne słodkie jabłko. Podał je Haneczce.

Haneczka wzięła je i pośpieszyła w dolinę nad rzekę Olzę pod Kiczera. Śpieszyła się, by zdążyć na północ na miejsce.

A nie wiedziała, co się tymczasem działo na cieszyńskim zamku.

Oto Czarna Księżna zwołała znowu radę książęcą. Wszyscy zaś radni byli podobni do kupy nieszczęścia, do żebraków, do kalwaryjskich dziadów, gdyż kuleli, mieli łby obwiązane, stękali, gdy mieli usiąść, kwękali, a guzy mieli na głowach tak duże, jak dynie. Czarna Księżna zaś miała podbite oko.

I gdy cała ta zboliała i potłuczona banda zasiadła ze stękaniem na krzesłach, a Czarna Księżna na tronie, przyszedł Archimedeles w śmiesznej spiczastej czapie na głowie, z grubą księgą pod pachą.

Zacząła Czarna Księżna zboliałym głosem:

— Radźcie, dworzanie, co zrobić, by Złotogłowiec nie był odczarowany. Jabłonek nie mogliśmy ściąć, bo... No, bo nie mogliśmy!

— Nie mogliśmy! — zajęczeli wszyscy dworzanie i jęli się macać po łbach, po kociach i stękać.

— Ta wiedźma, Hanka, z diabłami trzyma do kupy! — rzekł jeden z dworzan.

— Nic mnie to nie obchodzi, czy trzyma z diabłami. Stuknijcie się w wasze łby zakute i powiedzcie, co czynić?

Wtedy wszyscy stuknęli się w swoje łby zakute i wszyscy wrzaśli, bo ich łby były potłuczone, posiniaczone, obolałe, pełne guzów tak dużych, jak dynia. Lecz nic nie wystuknęli ze łbów.

— Ja wiem! — rzekł Archimedes.

— To gadaj, co wiesz! — rozkazała Czarna Księżna.

— Wyczytałem, księżno pani i ty wysoka rado, wyczytałem w gwiazdach, że w noc świętojańską wąż Złotogłowiec pójdzie się kąpać w rzece Olzie pod Kiczera. Zdejmie z głowy koronę i położy na brzegu. Trzeba nam wyszukać kogoś takiego, kto by tam poszedł o północy i tę koronę ukradł Złotogłowcowi. I wtedy przepadło klepadło!...

— Przepadło klepadło! — westchnęli wszyscy dworzanie z ulgą.

— Cicho! Silentium! — wrzasnął Archimedes. — Jeszcze nie skończyłem. Bo gdy Złotogłowiec nie będzie miał korony na głowie, nic, ale to nic nie potrafi go już odczarować!

— Przepadło klepadło! — uradowała się Czarna Księżna. — Ale kto z was pójdzie w noc świętojańską pod Kiczera, by ukraść Złotogłowcowi koronę?

Nikt nie chciał pójść. Wtedy uradzono, że trzeba wysłać kogoś takiego, kto by się złąkomił na mieszek talarów. Bo za pół mieszka talarów także nikt nie pójdzie. Wiadomo, Złotogłowiec jest królem węży, żmij, jaszczurek i ropuch, a one mogą człowiekowi zrobić krzywdę. I musi to być ktoś tak bardzo chudy, żeby było trzeba dwa razy popatrzeć, by go nareszcie ujrzeć.

— Wiem! — zawołał jeden z dworzan. — Jest taki młynarz pod Babią Górą. On jest tak chciwy, że gotów gnać wesz do Wiednia za złamany szeląg. A jest tak chudy, że trzeba dwa razy popatrzeć, by go wreszcie zobaczyć.

I dobrze!

Posłano więc po młynarza Chyrtonia. Przyszedł Chyrtoń na cieszyński zamek i rzeczywiście, musiał dwa razy wejść do komnaty Czarnej Księżnej, zanim go ujrzała. Zgodził się chętnie, by za mieszek talarów ukraść złotą koronę Złotogłowcowi.

— A mogę tę koronę potem zabrać? — zapytał przezornie.

— Możesz!

— A mieszek talarów dostanę zaraz?

— Dostaniesz zaraz!

I młynarz Chyrtoń w noc świętojańską powędrował z mieszkem talarów nad Olzę pod Kiczera. Usiadł w krzakach i czekał. A gdy już zbliżała się północ, zauważył, że jakaś biała postać zakrada się nad brzeg Olzy. Wytrzeszczył ślepią i dostrzegł w księżycu, że to Hanka!...

— A to psiawełna! — zaklął szpetnie. — Przyszła, żeby mi ukraść złotą koronę!...

I jeszcze bardziej się zaczął.

Gdy północ wybiła na dalekim zegarze kościelnym, skąd się weź, to się weź, czołga się po łące do rzeki ogromny wąż ze złotą koroną na głowie. A całe regimenty żmij, jaszczurek, padalców, żab i ropuch wałą za nim hurmą. Złotogłowiec złożył koronę na brzegu i — plums! — do Olzy.

Na to tylko czekał młynarz Chyrtoń. Skoczył, porwał koronę i w nogi! Zauważył, że Hanka coś krzyknęła, lecz nie oglądał się, tylko gnał przed siebie. A tu naraz słyszy jakiś ogromny ryk, kumkanie, rechotanie, i nim się spostrzegł, już go otoczyły żmije, węże, jaszczurki, żaby i ropuchy, zagroziły mu drogę, zwały się na niego. Przewrócił się, a żmije, węże, jaszczurki, żaby i ropuchy obsiadły go i tak długo kąsały, kłuły i szczypały, że młynarz ani się spostrzegł, a już był nieboszczykiem.

Potem zabrały mu koronę z zaciśniętych paluchów i potoczyły ją do swego króla Złotogłowca.

A Złotogłowiec już wyczołgał się z Olzy. Wtedy podeszła do niego Haneczka i rzekła:  
— Janku! Oto mam jabłko! Jabłko z rajskiej jabłoni! — i ugryzła kawaleczek, a resztę podała Złotogłowcowi. Kiedy ten także ugryzł, stał się cud nad cudami!... Bo wąż Złotogłowiec w tej samej chwili przemienił się w ślicznego młodziana.

Trudno opisać, co się wtedy działo. Żmije, węże, jaszczurki, żaby i ropuchy tańczyły z radości, Jaś dziękował Haneczce. Haneczka zaś płakała ze szczęścia...

Potem oboje udali się w góry, a po drodze zrywali kwiecie paproci. Jaszczurki, węże, żmije, padalce, żaby i ropuchy odprowadziły ich na skraj puszczy, a potem już szli oboje w księżycu, uradowani i szczęśliwi, on ze złotą koroną na głowie, ona z kwieciem paproci w dłoni i z ogryzkiem rajskiego jabłka.

A gdy tak szli, rozświecił się księżyc prawdziwym srebrem i srebrem wykladał im drogę. A słowiki rozśpiewały się nad podziw, a kwiaty pachniały, a z łąk unosiła się srebrna mgła i pachniała sianem, a rzeka Olza dzwoniła w srebrne dzwoneczki i srebrem migotała, a utopte wystawiały mordki z rzeki i mówiły:

— Patrzcie, patrzcie, ludeczkowie złoci! Księżę Jaś idzie z Haneczką!

I szli tak, i szli, aż przyszli do beskidzkich lasów. Nie chcieli bowiem wracać do Cieszyna, gdzie panowała Czarna Księżna. Wyszli zbójnicy z lelujami w dłoniach i zaśpiewali na widok Jasia i Haneczki jakiś niesłychanie wzniosły psalm dziękczynny. Wyszły niedźwiedzie i lasiły się, i podsuwały łby pod dłonie Hanki i Jasia, i domagały się pogłaskania. Wyszły wilki z puszczy i przypały do nóg Hanki i do nóg Jasia, kiwały ogonami i popiskiwały z ukontentowania. A wichry na Ochodzitej zwiedziały się, że idzie Hanka z Jasiem, przemieniły się w leciutkie zefirki i jęły szumieć w koronach drzew, co robiło wrażenie, że ktoś gra na harfie.

I gdy tak szli, posłyszeli zniecka dzwony. Dzwony biły ze wszystkich cieszyńskich kościołów, narzekały żałośnie, jęczały.

— Czemu dzwony biją tak żałośnie? — zapytał Jaś Hanki, a Hanka Jasia.

— Zaraz się dowiemy! — rzekł jeden z wichrów i pognął ze świstem w kierunku Cieszyna. Nie trwało pół pacierza, a już był z powrotem.

— Czarna Księżna umarła! — zaświszczał i zatańczył jakiegoś obertasa.

Przyleciał drugi wichur, który był pognął za swoim kamratem, i zaświstał:

— Czarna Księżna umarła, bo dowiedziała się od Archimedelesa, żeś, Jasiu, odczarowany! Archimedeles zaś wyczytał to w gwiazdach!... A Czarna Księżna pękła ze złości i gniewu! I nie ma Czarnej Księżny!

A przyleciał trzeci wichur, który poleciał za drugim kamratem, i tak zaświszczał:

— Wracaj, Jasiu, na zamek! Wracaj, bo czeka cię tron książećcy!

Jaś z Hanką zawrócili więc i udali się do Cieszyna.

Szli i szli, aż przyszli. A mieszczanie już się zwiedzieli, że ich księżę jest odczarowany i że wraca do Cieszyna. Prędko przeto postawili bramę triumfalną, zwołali muzykantów, wystroili się i czekali. A gdy ujrzeli księcia Jasia i Haneczkę, zaczęli wiwatować i krzycheć, żeby żyli sto lat i jeszcze trochę dłużej, wyrzucali kapelusze w górę, a muzykanci grali, a dzwony biły radośnie ze wszystkich cieszyńskich kościołów i było wielkie wesele i radość.

A potem jeszcze księżę Jaś kazał trumnę ze zwłokami Czarnej Księżny włożyć na zwykły wóz zaprzężony w cztery czarne woły.

— Niech ciągną wóz z trumną mojej matki — rzekł Jaś — a tam gdzie staną, pogrzebiemy ją!...

I cztery czarne woły ciągnęły zwykły wóz z trumną i ciągnęły, aż dociągnęły go na wysokie wzgórze za Cieszynem, które nazywa się Kościelec. I tam rozstała się pod nimi ziemia i pochłonięła cztery czarne woły, wóz, trumnę, a z trumną nieboszczkę Czarną Księżną.

A potem jeszcze księżę Jan — bo tak teraz kazał się mianować i tak podpisywał się na pergaminach — objął tron po swej matce, ożenił się z Haneczką i oboje długo żyli, i mieli się



dobrze, a poddani w całym cieszyńskim państwie mieli się także dobrze i dobrorzeczyli Janowi i Haneczce.

Na Górze Baraniej zaś rosła rajska jabłonka, co roku rodziła jabłka kwaśne jak ocet siedmiu złodziei, a zbójnicy już nie zbijali, lecz chodzili w puszczy z lelujami w dłoni, z kozikami kupionymi na odpuszczenie za pół złamanego szeląga i śpiewali nabożne psalmy. Ludzie znowu sporządzili, nie kradli, nie dolewali wody do mleka, gdy wieźli je do miasta, nie życzyli nikomu, by udławił się podczas obiadu gorącym ziemniakiem, nie zamierzali nikogo utopić w łyżce wody, a przeciwnie dobrorzeczyli sobie i dobrze było na świecie. A o tym wszystkim dowiedziałem się z kroniki Archimedulesa, a co w niej wyczytałem, wiernie tutaj spisałem.

I koniec.

## O KARLIKU KOWALCZYKU I ŚPIĄCYCH RYCERZACH

Dawniej starzy ludzie bajali o śpiących rycerzach w górze Czantorii. Powiadali, że głęboko w onej górze jest ogromna jaskinia, w tej jaskini bardzo dużo beczek z dukatami, a na każdej beczce siedzi wielka ropucha i wytrzeszcza oczy. Beczki z dukatami stoją po jednej stronie jaskini, po drugiej zaś śpi przy koniach regiment rycerzy.

— Co to są za rycerze? — dopytywali się ci, którzy po raz pierwszy o nich słyszeli.

— To są śląscy rycerze, którzy polegli, gdy bili się z Tatarami pod Legnicą.

— Aha! — mruzcili ci, którzy po raz pierwszy o nich słyszeli.

A inni starzy ludzie powiadali, że to nie są rycerze spod Legnicy, lecz rycerze polskiego króla Sobieskiego. Jechali pod Wiedeń na szpetnego Turka, zabłądzili w Beskidach i schronili się na noc do ogromnej jaskini, gdyż nadeszła okrutna naremnica, czyli burza z piorunami i z takim wichrem, że najtęższe drzewa kładły się pokotem. Schronili się przeto do jaskini w górze Czantorii. Na to tylko czekał Złyduch, który pomagał Turkom. Tapnął kopytem w szczyt Czantorii, jaskinia się zawarła i rycerze zostali po wieczne czasy w onej górze. A że wzięli z sobą sporo beczek dukatów, te dukaty zostały z nimi.

— A co tam robią rycerze króla Sobieskiego? — pytali się ci, którzy po raz pierwszy o nich słyszeli.

— Stoją obok koni, w srebrnych zbrojach, na ramionach mają orle skrzydła, a głowy oparte na karkach koni, i śpią.

— To ich chyba nogi bolą od tego stania?

— Nie bolą.

— A to ich konie pozdychają z głodu?

— Nie pozdychają.

— A dużo tamtych dukatów?

— Ho, ho!... — odpowiadali starzykowie, którzy sporo wiedzieli.

Teraz już każdy wiedział, że jeżeli „ho, ho!” — to znaczy, że dużo dukatów. I niejeden myślał, jak by dostać się do owej jaskini i nabrać tych dukatów chociażby do garści.

— Można dostać się do tamtych dukatów? — pytali przeto, a oczy im lśniły, a w głowie już roily się plany, co by za nie kupić.

— Można! Czemu nie? — mawiali starzykowie. — Ale to jest tak. Trzeba czekać do Zadusznego Dnia, gdy na cmentarzu palą się świece. Potem trzeba czekać, aż wszyscy ludzie opuszczą cmentarz, jako że już zbliża się północ i duszyczki wyleżą z grobów i spacerują po cmentarzu. I wtedy, gdy ludzie odejdą, a duszyczki jeszcze nie wyjdą z grobów, trzeba szybko nazbierać kilka, kilkanaście ogarków, czyli nie dopalonych świeczek i w nogi! Bo duszyczki mogą pogonić takiego śmiałka, odebrać mu świeczki i tak mocno wyrznąć go pięścią w gębę, że śmiałkowi wyleci kilka zębów i gęba spuchnie. Z taką spuchniętą gębą łązi po świecie już przez całe życie. I wtedy wszyscy zaraz wiedzą i powiadają na jego widok: „Aha! Widzicie go? Chodził świeczki kraść z grobów w Zaduszny Dzień i dostał po pysku od duszyczek! Dobrze mu tak!...” Tak by powiadali ludzie. A więc, żeby tak nie powiadali, trzeba się uwijać na cmentarzu i na czas zmykać ze świeczkami.

— A co potem, starzyku? — pytali ci, co zamierzali tak uczynić.

— Potem z tych nie dopalonych świec robi się jedną świecę tak grubą, jak wielki palec, a długą na dwa palce i trzeba czekać nocy świętojańskiej. I gdy ta noc nadejdzie, można wybrać się po dukaty. Z tą świecą. I jak długo pali się ona, tak długo można przebywać w jaskini w Czantorii. Bo gdyby kogo zaślepiła chciwość i przebywał dłużej, świeczka się dopali. I wtedy mizerny koniec pisany takiemu śmiałkowi. Wejście do jaskini zamknie się i już po

wszystkim.

— A to wejście do jaskini otwiera się tylko raz w roku?

— Jako powiadam. Raz w roku, i to tylko w noc świętojańską!... — dodawali jeszcze starzykowie.

Ludzie łakomili się bardzo na owe dukaty. I było wielu śmiałków, którzy w Dzień Zaduszny ukradli kilka ogarków z grobów, potem ulepili z nich świece i w noc świętojańską ruszyli do jaskini. Śpieszyli się ogromnie. Gdy zobaczyli śpiących rycerzy, to ich najpierw oblatał wielki lęk. Potem jednak przestali się lękać, bo rycerze spali, poniektórzy chrapali nawet, konie też spały i poniektóre chrapały, a po drugiej stronie stały beczki z dukatami. Zaczęli więc dobierać się do owych dukatów. Lecz że ogarnęła ich chciwość, przeto stracali z beczek ropuchy, brali dukaty garściami i pchali w kieszenie, do czapek, ba, nawet do mieszkań.

Kto był przezorny, uciekał z jaskini z tak bogatym łupem. I wychodził na świat z dopalającym się ogarkiem. Lecz gdy potem spojrzął do kieszeni, do czapki i mieszka — zamiast dukatów znalazł zeschnięte liście. Ci zaś, którzy nie zdołali wybiec z jaskini, gdyż ogarek dopalił się, gdy zgarniali dukaty do worków — ci już tam zostali po wieczne czasy, amen... Tylko ich pokutujące dusze latają dzisiaj koło góry Czantorii w postaci puchaczów i hukają, i straszą spóźnionych przechodniów lub pijaków wracających o północy z karczmy. „Hu! hu! hu!...” — hukają duszyczki chciwców zamienione w puchacze. A wtedy przechodnie żegnają się, odmawiają pacierze i oglądają bojaźliwie, a pijacy uciekają, potykają się, przewracają i wrzeszczą, jakby ich diabeł za spodnie trzymał. Potem już nie piją gorzały w karczmie, bo ślubowali żonie i komu tylko, że nie ma głupich, by ich znowu diabły spod Czantorii szarpały za spodnie, hukały nad nimi i chichotały, że aż mrowie łązi po karku.

I tak mijały lata, i mijały, minęło ich bardzo wiele i nikt nie odważał się już na wyprawę w noc świętojańską do jaskini w Czantorii. I nikt nie widział tamtych śpiących rycerzy ani nie grzebał w beczkach pełnych pleśniejących dukatów.

I dobrze.

Pod Czantorią, we wsi Ustroń, był jeden kowal, który nazywał się Feliks Drzystoń. Ten Drzystoń miał córkę niesłychanie ciekawą. Było jej na imię Jewka, miała piegi na gębie, chodziła jak kaczka i musiała wszystko wiedzieć. Ona wiedziała, co kto we wsi jadł na obiad, gdzie kto kichnął, kto w nocy wracał pijany do domu, kogo okradli złodzieje, kto ma odciski na dużym palcu u prawej nogi, kto obejrzał się za przechodzącą dziewczyną, kto wygrał na loterii, komu okociła się koza, a komu oprosiła maciora. W ogóle wszystko musiała wiedzieć. Nie wiedziała tylko, co w trawie piszczy, i to ją bardzo martwiło. Nawet nie mogła sypiać po nocach z tego powodu.

A u tego kowala Drzystonia terminował Karlik kowalczyk.

Jewka zalecała się do Karlika, gdyż był to chłopiec na schwał, o czarnych oczach i czarnej czuprynie pięknie zaczesanej. Oglądały się za nim wszystkie ustrońskie dziewczyny. Na Jewkę zaś żaden z ustrońskich chłopców nawet nie spojrzął, bo każdy lękał się jej ciekawości i plotkującego języka. Jewka widziała przeto, że grozi jej staropanieństwo, i pomyślała, że trzeba będzie Karlikowi zawrócić głowę.

Gdy Karlik kuł w kuźni, a majster Drzystoń siedział w karczmie, to Jewka stawała w progu i śpiewała:

*Karliku, Karliku, co tam chowasz w koszyku,  
Karliku, Karliku, co w koszyku masz...*

Była to głupia śpiewka, gdyż Karlik nie miał żadnego koszyka. Innym więc razem tak śpiewała, a głos miała zachrypły i skrzypiący, jakby ktoś otwierał drzwi o zardzewiałych zawiasach:

*Karliku, Karliku, zgadnij, co mam w koszyku,  
Karliku, Karliku, co w koszyku mam?*

I pokazywała koszyk Karlikowi. A Karlik prał młotem po kowadle i mruczał, że nie ma ochoty zgadywać, co ma w koszyku.

A ona wtedy tak skrzeczała:

*Mam gołąbków po parze, hej, po parze,  
Chodź tu do mnie, pokażę, hej, hej, pokażę!...*

Karlik jednak nie zważał na jej przymilanie się i skrzeczenie, tylko kuł i walił młotem spoza głowy, aż iskry leciały.

A miał on matkę, która była już wdową. Karlik niewiele zarobił u majstra Drzystonia, jako że dopiero terminował, przeto u matki bieda siedziała pod ławą przy piecu i liczyła, ile krup lub ziarenek grochu gotuje na obiad dla siebie i Karlika. A gdy matka się odwróciła lub wyszła z kuchni, bieda wyjadała z garnka krupy lub ziarenka grochu.

I jednego razu majster Drzystoń powiedział:

— Ty, Karlik! Ja idę na ważne zebranie do karczmy, a ty za ten czas kuj podkowy! Bo jutro jest targ, przyjadą gazdowie wozami i końmi i trzeba będzie im konie podkuwać. A uwi-  
jaj się...

Karlik wiedział, że majster Drzystoń nie idzie na zebranie, lecz po prostu będzie grał w karty z grabarzem i obaj będą pili gorzałę. Ponieważ jednak kazał kuć podkowy, więc Karlik kuł. A Jewka pognąła do wsi na klachy, czyli na plotki.

Karlik kuje i kuje, już tych podków miał sporo ukutych, gdy naraz drzwi otwierają się — a była już noc — Karlik się ogląda i zdumiony widzi, że w progu stoi jakiś dziwny człowiek wąsaty, z cudzoziemską ubrany, niby to pan, niby wojak, niby rycerz. Licho wie, co by to mogło być?

Tamten człowiek grzecznie go pozdrowił i zapytał, czy Karlik poszedłby z nim i podkuł kilka koni. Że dobrze zapłaci.

— Czemu nie? — zgodził się Karlik. — Już się robi! Tylko jeszcze tę ostatnią podkową ukuję!

Obcy człowiek przypatrywał się Karlikowi, jak kuł ostatnią podkową.

— Dobrze kujesz! — pochwalił go.

— Dziękuję za uznanie! — rzekł Karlik grzecznie. — No, jestem gotów.

— Zabierz ukute podkowy i narzędzia! — polecił ów dziwny człowiek. — A chodź ze mną, lecz o nic się nie pytaj!

Karlik więc o nic nie pytał, tylko szedł za owym człowiekiem. Dziwiło go bardzo, że zamiast iść do wsi, ów człowiek prowadzi go w kierunku Czantorii, gdzie już nikt nie mieszka i gdzie tylko puchacze hukają i straszą ludzi. I pomyślał, czy też nie idą do góry Czantorii do tamtych śpiących rycerzy.

Karlik słyszał bowiem o nich oraz o dukatach w beczkach i nieraz marzył, że taki jeden dukat przydałby się jemu i matce. Kupiłby jej ciepłą chustę, wieprzka i co tylko, a sobie przynajmniej dwa rogaliki i tabliczkę czekolady.

A równocześnie oblatywał go lęk i myślał: „Jeckusie kochany, co też to będzie? Żeby mi tylko głowy nie urwał!”

— Nie stanie ci się nic złego! — rzekł tamten wiodący go człowiek.

Ha, widać, że potrafił czytać ludzkie myśli! Dziwny człowiek!...

Doszli w końcu do podnóża Czantorii, a puchacze zleciały się i hukaly jak opętane. Księżyc był wysoko na niebie i dobrze było widać, jak ich oczy tliły się zielonkawym światłem, jak fruwały naokoło Karlika i darły się nie wiedzieć z jakiego powodu. Widocznie

albo ostrzegwały go, albo usiłowały mu napędzić strachu. Karlik wiedział, że to pokutujące duszyczki tamtych chciwców, którzy nie zdołali kiedyś przed wiekami wyjść na czas z jaskini. I znów się połekał, a mrówki zaczęły mu łaźić po grzbiecie. Obcy człowiek jednak poklepał go po ramieniu i mruknął:

— Czegóż się lękasz, niemądry! Nic się nie bój!...

I to jeszcze bardziej utwierdziło Karlika w przekonaniu, że tamten człowiek umie czytać ludzkie myśli. A równocześnie otucha wstąpiła w jego serce. Nic już więc teraz się nie bał, tylko szedł za nim.

Naraz Karlik przypomniał sobie, co bajali starzykowie, i zawołał:

— Ale ja nie mam świecy!

— Nie trzeba świecy! — rzekł tamten i szedł dalej. Doprowadził Karlika do ogromnej skały, coś mruknął i skała się otworzyła. Obaj weszli teraz do podziemnego ganku. I rzecz dziwna — w ganku było jasno, jakby ściany zrobiono z matowego szkła, za którym płonie tysiąc świec.

Wstąpili wreszcie do ogromnej jaskini. Karlik patrzy zdumiony i widzi: pod jedną ścianą cały regiment skrzydlatych rycerzy w srebrnych zbrojach, pod drugą ścianą rząd beczek z dukatami, a na każdej beczce siedzi ropucha tak duża, jak cielna krowa, i łypie oczami. Rycerze zaś śpią i niektórzy leciutko chrapią. Konie też śpią i też niektóre leciutko chrapią. A na karku każdego konia każdy rycerz opiera swą głowę.

— Oto podkujesz mi pięć koni! — rzekł obcy człowiek.

Karlik zabrał się do roboty. Przybijał podkowy do kopyt koni, przybijał, a gdy przybił ostatnią, rzekł:

— Podkułem!

— Jaką chcesz zapłatę? — zapytał tamten tajemniczy człowiek.

Karlik zerknął na beczki pełne dukatów i rzekł:

— Jednego dukata, tego najmniejszego, jeżeli mogę prosić!

Dziwny człowiek wybrał z pierwszej beczki najmniejszego dukata i wręczył Karlikowi: A wciąż milczał. Potem go wyprowadził z jaskini przez długi, podziemny ganek. A gdy już znaleźli się na polanie, na niebie rozlewał się mleczny świt, ptaki budziły się pomaleńku ze snu i popiskiwały leciutko, puchacze już nie hukały...

Wtedy tamten człowiek rzekł:

— Teraz wracaj, a nikomu nic nie mów, gdzieś był i coś widział! — I wszedł do ganku, a skała zamknęła się za nim.

Karlik pobiegł do matki ogromnie uradowany, że ma dukata! Ha, co on to teraz kupi matuli za tego dukata?... Wszystko kupi, a sobie dwa rogaliki i tabliczkę czekolady! Wpadł do izby, zbudził matkę i zawołał:

— Mamulko! Mamuliczko złota! Mam dukata! — i pokazał go matce.

Matka ogromnie się zdumiała i zaraz zapytała:

— Skąd go masz? Od kogo otrzymałeś tak duży pieniądz?

— Mamuliczko, nie pytajcie się, bo mi nie wolno powiedzieć!

— Ukradłeś?

— Broń Boże! Zarobiłem! Ale nie pytajcie się więcej, bo i tak nie powiem.

— No, dobrze, dobrze! — rzekła matka i już nie pytała.

Oboje nie wiedzieli, że był to dziwny dukat. Bo gdy Karlik nazajutrz kupił matce ciepłą chustę, furę węgla, małego wieprzka i słoik konfitur, a sobie dwa rogaliki i tabliczkę czekolady — już nie było dukata. Rozmienił go bowiem na miedziaki i wszystkie wydał. A gdy nazajutrz matka czyściła mu ubranie i sięgnęła do kieszeni jego marynarki — w kieszeni ten sam dukat!...

I oboje nie mogli się temu nadziwić.

Karlik znowu pobiegł do wsi i kupił dla matki kilogram suszonych śliwek, buciki, dwa

wieńce kielbasy i jeszcze jedną furę węgla oraz krowę, a sobie scyzoryk z dwoma ostrzami i korkociągiem i harmonijkę, i dukata już nie było.

A gdy na trzeci dzień sięgnął do kieszeni - znowu w niej ten sam dukat.

I wszystko odtąd było już dobrze, bo Karlik się wyzwolił i stał się samodzielnym kowalem, wybudował matce porządną chałupę, kupił trzy krowy i pełną skrzynię przyrodziewku, a w chlewiku kwiczały cztery spaśne wieprze.

Wszyscy w Ustroniu ogromnie się temu dziwili i nie mogli pojąć, skąd u Karlika taki dostatek i zamożność. A Karlik nic, chociaż dopytywano się go i nalegano, by powiedział, skąd to ma.

Jewka, córka majstra Drzystonia, ganiała zaś po Ustroniu jak z terpentyną i dowiadywała się, skąd Karlik ma tyle pieniędzy. Spać nie mogła po nocach z ciekawości, chudła z tego powodu i była nieszczęśliwa. W końcu nie wytrzymała, poszła do kuźni Karlika, stanęła w progu z koszyczkiem i zaskrzeczała;

*Karliczku, Karliczku, zgadnij, co mam w koszyczku!  
Karliczku, Karliczku, co w koszyczku mam!  
Mam gołębie po parze, hej, po parze,  
Jeśli zechcesz, pokażę, hej, hej, pokażę!...*

Karlik na to nic. Walił młotem po kowadle, kuł żelazo, aż iskry leciały, i myślał: „Ty sobie śpiewaj, a ja ci i tak nie powiem!”

Jewka widzi, że swoim śpiewaniem nic nie wskóra, przystąpiła, więc do niego i zaczęła się przymilać. Słowa swoje smarowała miodem i gadała, i wdzięczyła się, i ocierała o niego jak kotka, i uśmiechała, i gdakała, i prosiła:

— Karliczku! Mój złoty Karliczku! Powiedz, skąd masz tyle pieniędzy? Przecież mnie, Kochającej cię do grobowej deski, Jewce, możesz powiedzieć!

— Daj mi święty spokój, bo nie powiem!

— Ależ, mój Karliczku złoty! Swojej Jewce nie powiesz?

— Po pierwsze, nie jesteś moją Jewką, a po drugie, chociażbyś na klęczkach prosiła, nie powiem i basta!

— Nie powiesz?

— We młynie dwa razy powtarzają, a po trzeci raz dadzą kromkę chleba!

— To ja się otruję! Och, truję się, truję!... — zaskrzeczała Jewka.

Wydobyła z koszyczka jakąś buteleczkę, na której była nalepka z wyrysowaną trupią czaszką, przystawiła ją do ust i jeszcze raz wrzasła:

— Powiesz czy nie powiesz, bo już połykam truciznę!

Karlik przestraszył się, że istotnie gotowa się otruć, wytrącił jej buteleczkę z dłoni i rzekł:

— Głupia! Miałabyś się truć, to ci powiem! — i powiedział wszystko. A gdy skończył, Jewka rzekła:

— Karliczku, pokaż mi tego dukata!

Karlik sięgnął do kieszeni i wymacał w niej zeschnięty liść. Dukata już nie było!

I teraz dopiero spostrzegł, jak bardzo był głupi, że uległ prośbom i groźbom piegowatej Jewki. Jewka zaś pobiegła z ciepłutkim na wieś i wszystkim rozpowiadała o dukacie Karlika.

Karlik bardzo się jednak nie martwił, że tak łatwo pozbył się dukata. Miał swoją kuźnię, miał chałupę, miał wszystko, a na głupią Jewkę już ani nie spojrział. No i dobrze mu było.

Tak opowiadają starzy górale beskidzcy o śpiących rycerzach w górze Czantorii i o Karliku kowalczyku.

## O WOJAKU ZEFLIKU ZE SREBRNYM GUZIKIEM

Był raz jeden niesłychanie dzielny wojak, który miał na imię Zeflik. Zeflik był na wojnie, potem wojna się skończyła i wypadało wracać do domu. Nawojował się bowiem srodze, uratował królestwo króla Fyrtały II, narobił wielkiej zawieruchy, natłukł wrogów co niemiara i teraz wracał borem, lasem, przymierając z głodu czasem.

Szedł więc i szedł, a że droga mu się bardzo dłużyła, przeto śpiewał prześliczną piosenkę o tej dziewczynie, która pasła kaczki za wodą.

Była to bardzo piękna piosenka. Zeflik śpiewał ją jeszcze piękniej i dlatego słowiki oniemiały z podziwu, wróble przestały wrzeszczeć, pasikoniki ustały rzępolić na swych cieniutkich skrzypeczkach, a stara, rozczochrana wrona zaklaskała skrzydłami i tak rzekła:

— Słyszycie, ptaszeczkowie złoci? Słyszycie, jaki piękny głos posiada ten wojak? Prawie dorównuje mojemu. Ha, widać, że tamten kudłaty wojak uczył się śpiewu u mojego dziadka, pana gawrona z Gawronowic!

Ptaszkowie przeto jeszcze bardziej się dziwili, a Zeflik szedł i śpiewał. I byłby śpiewał nie wiedzieć jak długo, lecz w piosence zabrakło już zwrotek. Szedł przeto powoli, gdyż bolały go nogi, a w gardle mu wyschło.

I dobrze.

Szedł więc i szedł borem, lasem, a na plecach niósł tornister, a na ramieniu wielką flintę ze szpikulcem na lufie.

Zeflik jednak nie narzekał ani na tornister, ani na ogromnie długą flintę podobną do chudej armaty. W tornistrze bowiem mógłby zmieścić sporo zdobycznych talarów, nie zdobył wprawdzie ani jednego, ale to nic nie szkodziło. Flinta mocno uwierała go w ramię, lecz był jej rad. Bo gdyby nie ta sroga flinta podobna do chudej armaty, król nieprzyjacielski, Kręcigroch III, byłby wygrał wojnę.

Gdy Zeflik naładował flintę, a potem oparł jej lufę na rosochatej wierzbie i przyłożył do kolby prawe oko, lewe zaś zakrył dłonią, wtedy zawołał:

— Na bok, łebonie, bo teraz strzelę z flinty! A uważajcie, żeby komu głowy nie urwało!

Wtedy król Kręcigroch III i jego wojacy zaczęli chichotać i śmiać się do rozpuku. Zeflik nic! Pomyślał: „Poczekaj, królu Kręcigrochu, i wy, jego wojacy! Dam ja wam bobu, ale dam!”... I jak gruchnął z flinty, zdawało się każdemu, że to koniec świata nastąpi.

Zakurzyło się bowiem okrutnie, że nastąpiła jakby noc, wszyscy kamraci Zeflika przemienili się w tym oka mgnieniu w kominiarzy, gdyż tak bardzo poczernieli od sadzy z tego dymu, zatrzęsała się ziemia i o malutki włos, a słońce byłoby spadło z nieba.

Na szczęście słońce nie spadło z nieba, tylko nieprzyjacielski król, Kręcigroch III, spadł ze swej szkapy, a wszyscy jego wojacy przewrócili się ze strachu. Wtedy Kręcigroch zawołał:

— O, jerum pajtasz! Uciekajmy, braciszku, bo jużemy wojnę przegrali!

Zeflik patrzy i widzi, jak król Kręcigroch III ucieka na kulawej szkapie, a za nim jego generałowie, kaprale, wojacy i kucharze i wszyscy okropnie wrzeszczą, a za nimi tak bardzo się kurzy, że aż strach.

Król Fyrtała zaś, jego generałowie, kaprale, wojacy i kucharze zaczęli wołać:

— Wiwat! Niech żyje nasz Zeflik, wojak nad wojakami! Niech żyje! Jużemy wojnę wygrali! Niech żyje nasz waleczny Zeflik!

Potem przyjechał do Zeflika sam król Fyrtała na koniu. Koń był mały i tłusty, a król Fyrtała długi i chudy. Podrapał się berłem po głowie, poprawił na niej koronę i zapytał:

— Toś ty, Zefliku, był taki waleczny?

— To się wie, że ja, królu jegomościu!

— Hm... To ja za to mianuję cię generałem — rzekł i znowu podrapał się berłem po głowie.

A Zeflik na to:

— Gwiżdżę, królu jegomościu, na tego generała! Wypląć, co mi się należy za służbę w twoim wojsku, bo już mi czas wracać do domu, do matki!

Król Fyrtała jął jednak namawiać Zeflika, by nie odchodził, bo co on sobie teraz pocznie bez takiego dzielnego wojaka, że mizerna będzie królewska dola, że to i tamto. Lecz Zeflik nic! Powiedział, żeby mu król nie zawracał głowy, że musi wracać do matki i skończyć.

Król jednak nie chciał ustąpić. Obiecał Zeflikowi, że będzie dowodził regimentem największych zabijaków, że ci zabijacy będą mu czyścić buty, po tytoń do fajki biegać do sklepiarkarza, że będą myć podłogę w jego komnacie, guziki przyszywać do jego generalskiego munduru i muchy odpędzać od jego nosa, gdy wielmożny pan generał Zeflik utnie sobie poobiednią drzemkę. No i wszystko.

A Zeflik na to królowi, by nie fanzolił po daremnicy, że już powiedział, iż musi wracać do matki, i nie ma co gadać!

Wtedy król powiada, że Zeflik będzie mieszkał w zamku ze szczerego złota, że będzie wylegiwał się w puchowych pierzynach, że będzie jadał tylko rogaliki z masłem, marcypany i krupnioki, czyli smażone kiszki, że to i tamto!

A Zeflik na to królowi, żeby mu nie kręcił gitary próżnym gadaniem.

Uparty jednak król jął mu obiecywać prześliczny mundur generalski kapiący od złota i srebra i że da tyle medali i orderów, iż trudno będzie je zliczyć, i na dodatek podaruje mu pełny worek dukatów. A jeżeli będzie uważał, że to za mało, ożeni go z najpiękniejszą księżniczką w swym państwie!...

Tu już Zeflik nie wytrzymał i rzekł bardzo niegrzecznie:

— Królu, daj się wypchać tym wszystkim, co mi obiecujesz! Powiedziałem już, że wracam do matki, bo tam z pewnością biedaczka oczy za mną wypłakuje. A co do twojej księżniczki, gwiżdżę na nią, bo w domu czeka na mnie Stazyjka!

— O, jej, jej! — zabiadolił król i bardzo posmutniał.

— A to ci powiadam, królu! — rzekł jeszcze Zeflik. — Wypląć, co mi się należy za służbę w twoim wojsku, i koniec! A już mi nic więcej nie gadaj, bo jak mnie złość ogarnie, to basama teremtete!..

Wtedy król widział, że darmo larmo, i zapytał:

— A ile ci się należy?

— Półtora talara!

Król jeszcze bardziej posmutniał, gdyż zobaczył, że mizerny będzie jego los. Kazał jednak przywołać ministra, który zarządzał królewską szkatułą.

Przyszedł minister, również tak strasznie chudy, jak król Fyrtała II, i zapytał, co się stało.

— Panie ministrze skarbu! Wypląć temu operiaszowi półtora talara jako zapłatę za jego służbę w moim walecznym wojsku! — rzekł król.

Pan minister pociągnął nosem i tak powiedział:

— Miłościwy królu! W skarbcu nie ma półtora talara!

— A co jest?

— Guzik, miłościwy królu! — powiedział i rozplakał się rzewnie.

— To dać mu ten guzik! — polecił król wspaniałomyślnie.

Pan minister kazał dziesięciu najsilniejszym wojakom przynieść królewską szkatułę. Otworzył ją siedmioma kluczami, pogrzebał na dnie i wydobył z niej niciany guzik.

Wtedy Zeflik zrozumiał, że figa z jego półtora talara, gdyż u króla Fyrtały II bieda aż piszczy! Zabrał więc guzik, bo pomyślał, że dobre i tyle, przyszył go sobie do kabata, bo



jeden guzik był zgubił podczas wojny, kichnął na króla, kichnął na pana ministra, zabrał się i poszedł z tornistrem, flintą i nicianym guzikiem u kabata.

Szedł więc teraz borem, lasem, przymierając z głodu czasem. Już prześpiewał wszystkie piosenki, jakie tylko znał. Lecz że w tych piosenkach zabrakło w końcu zwrotek, więc już potem nie śpiewał.

Pod wieczór dotarł do ogromnego boru. W tym borze mieszkał bardzo porządny pustelnik z długą, białą brodą. Poza tym na głowie miał śliczną łysinę podobną do miesiąca w pełni. Pustelnik siedział w habicie przepasanym powrozem, jak przystoi pustelnikowi, i jadł z rondelka przysmażoną szarańczę z grzybkami na kwaśno.

— Dobry wieczór, panie pustelniku — rzekł grzecznie Zeflik, gdy stanął w otwartych drzwiach pustelni.

— A, dobry wieczór, panie wojaku! — uradował się pustelnik. — Kocur mi zdechnie!

Zeflik nie pytał, dlaczego ma zdechnąć kocur pustelnika, gdyż dobrze wiedział, że w ten sposób wyraża się uradowanie na widok niespodziewanego, a miłego gościa.

— Panie pustelniku... — zaczął Zeflik.

— Wiem, wiem już wszystko! — przerwał mu pustelnik. — Ptaki mi doniosły, że idziesz z wojny... No, ale proszę się rozgościć, proszę! Czym chata bogata, tym rada! — i zaprosił Zeflika do środka.

Chciał go uraczyć przysmażoną szarańczą z grzybkami na kwaśno, lecz Zeflik odmówił. Powiedział, że to nie służy jego zdrowiu. Że gdyby tak był kawał kielbasy lub z pięć krupnioków pięknie usmażonych, toby chętnie zjadł.

— A koziego mleka napiłbyś się, wojaku ?

— Proszę!

Pustelnik dał więc Zeflikowi spory garniec koziego mleka, sporą pajdę chleba i dobrze było. Potem zrobił łóżko z mchu i kazał mu się położyć.

— A wy, panie pustelniku? — zapytał Zeflik.

— Ha, ja muszę czuwać, bo tu w nocy przychodzą przeróżne diabły i straszdyła, by mi przeszkodzić w nabożnych rozmyślaniach. I gdy zaczną hałasować, muszę je odpędzać święconą wodą!...

— A pomaga to, panie pustelniku?

— Nie bardzo...

— No, to ja znajdę na nie sposób. Otóż niech pan pustelnik położy się i śpi, a ja będę czuwać! Tylko czy macie tu, panie pustelniku, trochę soli?

— A po cóż ci sól, wojaku ?

— Już w tym moja głowa! Zobaczycie, że uczynię koniec z tymi diabłami! A dużo ich jest?

— A, foremna gromada! Czasem ich naliczyłem do dwudziestu małych i dużych, z krowimi lub prosięcymi ogonkami, kudłatych, z rogami lub bez rogów na łbie. Różnie bywało.

— A te straszdyła ?

— To są nocnice, zmory, strzygonie... To takie duchy wielce paskudne i dokuczliwe jak pchły. Trudno mi się przed nimi opędzić! Wrzeszczą, skrzeczą, kuglują, piszczą, beczą, łążą po dachu pustelni, dmuchają do komina, że sadze lecą na mnie i wyglądam nad ranem jak kominiarz. Strasznie to paskudny naród!

— I z nimi zrobię porządek! No, proszę mi dać sporo soli i proszę się położyć, a ja będę czuwać!

I tak się stało.

Uradowany pustelnik dał Zeflikowi miarkę soli, potem położył się i rychło usnął. Trochę chrapał, lecz Zeflikowi to nie przeszkadzało. „Niech chrapie” — pomyślał. Usiadł na progu i opatrzył sobie flintę. Nasypał do lufy strzelniczego prochu, ubił patykiem, nasypał soli, ubił, zatkał pakułami i czekał.

Była bardzo piękna noc. W głębi boru hukały sowy i puszczyki, bór zaś szumiał sennie. Czasem zamigotały w nim bodaj czy nie wilcze ślepiea niebieskim płomyczkiem, czasem coś zaszeleściło, czasem westchnęło i znowu nic. A na niebie mrugały gwiazdy na Zeflika, a wielki księżyc wędrował między nimi i przyglądał się wojakowi ciekawie.

Była już może północ, gdy zmienacka bór ożył. Zaszumiało w nim groźnie, załopotalo jakby dużymi skrzydłami, zaskwierczało przeraźliwie, zakrakało szpetnie, zahukało donośnie, a księżyc przystanął na niebie i świecił na polanę przed pustelnią, bo był bardzo ciekawy, co to będzie. Nawet gwiazdy przestały mrugać, bo także były ciekawe, co to się stanie.

A Zeflik nic. Ujął flintę i czekał. I naraz — o jerum pajtasz! — na polanę wyłażą z boru jakieś poczwary, garbate diabły, kulawce, kuternogi, pokraki, maskary, ogniste konie bez głowy, rokitki, strzygonie, nawet jeden utopiec płatał się między tamtą hołotą. I cała ta banda zmierzała ku pustelni. Pohukiwała, chichotała, wywracała koziołki, beczała, trąbiła na nosie, słowem, naokoło pustelni rósł hałas, harmider i piekło.

Wtedy Zeflik przyłożył flintę do ramienia, wymierzył w tamtą czeredę i jak nie pociągnie za cyngiel, jak nie gruchnie, o jerum pajtasz! Jakby tysiąc piorunów spadło z nieba na ziemię, jakby cały świat się walił! A na polanie wrzask przeraźliwy, pisk, wycie!... Zakotłowało w tamtej bandzie jak w garnku! A Zeflik nic, tylko się patrzy i śmieje! Bo wszystko przechery trzymają się za brzuchy, za pośladki, za głowy, za nogi, piszczą, skaczą, jęczą i uciekają przerażone, bo piecze je sól... I nie trwało ani ćwierć pacierza, a już nikogo nie było na polanie. Tylko daleko w borze niósł się oddalający skowyt i taki łomot, jakby tysiąc oszalałych koni uciekało na przełaj przez las...

Potem wszystko ucichło, nastąpiła wielka cisza, szum w konarach drzew przemienił się w senny szept, a gwiazdy zaczęły znowu mrugać, a księżyc jął znowu wędrować między nimi.

Co tak bardzo gruchnęło? — posłyszał Zeflik zaspany głos pustelnika. Stał nad nim w długiej koszuli i drapał się po łysinie. Widać teraz dopiero się zbudził.

Zeflik powiedział, co tak gruchnęło. Potem poszedł z pustelnikiem na polanę, a że księżyc świecił im wielce zadowolony, przeto w jego świetle znaleźli trzy odstrzelone diable ogony podobne do krowich, pięć diablkowych ogonków podobnych do prosięcych, cztery diable rogi, siedem spróchniałych zębów i kupki smoły.

— No, teraz, panie pustelniku, możesz rozmyślać nabożnie, bo te przegrzeszone ślimoki i łebonie już tak rychło się nie pokażą!...

Pustelnik zaczął przeto nabożnie rozmyślać, a Zeflik położył się na posłaniu z mchu i spał aż do rana.

Gdy już było rano, Zeflik wypił znowu garniec koziego mleka, zjadł pajdę chleba i chciał podziękować pustelnikowi za gościnność, lecz ten go jeszcze zatrzymał i tak rzekł:

— Zacyjny i waleczny panie wojaku! Podaruj mi tę swoją flintę, bo ty odejdiesz, diabły dowiedzą się o tym i znowu zaczną mnie napastować i kusić do grzechu. A gdy będę miał flintę, zaleję im sadła za skórę. I będzie po paradzie!

— Czemu nie! Bardzo chętnie, panie pustelniku! — zgodził się Zeflik i podarował flintę pustelnikowi.

— Lecz, żebyś nie powiedział, zacyjny wojaku, że ze mnie jakiś tam wydrwigrosz, to znajdę coś dla ciebie. Oto trzymaj! — i pustelnik wręczył mu talara, bochenek chleba i manierkę z winem.

Zeflik podziękował i ruszył w drogę. Talara wsunął do kieszeni, a chleb z manierką do tornistra. Był ogromnie rad, że pozbył się flinty podobnej do chudej armaty. I z tej radości zaczął znowu śpiewać niesłychanie piękną piosenkę o czterech koniach we dworze, co żaden nimi nie orze.

To było tak bardzo piękne śpiewanie, że rozczochrana wrona prędko zwołała wszystkie ptaki, a więc słowiki, sikorki, dzięcioły, szpaki, trznadłe i które tam jeszcze spotkała, i wrzeszczała olśniona:

— Fiks laudon, to jest piosenka!... Słyszycie, ptaszeczkowie złoci? Czy potrafi ktoś z was tak pięknie śpiewać? Nie potrafi! Tylko ja jedna śpiewam piękniej aniżeli ten wojak, no i mój dziadek gawron z kościelnej wieży. On zawsze pomaga śpiewać organiście Pietruli, gdy ten jest pijany. A mój pradziadek śpiewał tę piosenkę na swoim weselu. Ptaszkowie! Klaskajcie! — zakrakala i jęła klaskać skrzydłami. Za jej przykładem klaskały wszystkie ptaki.

Zeflik jednak nie zważał na ich klaskanie, tylko szedł i śpiewał. A gdy w piosence o czterech koniach zabrakło już zwrotek, przestał śpiewać. Koło południa znalazł się na sporej polanie. Pomyślał, że już pora odpocząć, zjeść kęs chleba, napić łykiem wina, pokrzepić się na ciele i na duchu. Daleką miał bowiem jeszcze drogę do matuli i Stazyjki, wyplakujących za nim oczy z tęsknoty. Wszak jeszcze musi przejść siedem gór i siedem rzek, by nareszcie dotrzeć do swojej wsi.

Usiadł więc pod dębem. Zaledwie wyjął z tornistra chleb, skąd się weź, to się weź, stanęła przed nim siwa babuleńka. Y/spierała się na kijaszku, na plecach zaś miała wiązkę chrustu.

— Mój złociutki wojaku! — zaczęła. — Taka jestem głodna...

Zeflik miał dobre serce, więc tak jej rzekł:

— Babciu, mam chleb, podzielimy się!

I podzielił się chlebem z babuleńką. A gdy zjadła, znowu rzekła:

— Mój złociutki wojaku! Strasznie chce mi się pić!

Zeflik miał dobre serce, więc pomyślał: „Było nie było!” — i podał babci manierkę z winem. Babcia wino wypła i rzekła:

— Ha, dobre było wino! Już teraz dalej widzę!... Ale, mój złociutki wojaku, u mnie straszna bieda!... Ani grosika nie mam!

Zeflik miał dobre serce, pomyślał: „Było nie było!” — i podał babci talara. Babcia chuchnęła nań i schowała za pazuchę. A potem znowu rzekła:

— Widzę, że dobry z ciebie człowiek, mój złociutki wojaku! Chciałabym cię jakoś wynagrodzić za to ludzkie serce. Oto na twoim kabacie widzę niciany guzik. Nie przystoi to walecznemu wojakowi, by na jego kabacie dyndał niciany guzik! Chodź ze mną, przyszyję ci inny. A po drodze zaniesiesz mi tę wiązkę chrustu do chałupki, bom stara i słaba!

„Było nie było! — pomyślał Zeflik. — Trzeba babci pomóc!” Zarzucił więc chrust na plecy i poszedł za nią. Szli i szli, aż przyszli do małej chałupki z jednym okienkiem. Babcia kazała Zeflikowi zdjąć kabat z nicianym guzikiem i poczekać na dworze. Kabat zabrała do chałupki i, nie trwało długo, wyniosła go z powrotem. Na miejscu nicianego srebrzył się śliczny guzek ze szczerzego srebra.

I babcia tak rzekła :

— Pamiętaj, złociutki wojaku! Gdy będziesz w bardzo wielkiej potrzebie lub niebezpieczeństwie, pokręć lekko tym srebrnym guzikiem i powiedz takie zaklęcie:

*Fiku, miku, mój. guziku,  
Pamiętajże o Zefliku!...*

To wystarczy? — zdziwił się Zeflik.

— Najzupełniej!

Zeflik podziękował bardzo pięknie i poszedł.

Szedł i szedł, aż przeszedł pierwszą górę i przeszedł w bród pierwszą rzekę. Za rzeką było duże miasto. Zeflik wszedł do tego miasta i ogromnie się wszystkiemu dziwił. A głodny był już bardzo. Patrzy, a na ulicach pełno ludzi pięknie ubranych, z dużymi brzuchami, najedzonych i sapiących, a w oknach wystawowych śliczne bochenki chleba, wieńce kiełbasy, smażone kiszki, czyli krupnioki, sardynki, turecki miód, jabłka, kołaczki, pomidory, piklingi i wszystko. Zeflik patrzył i ślinka płynęła mu do ust. Pomyślał, że popatrzy do tornistra, czy nie

została tam jaka okruszyna z tego bochenka, który zjadł z babcią. Nie miał jednak gdzie usiąść, więc poszedł dalej. Przechodził — a było to już na przedmieściu — koło karczmy. Przed karczmą stał karczmarz w usmolonym fartuchu. Ujrzał Zeflika i zawołał:

— Hej, wojaku! Z wojny wracacie?

— Z wojny! — burknął Zeflik trochę zły, gdyż był głodny.

— Jesteście głodny?

— Pewnie, że głodny!

— A nie macie gdzie nocować?

— Nie mam!

— To chodźcie do mojej karczmy! Prześpicie się w gościnnym pokoju pod pierzyną, w kuchni moja baba piecze na rożnie prosiaka, wino mam niezgorsze w piwnicy, pojecie sobie, popijecie i wyśpicie się jak sam pan generał! No chodźcie!

— Wszystko byłoby dobrze, karczmarzu, lecz nie mam ani grosika!

— Nie plećcie, panie wojaku, nie! Któż to widział, żeby wojak, wracający z wojny, nie miał zdobywczych talarów? Macie ich z pewnością pełne kieszenie!

— Nie wierzycie? To popatrzcie się! — rzekł Zeflik, i na dowód, że mówi prawdę, jął wywracać kieszenie. I gdy ostatnią kieszeń wywrócił, wypadł z niej na bruk nowiuteńki talar.

— Ojej! — wrzasnął zdumiony Zeflik. Cóż to za czary? Przecież dał go babci!

Karczmarz nie pozwolił mu jednak przyjść do słowa, tylko zaczął terkotać:

— Ha, nie mówiłem? Macie talary! Chodźcie więc, wielmożny panie wojaku, a nie ociągajcie się! Dacie mi tego talara, zjecie upieczone prosię, wypijecie beczuleczkę najprzedniejszego wina, prześpicie się jak sam król, pod pierzyną, i chociaż poniosę stratę, nic nie szkodzi! Zaszczyt to bowiem niezwykle dla mnie, że mogę gościć tak walecznego wojaka! Bo ja dla każdego wojaka mam serce otwarte jak wrota stodoły! No, chodźcie!...

Zeflik wciąż zdumiony dał talara karczmarzowi i wstąpił za nim do karczmy. Zjadł kawaleczek upieczonego prosiaka, zapił go winem i poszedł spać. Nie mógł jednak usnąć, bo prosiak był tykowany, a wino kwaśne i teraz prosiak i wino burczały mu w brzuchu. Łóżko zaś było niewygodne, twarde a pierzyna chuda i brudna.

— Ale mnie nabrał oszust! — mruczał Zeflik i znowu się dziwił temu talarowi. Przecież przypomina sobie dobrze, że go dał babci. I coś go tknęło w myślach, żeby jeszcze raz przeszukać kieszenie kabata. Włożył rękę do kieszeni — znowu jest talar! Kiż diasi? Przecież dał go karczmarzowi. Talar jest ten sam, który otrzymał od pustelnika i który dał babci, a potem karczmarzowi. Dziwy przedziwy!...

I tknęła go jeszcze jedna myśl, żeby popatrzeć także do tornistra. Karczmarzowa wicherza była chuda i kwaśna. Zeflikowi burczy w brzuchu, może w tornistrze znajdzie okruszyny, w manierce kilka kropel wina.

Otworzył tornister i jeszcze bardziej się zdumiał. Bo oto w tornistrze pachnący bochen pszennego chleba, a w manierce bulgoce wino! Zjadł więc chleb, wypił wino i lżej uczyniło mu się na sercu i na żołądku. I już nawet bardzo się nie dziwił, gdyż pojął, że to sprawa zacnego pustelnika.

I ledwie się położył, zgasiwszy poprzednio świecę, na kościelnym zegarze wybiła północ, a za drzwiami dał się słyszeć jakiś szelest.

„Aha — pomyślał Zeflik. — Straszdyła tu łażą”.

Nie były to wcale straszdyła, tylko karczmarz ze swoją babą zakradli się do komórki Zeflika. Przystanęli przy drzwiach i słuchali, czy wojak śpi. Postanowili bowiem zabrać mu wszystkie talary, których z pewnością ma pełny tornister, a na dodatek oderznąć od kabata ten srebrny guzik. Baba więc trzymała w garści nóż, a karczmarz mieszek na talary.

Otworzył ostrożnie drzwi i wtedy Zeflik spostrzegł, że to istotnie nie straszdyła, lecz karczmarz w długiej koszuli i w szlafmicy z kutasikiem na czubku głowy, że w jednej ręce trzyma mieszek, w drugiej świecę, a za nim stąpa jego baba podobna do czarownicy, z dużym

nożem w dłoni. Udał przeto, że śpi, a przez niedomknięte powieki patrzył, co to będzie.

— Widzisz, stara! — szepnął karczmarz do swej baby. — Ten wojak śpi jak zarżnięty! Dobra nasza! Ja ci poświęcę, a ty odrzynaj srebrny guzik!

Baba ujęła guzik i pokręciła nim, by się przekonać, czy mocno przyszyty. Wtedy Zeflik wyszeptał zaklęcie:

*Fiku, miku, mój guziku,  
Pamiętajże o Zefliku!...*

Ledwie to wyrzekł, a w tej samej chwili stanęła w komórce tamta babcia z lasu ze srogą miotłą w dłoni i wrzała:

— A, wy huncwoty! A, wy rzezimieszki! To wy tacy? Niedoczekanie wasze!...

I jak zaczęła prac karczmarza i jego babę miotłą, zrobiło się w komórce takie straszne piekło, że rzekłby ktoś, iż sądny dzień nastał. Babcia waliła miotłą, a karczmarz uciekając zaplątał się w swej długiej koszuli, rymnął i poturlał się z piętra po schodach, za nim turlała się jego baba, a oboje ryczeli i piszczeli, jakby ich ze skóry obdzierano. A babcia za nimi i tłukła ich, aż uciecha.

Potem jakoś wszystko się uciszyło i Zeflik spał smacznie aż do rana. A gdy zeszedł do karczemnej izby, karczmarz i jego baba, podrapani szpetnie na gębach, z guzami na łbach i z podsiniaczonymi ślepiami, jęli mu się nisko kłaniać, skakali koło niego, nazywali go jaśnie wielmożnym panem wojakiem, przynieśli mu pół upieczonego prosiaka i pełny dzban dobrego wina. Zeflik jadł i pił. A gdy się już niezgorzej pokrzepił na ciele i na duchu, chciał zapłacić.

— Broń Boże, jaśnie wielmożny panie wojaku! — wzbraniał się karczmarz. — Jakże bym śmiał żądać zapłaty? Dla mnie biednego, lecz uczciwego karczmarza, ogromny to zaszczyt, że mogliśmy gościć i przenocować tak szanowną personę! Ani grosika nie wezmę od was, wielmożny panie generale! Ani grosika!...

Zeflik podziękował przeto i poszedł. Miał przed sobą jeszcze sześć gór i sześć rzek, lecz był dobrego ducha, gdyż wiedział, że trzyma się go talar i że w tornistrze zawsze będzie miał świeży bochen chleba i pełną manierkę wina. Zadowolony zaśpiewał piosenkę o Karolinie, która szła do Gogolina, a Karliczek za nią z flaszeczką wina. I znowu wszystkie ptaki bardzo się dziwiły, a rozczochrana wrona przechwalała się, że ten śpiewający wojak uczył się pieśni u jej dziadka gawrona i że ona też umie tak pięknie śpiewać.

Zeflik zaś wędrował i wędrował. Już przeszedł drugą rzekę i drugą górę, gdy nagle z lasu wypadli zbójnicy z pałkami w dłoniach i zaczęli wrzeszczeć:

— Pieniądze albo życie!...

Ilu ich było, Zeflik nie zdołał policzyć. Pokręcił tylko srebrnym guzikiem, wyrzekł zaklęcie i, skąd się weź, to się weź, zjawiała się babcia z miotłą.

Co się potem działo, trudno opisać. Babcia sprąła zbójników, podrapała miotłą ich brzydkie gęby, przepędziła w głąb lasu i już było dobrze.

Zeflik podziękował babci i powędrował ku trzeciej górze i trzeciej rzece. Przenocował pod kopką siana, a wczesnym rankiem ruszył w drogę. Przeszedł trzecią górę, przeszedł w bród trzecią rzekę i zawędrował między srogie skały. A gdy tak idzie, naraz ziemia zadygotała, skały jęły się kruszyć, coś w ich głębi zagrzmiało, zaryczało i za chwilę z jamy wysuwa łeb ogromny smok ziejący z paszczęki i nozdrzy dymem siarkowym.

— A, tuś mi, bratku! — ryknął smok i w dyrdy wlecze się do Zeflika z rozwartą szeroko paszczką.

A Zeflik nic. Pokręcił srebrnym guzikiem, wyrzekł zaklęcie i, skąd się weź, to się weź, babcia się zjawiała z miotłą! I znów trudno opisać, co się potem działo. Babcia sprąła smoka, a smok podwinął łuszczasty ogon, zasmrodził haniebnie siarką i wczołgał się z powrotem do

jaskini. I znowu wszystko było dobrze.

Za czwartą górą i czwartą rzeką napadli Zeflika jacyś rabusie w rycerskich zbrojach, rudzi jak lisy, wrzeszczący coś z cudzoziemska o pieniądzach i o życiu. I już godzili w niego srogimi kopiami, lecz Zeflik nie stracił ducha, pokręcił guzikiem, zjawiła się babcia z miotłą i jęła robić pogrom wśród rabuśników. Nie minęło pół pacierza, a rabuśników już nie było, tylko na drodze wałały się pogieęte pancerze i hełmy, połamane kopie, kilka wytłuczonych zębów i jeden dziurawy but.

Zeflik podziękował babci i powędrował dalej.

Nazajutrz przeszedł już piątą górę i stanął nad piątą rzeką. Rzeka była szeroka i głęboka. Ujrzał go jednak przewoźnik z przeciwnego brzegu i popłynął łódką do Zeflika.

— Panie przewoźniku! Przewieźcie mnie na drugą stronę — poprosił Zeflik.

— Czemu nie! — rzekł przewoźnik o ponurym obliczu, podobny do człowieka, który siedem wsi wypalił. — Ale talara za przewóz!...

Zeflik podał mu talara, przewoźnik obejrzał go, skinął na Zeflika a, by wszedł do łodzi, i odbił od brzegu.

A gdy już byli na środku rzeki, rzekł:

— Słuchaj, ty chmyzie! Dawaj wszystkie talary, jakie masz przy sobie, albo mizerny twój koniec! — i podniósł wiosło do uderzenia.

— Ale ja nie mam talarów!

— Nie fanzol, pieronie, tylko dawaj je po dobroci, jeżeli ci życie miłe!

Ponieważ Zeflikowi było życie miłe, przeto pokręcił guzikiem i wyrzekł zaklęcie. I w tejże samej chwili za przewoźnikiem pojawiła się babcia i jak trzasnęła łajdaka miotłą po łbie, jak nie poprawiła po raz drugi i po raz trzeci!

Przerażony przewoźnik złożył dłonie i zaczął jęczeć:

— Łaski! Litości! Ja tylko żartowałem!

I jął wiosłować tak mocno, że łódka popłynęła jak wicher do drugiego brzegu. Gdy potem przewoźnik zanurzał w rzece swój posiniaczony łeb z guzami, Zeflik powędrował dalej i dalej, aż nazajutrz przyszedł do szóstej góry i szóstej rzeki.

Górę już przeszedł, przed nim była szeroka rzeka, a na rzece — most. Zdziwiło go jednak bardzo, że przed mostem stoją jacyś rycerze czy nierycerze, halabardnicy czy członkowie straży pożarnej, trudno było poznać. Byli w pięknych mundurach złotem i srebrem haftowanych, na głowach mieli pozłociste hełmy, a w dłoniach trąby duże i małe, trąbki, flety, bassetle, piszczałki. Każdy z nich trzymał jeden instrument, a wszyscy stali pod pięknie ustrojoną bramą triumfalną. Na bramie furkotały chorągwie, było ich dużo, w przeróżnych kolorach i z wyhaftowanymi przedziwnymi herbami. Pod chorągwiami zaś pstrzyła się bardzo szeroka wstęga, a na niej złocił się dziwny napis:

**Witaj, oblubieńcze naszej królowny! Hip, hip, hura, hura, hura!**

To wszystko było bardzo piękne, lecz Zeflik nic nie rozumiał. Nie rozumiał nawet wtedy, gdy na jego widok tamci halabardnicy czy strażacy przyłożyli do ust trąby, trąbki, piszczałki, flety, a inni ujęli basy i bassetle, inni jeszcze gliniane okaryny i bębny wielkie i małe i zaczęli grać! Dyrygował tą dziwną orkiestrą jakiś kapelmistrz z kogucim ogonem na hełmie.

Grali przeto i grali, a od miasta już toczyły się jakieś pozłociste kolasy, a tłumy ludzi biegły drogą i jacyś znamienici panowie gnali na koniach, a w mieście rozdzwoniły się dzwony, a z murów zamczyska strzelały armaty i moździerz na wiwat i wielki, radosny wrzask wzbijał się pod niebo.

Zdumiony Zeflik stanął przeto i czekał, co to będzie. I niedługo czekał, bo pozłociste kolasy stanęły przed nim, tamci znamienici panowie zatrzymali rumaki, a z najpozłocistszej kolasy wysiadła jakaś kudłata dziewczica bogato i strojnie ubrana, lecz o pomarszczonym obli-

czu, zezowata i szczerbata. Przypadła do Zeflika, objęła go za szyję i zapiszczała:

— Nareszcie doczekałam się ciebie, mój oblubieńcze — i jęła go całować i ścisnąć.

Zeflik do cna zbaraniał. Pomyślał: „Kiz diasi? Co to wszystko znaczy?” Bronił się, jak mógł, przed natarczywym przymilaniem brzydkiej baby z królewską koroną na głowie, odpychał ją, lecz tamta nie ustępowała. Zeflik przeto rozgniewał się i zaklął rozsierzony:

— A, żeby cię gęś kopła zadnią nogą, basama teremtete!

Poskutkowało, bo przerażona baba usiadła na ziemi, a z tłumy dostojników wyszedł nadworny astrolog, skinął na dworzan, by podnieśli królową, a gdy to uczynili i odprowadzili do pozłocistej kolasy, huknął na rozgęgane zbiegowisko:

— Cicho, bo teraz ja mówię!

Uciszyło się przeto, bo każdy był ogromnie ciekawy, co powie nadworny astrolog w spiczastej czapie tekturowej, oblepionej znakami zodiakowymi, jakie można widzieć w starych kalendarzach. On zaś tak zaczął, rozwijając pergaminowy arkusz:

— Ja, nadworny astrolog, Filigranus Pietralus, oznajmuję, co następuje — tu nałożył podrutowane okulary na nos i zaczął czytać z pergaminu.

*Nasza najmiłościwiej nam panująca królowna Pulcheria III już dawno pragnęła poślubić jakiegokolwiek zacnego młodziana szlachetnie urodzonego, lecz nic z tego nie wychodziło. Bo co ją który szlachetnie urodzony młodzian ujrzał, to mimo łakomienia się na królestwo i złotą koronę — uciekł. Rada królewska uradziła przeto, że wybuduje most przez naszą rzekę. A ten most wczoraj ukończono. I uradziła jeszcze, że kto z młodych ludzi przejdzie pierwszy przez nasz nowy most, ten musi poślubić naszą królową Pulcherię III.*

A ponieważ ten oto młodzian — tu wskazał na Zeflika — będzie pierwszy z młodzianków, który nasz most przekroczy, przeto on pojmie za żonę naszą Pulcherię III, czy chce, czy nie chce, i basta! Skończyłem!...

Zwinął rulon, skinął na drabantów z halabardami, skinął na panów w kolasach, skinął na kapelę, a Zeflik mruczał zdumiony:

— Farena, to głupia historia!

A drabanci z halabardami już podchodzą uroczyście, by ująć go za ręce i zaprowadzić do szczerbatej Pulcherii III, mdlejącej ze szczęścia w pozłocistej karecie. Nie czekał przeto, lecz pokręcił srebrnym guzikiem i wypowiedział zaklęcie:

*Fiku, miku, mój guziku,  
Pamiętajże o Zefliku!...*

Ledwie to wyrzekł, a tu już babcia z miotłą tłucze drabantów, panów, muzykantów i astrologa. Tłukła ich tak mocno, że teraz wszyscy uciekali do miasta, a w mieście zaparli bramy drągami i pokryli się w mysie dziury. Przed Zeflikiem zaś była otwarta droga przez most.

Podziękował przeto babci za ratunek i powędrował w kierunku siódmej rzeki i siódmej góry. A gdy je w końcu przebył, ujrzał przed sobą wielką dolinę, a na skraju doliny, na nieboskłonie rodzinną wioskę, a w rodzinnej wiosce, w gęstwie rozkwitających malw i dziewann, chałupkę matuli i chałupkę Stazyjki. Zwinął wtedy dłoń w trąbkę i przystawił do ucha w nadziei, że posłyszycie piosenkę Stazyjki o wiśniach w ogrodzie, którą często śpiewała.

*W ogródeczku wiśnie,  
Nie będę ich rwała,  
O kogo mi idzie,  
Tego będę miała!  
Mam-ci ja Zefliczka,*

*Pojechał na wojnę.  
A gdy z wojny wróci,  
Wtedy on mnie pojmie...*

Nie doszedł go śpiew Stazyjki o wiśniach w ogrodzie, tylko z dalekim wiatrem przyszło doń żalodne bicie dzwonów. Wtedy Zeflikowi serce napełniło się goryczą, bo przeczuł, iż czeka nań smutna nowina.

Śpieszył więc do rodzinnej wioski i zastał w niej istotnie wielki smutek i żalobę. Dzwony wciąż dzwoniły, kumoszki pociągały nosami, a Stazyjka wybiegła na drogę, przypadła do Zeflika i tak powiedziała:

— Mój złoty sokole! Moje ty słoneczko! Matula dzisiaj rano umarła z tęsknoty po tobie!...

Zeflikowi na te słowa cały świat pociemniał w oczach, słońce zgasło na niebie, a ptaki oniemiały ze smutku.

Poszedł Zeflik ze Stazyjką do chaty i gdy ujrzał matulę leżącą w trumnie, gorzko zapłakał. A z nim płakała Stazyjka, płakały kumoszki i wszyscy.

Zwiedziały się ptaki o śmierci matuli i zleciały się wielką gromadą i zaczęły narzekać i lamentować po swoimemu. A więc stara wrona krakała, jaskółki piszczały, dzięcioły posypały swoje pstre główki popiołem, pasikoniki wyciągały smętne melodie na swych skrzypeczkach, słowiki łkały, a jedynie wróble skakały i wrzeszczały: — Cierp! cierp! cierp!... I byłyby radowały się nie wiedzieć jak długo, lecz wrona przegoniła je za wieś, a gdy wróciła, znowu zaczęła krakać i narzekać.

Zeflik zaś przypomniał sobie babcię z lasu. Pokręcił więc srebrnym guzikiem, powiedział zaklęcie i w tej samej chwili stanęła przed nim i tak rzekła:

— Nie płacz, Zefliku, bo twoja matula może znowu ożyć!

— Może? — uradował się Zeflik. — Powiedz, babciu, moja złota babuleńko, jak to uczynić, by ożyła ?

— Musisz pozbierać wszystkie łzy, które wypłakała z tęsknoty po tobie i które zjadły jej serce!

— Gdzie je znajdę? Powiedz, babciu, gdzie, a już idę szukać! Chociażby na skraj świata — a pójdę! Chociażby na dno morza — a pójdę! Chociażby nawet do samego piekła — a pójdę! Powiedz, powiedz, babciu, gdzie ich szukać!...

— Matczyne łzy przemieniły się w kropelki srebra. Lecz przyszedł bardzo zły duch i zabrał je z sobą, gdyż twierdził, że srebro do niego należy.

— Jak nazywa się ten niedobry duch?

— Nazywa się Szarlej i panuje w tarnogórskich duklach, gdzie gwarkowie grzebią za srebrem. Idź więc i szukaj w tamtejszych duklach łez swojej matki. A gdy ich uzbierasz pełny dzbanek, powiem ci potem, co masz z nimi uczynić! — i to rzekłszy, znikła.

Zeflik wybrał się przeto w daleką drogę do tarnogórskich dukli, w których gwarkowie grzebią za srebrem i gdzie panuje zły duch podziemny imieniem Szarlej. Szedł i szedł, lecz już nie śpiewał, bo go serce bardzo bolało. Na drugi dzień doszedł do miasteczka. Przed bramą miejską stała tablica, a na tablicy był napis: „To miasteczko nazywa się Tarnowskie Góry”.

Zeflik udał się do pana burmistrza i opowiedział mu, co go tu sprowadza. Pan burmistrz był mądry i kazał przywołać najstarszego gwarka. Przyszedł najstarszy gwarek, przewany bachmistrem, w skórzanym kubraku, z kilofem i kagankiem.

— Panie bachmistru — rzekł pan burmistrz — oto Zeflik pragnie grzebać w waszych duklach i znaleźć srebrne łzy swojej matki!

— Czemu nie? Już się robi! — rzekł bachmistrz. Było to srogie chłopisko z czarnymi wąsami. — Chodź ze mną, szpikolu! A nie boisz się ty Szarleja ? Ho, ho! Bo to jest strasznie



zły duch i raz dwa może ci głowę urwać, zasypać kamieniami, zalać wodą... Z nim nie ma żartów!

— Panie bachmistrzu! -- rzekł na to Zeflik. — Tu chodzi o moją matulę, przeto nie boję się nawet diabła!

— No, to mi się podobasz!

Zeszli po drabinach do głębokiego szybu, a potem bachmistrz prowadził Zeflika przeróżnymi chodnikami, raz pod górę, raz w dół, raz na lewo, potem na prawo, aż w końcu doszli do miejsca, gdzie w caliznie srebrzyły się kropelki srebra.

— Tu masz kilof, tu masz kaganek — rzekł bachmistrz — a teraz kuj kilofem i wylupuj z calizny drobinki srebra! Bo to są łzy twojej matki, które Szarlej porwał i tu rozsypał...

— Dziękuję! — rzekł Zeflik.

— A słyszałeś już coś o tym przegrzeszonym Szarleju?

— Słyszałem, to zły duch.

— Powiadam ci, synku, strasznie zły duch. Łajdak, gdzie może, to gwarkom wyrządza paskudę i dybie na ich życie. Na moje też. I nie ma sposobu, by go wygonić z naszych dukli.

— Nie ma? — zafrasował się Zeflik. — Gdyby tak pokropić go święconą wodą?

— Hale, kropiliśmy, cały kociołek święconej wody wykropiliśmy na tę przecherę, a on nic. Otrząsał się i rechotał ubawiony.

— A gdyby tak gwarkowie nosili z sobą przytulnię! Przecież złe duchy boją się tej rośliny.

— Nosiliśmy, ale nic z tego nie wyszło. Szarlej kpi sobie z przytulii.

— Hm, a dawno już tak dokucza gwarkom?

— Synku, już dawno. Od tej chwili, gdy byli na Śląsku Szwedowie i ukradli srebrne serce z naszego dzwonu gwarkowego. Jak długo mieliśmy to srebrne serce w naszym dzwonie i jak długo tym dzwonem dzwoniliśmy, tak długo Szarlej nie miał do naszych dukli dostępu. A gdy zabrakło srebrnego serca, pojawił się i teraz siedzi i żadna siła nie może go wygonić.

— To ulejcie nowe serce...

— Hale, hale! Nie tacy mądrale nam to samo radzili i nic nie poradzili. To musi być nie byle jakie serce. Ho, ho! W tym srebrnym sercu musi być ludzkie serce... Ale co tu po próżnicy gadać! Imaj się roboty, a pilnie bacz, żeby Szarlej nie uczynił ci jakiej krzywdy! — to rzekłszy poszedł.

Zeflik został sam. Patrzy, a tu ciemno naokoło, ponuro, strasznie. Woda gdzieś kapie. Stemple, czyli stojaki, leciutko trzeszczą i strzelają. A z głębi chodnika, czarnego jak najczarniejsza noc, wyłazi lęk i skrada się do Zeflikowego serca. Gdy jednak Zeflik wspomniął na swoją matkę leżącą w trumnie, lęk odleciał, on zaśabrał się do pracy. Kuł kilofem, aż się iskrzyło. A co raz uderzy, wylupuje z calizny kropelczkę srebra. I już miał tych kropelczek może z pół czapki, gdy nagle zatrzęsło się podziemie, ze stropu posypały się kamienie, stemple zaczęły trzeszczeć i łamać się, a z głębi chodnika nadleciała huczająca woda i jęła Zeflika zalewać. A wśród tego huku i szumu posłyszał chrapliwy głos:

— A, ty nicponiu! Srebro mi kradniesz? Zginiesz, nędzny robaku!

I Zeflik ujrzał przed sobą bardzo szpetną postać. Był to Szarlej, brodaty parszający z nozdrzy płomieniem i dymem. Zeflik nie stracił jednak ducha. Wyrzekł szybko zaklęcie, pokręcił guzikiem, i skąd się weź, to się weź, zjawiała się babcia.

— A, ty najduchu przegrzeszony! — wrzasła i zaczęła okładać miotłą ducha Szarleja. Młóciła go po głowie, po zasłaniających się pazurach, po grzbiecie, waliła zamasyście, a Szarlej wrzeszczał i kłął obrzydliwie. Babuleńka-wrózka zaś na nic nie patrzyła, tylko tłukła go siarczyście. A gdy poczuł, że ma dosyć, gdy nos miał już posiniaczony, głowę podrapaną, na łbie kilka guzów tak dużych, jak gęsie jaja, łajdak skończony zaczął skamleć o zmiłowaniu. Wtedy babcia rzekła:

— Pamiętaj, ty giździe zagīdzony, by ta woda natychmiast spłynęła tam, skąd wypły-

nęła, by chodnik był w tej chwili odbudowany, by stemple były całe, by Zeflikowi włos z głowy nie spadł. Bo jeżeli nie, to cię maznę po gryzoku, że ruski miesiąc popamiętasz!

Szarlej uczynił wszystko, co kazała babcia. Cofnął wodę, uprzątnął zawalony chodnik, podparł strop stemplami i pociągając nosem, i popłakując rzewnie, powlókł się kulawy i obolały tam, skąd przyszedł.

Babcia zaś rzekła do Zeflika:

— Gdy nagrzebiesz pełną czapkę srebra, pójdziesz tam, gdzie kuźnicy wytapiają srebro z rudy. Przystaniesz do nich i przetopisz w kuźniczym piecu swoje srebro i ulejesz z niego serce. Ale pamiętaj! W tym ulanym sercu musi być także twoje serce! A potem wrócisz ze srebrnym sercem do matki i położysz na jej piersi. A co się stanie — zobaczysz! No, imaj się roboty! — to rzekłszy, zniknęła.

Zeflik nagrzebał srebra pełną czapkę, poszedł chodnikami pod szyb, wylazł drabiną na powierzchnię i ujrzał, że nastąpiła noc. W głębi nocy migotały ogniki. Udał się w tamtym kierunku i napotkał kuźników, kręcących się koło kuźniczych pieców i wytapiających srebro z rudy. Byli podobni do kominiarzy, czarni od sadzy, w skórzanych fartuchach i kołpakach, spoceni i zziębnięci. A tu naokoło dym, żar, szum, pryskają iskry, z kuźniczych pieców cieknie struga srebra. Dymarze dymają miechy i wdmuchują nimi powietrze do pieców, kowale wałają młotami, koszytarze dowożą węgiel i sypią na paleniska, węgielnicy wypalają węgiel drzewny w mielerzach, a naokoło fruują duchy-latawce, przezwane irwiszami, i usiłują skraść kuźnikom chociażby drobinę srebra. Odpędzają ich drobne duszki, szare jak myszy, przezwane bożatkami. Odpędzają więc latawców, pomagają kuźnikom, dmuchają na paleniska, by ogień buzował, wygarniają żużle, kręcą się jak frygi, wszędzie ich pełno. A co się który zmęczy, biegnie pod ławę, gdzie kuźnicy postawili miseczki z mlekiem. I takie bożátko nachłepce się mleka i znowu biegnie pomagać kuźnikom.

To wszystko było ogromnie ciekawe i Zeflik w pierwszej chwili nie mógł się napatrzeć temu dziwnemu światu. Rychło jednak przypomniał sobie, że teraz nie czas patrzeć i dziwić się kuźniczej robocie. Przystąpił do najstarszego kuźnika i pięknie go poprosił, by mu pozwolił stopić srebro i ulać z niego serce.

— Czemu nie? — rzekł najstarszy kuźnik. — Już się robi! Ale kto ty jesteś?

Zeflik powiedział, jak się nazywa i co go tu przyprowadziło. Stary kuźnik słuchał, patrzył na niego spod czarnych, gęstych, krzaczastych brwi i słuchał. A gdy Zeflik skończył, najstarszy kuźnik przywołał innych kuźników i polecił im, by Zeflikowi pomogli wytopić serce ze srebra.

Kuźnicy chętnie się zgodzili, pomogli Zeflikowi wsypać srebro do pieca, dymarze dmuchali miechami na palenisko, tamte kropelki srebra topiły się powoli i za niedużą chwilę jęły cieknąć otworem z pieca. Kuźnicy poprowadzili strużkę ciekącego srebra rowkiem do formy wygrzebanej w piasku w kształcie serca. I piaskowa forma w kształcie serca zaczęła się powoli napełniać, a nad nią pochylał się wzruszony Zeflik. Dławiła go wielka radość, że niezadługo przywróci owym sercem życie matuli, i gęste łzy padały do piaskowej formy w kształcie serca, i mieszały się z roztopionym srebrem.

I zbiegli się wszyscy kuźnicy, koszytarze, dymarze, węgielnicy, kowale i kto tylko. Zbiegli się rajcowie miejscy z burmistrzem na czele. Zbiegły się bożátka i latawce. I wszyscy patrzyli zdumieni, jak z płynnego srebra formuje się srebrne serce, jak Zeflikowe łzy mieszały się ze srebrem, jak srebro powoli stygnie i jak powoli staje się srebrnym sercem.

I gdy srebrne serce już wystygło w piaskowej formie, Zeflik wziął je, pięknie podziękował wszystkim kuźnikom, bachmistrzowi, rajcom miejskim i panu burmistrzowi i ruszył ku domowi.

A w domu leżała w trumnie umarła matka, przy trumnie zaś czuwała Stazyjka. Gdy zobaczyła Zeflika idącego drogą, wybiegła naprzeciwko.

— Czekam na ciebie, Zefliczku! — wołała. — Przynosisz życie matuli?

— Przynoszę! — rzekł Zeflik, wstąpił do izdebki i położył srebrne serce na piersiach matki. Za nim przybiegli sąsiedzi, kumoszki, pan wójt z radnymi i dzieci z całej wsi i wszyscy patrzyli zdumieni. Bo oto srebrne serce srebrzy się na piersiach matki, a matka zaczyna oddychać, powoli na jej twarz występują rumieńce, powoli odchylają się powieki i oto powoli siada i patrzy zdumiona na Zeflika, Stazyjkę, kumoszki, sąsiadów, wójta z radnymi i dziećmi.

— Moja matulu! — zawołał uradowany Zeflik i przypadł do jej dłoni. A Stazyjka z drugiej strony.

I oto matka wstała z trumny i była żywa!

Rozdzwoniły się dzwony na kościelnej wieży i wszyscy ogromnie się dziwili, radowali i dobrorzeczyli Zeflikowi i Stazyjce.

Zwiedziały się ptaki o tym radosnym zdarzeniu. Zleciały się przeto wielką gromadą. Słowiki jęły klaskać najpiękniejsze melodie słowicze, że wszystkim zebranim ludziom miód kapał do serc i płakali ze wzruszenia. A szpaki kręciły łebkami, dzięcioły kiwały kolorowymi główkami, jaskółki piszczały i tańczyły nad ludźmi, wróble wrzeszczały jak pijacy wracający z odpustu, pasikoniki rzępoliły piskliwe melodie na swych skrzypeczkach, a stara, rozczochrana wrona krakała z radości i klaskała skrzydłami.

I teraz już było wszystko dobrze, bo matka była szczęśliwa, że doczekała się swego syna Zeflika, a Zeflik szczęśliwy, że przyniósł życie matce. A Stazyjka była szczęśliwa, że doczekała się powrotu Zeflika i że matka ożyła.

Potem wyprawiono jeszcze huczne weselisko, bo Zeflik i Stazyjka pobrali się, gdyż tak bardzo się miłowali. Ludzi naschodziło się bardzo dużo, byli družbowie i drużny, starosta weselny i organista, przyleciały także ptaki. A więc jaskółki, szpaki, dzięcioły, wróble i jeszcze inne, a rej między nimi wiodła stara, rozczochrana wrona. Dyrygowała ona ptasią kapelą, ptaki zaś ćwierkały, gędzioliły, klaskały, piszczały, gwizdały, ciurlikały, a pasikoniki rzępoliły na swych chudych skrzy pęczkach. I była kapela, jakiej jeszcze świat nie widział.

Przyszła także babcia, wsparta na kijaszku. Przyszedł łysy pustelnik z flintą, z długą, białą brodą. I wszyscy bardzo się radowali, jedli kołaczki, pili wino z Zeflikowej flaszeczki i tańczyli podług ptasiej kapeli.

I gdy tak wszyscy tańczyli, a więc Zeflik ze Stazyjką, pustelnik z babcią, organista z pasterką, družbowie z drużnami, chłopcy z dziewczynami, wójt z najgrubszą kumoszką, Zeflik sięgnął do kieszeni po chusteczkę, by obetrzeć spocone czoło. I nie zauważył, że z chusteczką wyciągnął talara, który wypadł na podłogę i pokulał się do szpary.

— Zefliczku! Talar wypadł ci z kieszeni — rzekła Stazyjka.

Zeflik sięgnął do kieszeni — nie ma w niej nowego talara!

— Nic nie szkodzi — powiedział. — Obejdę się bez talara, gdy matula żyje!

I znowu tańczył ze Stazyjką, a matula siedziała za stołem na honorowym miejscu i patrzyła rozrzewniona na Zeflika i Stazyjkę.

Podczas tańca wypadła Zeflikowi z kieszeni manierka z winem i wino rozlało się na podłodze.

— Ojej! — zawołała Stazyjka. — Wino wylało się z manierki!

— Nic nie szkodzi! — rzekł Zeflik. — Tyś mi, Stazyjko, stokroć cenniejsza aniżeli manierka z winem! — i tańczył nadal. Uważał tylko pilnie, by ktoś nie potracił stołu i by ze stołu nie potoczył się chleb na podłogę. Wiedział bowiem, że obejdzie się bez talara, obejdzie się bez wina, lecz bez chleba się nie obejdzie.

A gdy już u tańczył i się wszyscy do woli i zmęczeni usiedli na ławach i gdy już wszystkie ptaszki ochrypiły od śpiewania, i gdy już starej, rozczochranej wronie zmęczone skrzydła opadły od dyrygowania, i gdy pasikonikom rozstroiły się skrzypeczki, babcia podniosła kijaszek na znak, by się uciszyło, gdyż powie teraz coś bardzo ważnego.

Uciszyło się więc, a babcia zaczęła:

— Oto, co wam powiem, ludeczkowie złoci! Wszystkom widziała. I jak Zeflikowi

wypadł talar z kieszeni i potoczył się do szpary, a on powiedział, że milsza mu matula aniżeli talar. To słyszałam. Potem widziałam, jak Zeflikowi wypadła z kieszeni manierka z winem, wino się wylało, a Zeflik powiedział, że stokroć milsza mu Stazyjka aniżeli manierka z winem. To także słyszałam. A ponieważ słyszę i myśli ludzkie, przeto słyszałam, jak Zeflik pomyślał, by też nikt nie stracił chleba ze stołu, bo byłaby wielka bieda. I dobrze pomyślał, ludeczkowie złoci! Prawda, panie pustelniku?

— Święta prawda! - przyświadczył pustelnik i pogłaskał się po długiej brodzie.

A babcia mówiła dalej:

— Zeflikowi pozostawię srebrny guzik, który przyszyłam do jego kabata. Gdy będzie w potrzebie, niechaj nim pokręci i powie zakłęcie, a przyjdę z pomocą. Lecz pozostała jeszcze jedna ważna rzecz...

Wszyscy weselnicy byli teraz ogromnie ciekawi, jaka to będzie rzecz, i czekali, co babcia powie. Lecz że babcia nie śpieszyła się z wyjaśnieniem, przeto jęli pytać:

— Jaka rzecz, babciu? Jaka?...

— Zaraz się dowiecie, bo oto drogą jedzie do nas srebrzysta kolasa, a w kolasie posłowie do Zeflika.

Wszyscy wybiegli na dwór, patrzą, istotnie drogą jedzie srebrzysta kolasa zaprzężona w cztery białe konie, a w kolasie siedzą jacyś wielcy panowie. Przyjechali wreszcie, stanęli przed chałupą matki Zeflika i okazało się, że to nie byli wielcy panowie, lecz pan burmistrz miasteczka o nazwie Tarnowskie Góry, obok niego chudy skryba miejski z ogromną księgą, a za nimi bachmistrz i najstarszy kuźnik. Pan burmistrz był pięknie ubrany, ze złocistym łańcuchem na piersiach, skryba miejski trzymał księgę tak wielką, jak wrota stodoły, bachmistrz miał na sobie śliczny strój gwarkowy, na głowie kołpak, na którym złocił się młot i kilof na krzyż złożone i szumiał wielki, biały pióropusz z kogucich piór. Kuźnik zaś był ubrany jak kuźnik podczas pracy. A więc w skórzany fartuch i skórzany kołpak na głowie.

Kolasa zajechała z paradą przed zdumionych weselników, pan burmistrz wysiadł z niej i nisko się uklonił Zeflikowi. Za nim wysiadł chudy skryba miejski z księgą tak dużą, jak wrota stodoły, a potem jeszcze wysiedli bachmistrz i mistrz kuźniczy. Jeszcze raz wszyscy pięknie się uklonili, a pan burmistrz poprawił złoty łańcuch na piersi i tak zaczął:

— Przekacny, waleczny wojaku a przemiły panie Zefliku, i wy, pani matko, i ty, nadobna Stazyjko, i wy, wszyscy złoci ludeczkowie! Oto doszła do naszych burmistrzowskich uszu niesłychana wieść, iż to srebrne serce, które przekacny i przemiły pan Zeflik ulął w naszej tarnogórskiej kuźnicy, iż to srebrne serce przywróciło życie pani matce Zeflika. Przeto niechaj teraz skryba miejski przeczyta z tej tu oto kroniki miejskiej — tu wskazał na księgę tak dużą, jak wrota stodoły, którą trzymał z wysiłkiem skryba — niech przeczyta, jako rzekłem, co piszą dzieje o naszym dzwonie gwarkowym. Czytaj, skrybo, a powoli! Niech ci się język nie płacze, by wszyscy dobrze zrozumieli, a przede wszystkim, by twoje czytanie trafiło do serca wielmożnego pana Zeflika!...

Skryba włożył na nos okulary, bachmistrz i mistrz kuźniczy pomogli mu otworzyć księgę i teraz wszyscy wstrzymali dech, bo byli ciekawi, co im ta księga powie. A skryba zaczął czytać. I wszyscy dowiadywali się powoli z jego czytania, że kiedyś przed wiekami był w Tarnowskich Górach dzwon gwarkowy, o srebrnym sercu i że ten dzwon miał tę moc, iż głos jego srebrny i donośny przepędzał złego ducha Szarleja i nie pozwolił mu czynić krzywdy gwarkom. Trwało to tak długo, aż Szwedzi najechali na Tarnowskie Góry, spalili je i skradli z gwarkowego dzwonu srebrne serce, po czym przepili je w przydrożnej karczmie. I od tego czasu znowu jął się zły duch podziemny, Szarlej, panoszyć pod ziemią tarnogórską, czynić gwarkom krzywdę, zatapiał im podziemne chodniki, zasypywał kamieniami, dybał na ich życie i nie pozwalał im szukać srebra pod ziemią.

Tu skryba odetchnął, a bachmistrz z mistrzem kuźniczym przewrócili w księdze kartę. Teraz skryba czytał dalej powoli i wszyscy się powoli dowiedzieli, iż jednego razu zjawił się

w miasteczku bardzo mądry człowiek, bodaj czy nie pielgrzym, który wiele ksiązek przeczytał. I ten mądry człowiek powiedział, że łajdak Szarlej będzie tak długo panował pod tarnogórką ziemią i czynił na przeciwność gwarkom i wszystkim porządnym ludziom, dopóki nie zjawi się ktoś taki, który dla przywrócenia życia matce zejdzie w podziemne państwo Szarleja, nakopie sporo srebra, z tego srebra uleje serce, w którym będzie jego serce. I jeżeli zawisnie ono w dzwone tarnogórskim, a dzwon zacznie dzwonić — koniec panowaniu złego ducha Szarleja! I kropka.

Teraz pan burmistrz zwrócił się do Zeflika i pięknie prosił, by to serce zawiesił w tarnogórskim oniemiałym dzwone i w ten sposób wygonił złego ducha Szarleja.

Zeflik chętnie się zgodził.

Wszyscy weselnicy z ptasią kapelą na czele i z Zeflikiem, burmistrzem, skrybą, bachmistrzem i najstarszym kuźnikiem udali się do Tarnowskich Gór, gdzie wisiał dzwon bez serca. Zeflik wylazł na dzwonnice i zawiesił w dzwone srebrne serce. A potem jął dzwonić.

Głos dzwonu był tak piękny i tak srebrzysty, i tak donośny, i tak uroczysty, że wszyscy mieszczanie i weselnicy pootwierali gęby z podziwu i słuchali urzeczeni, jak wskrzeszony dzwon dzwoni. On zaś tak dzwonił:

*Z tarnogórskiej starej wieży  
W świat daleki głos mój bieży.  
Srebrnym sercem wola, dzwoni,  
Przed Szarlejem gwarków chroni!  
Bim, bam! Bim, bam!...*

I nastąpiło teraz drugie wielkie weselisko. Wszyscy bardzo się radowali, a najbardziej gwarkowie, że są już teraz zabezpieczeni przed złością Szarleja, gdyż wiedzieli, że głos dzwonu ze srebrnym sercem wygoni go z tarnogórskich podziemi srebrnonośnych.

Pan burmistrz kazał zarznąć trzydzieści wołów, wytoczyć z ratuszowej piwnicy trzydzieści beczek najlepszego wina, upiec trzysta trzydzieści kołaczy z makiem i powidłami i nastąpiła wielka uczta na tarnogórskim rynku. A ptasia kapela grała prześlicznie, stara wrona dyrygowała, i wszyscy się cieszyli i ja też się cieszyłem, i co widziałem, słyszałem, wiernie opisałem.

## SPIS BAJEK

O królu Kalasantym Wielkim, Hanusi i zaczarowanym królewiczu	02
O tym, jak śmierć była matką chrzestną	15
Przedziwna historia o dwóch siostrach	23
Żałosna historia o przygodach diabła Fajferka	39
O tym, jak jeszcze nigdy nie było, żeby jakoś nie było	47
O tym, jak diabeł Fafuła chciał ukraść Haneczkę	59
O Złotogłowcu, królu wężów z Goduli	64
O Karliku kowalczyku i śpiących rycerzach	82
O wojaku Zefliku ze srebrnym guzikiem	87